

Otchłań

Margit Sandemo

Książka III z Saga o Ludziach Lodu



calibre 0.9.27

MARGIT SANDEMO

OTCHŁAŃ

SAGA O LUDZIACH LODU

Tom III

1

ROZDZIAŁ I

W koronach drzew rozbrzmiewał ciężki chorał. Głęboki ton grzmiał i dźwięczał jak chór mnichów w ogromnej katedrze. Żałośnie przepowiadał smutek i nieszczęścia. Sosny chwiały się na wietrze, ugiwały, ze zgrzytem i trzaskiem gałęzi. Zza pędzących chmur od czasu do czasu wyłaniał się blady, jesienny księżyc.

Sol biegła przez las roześmiana, jakby upojona pogodą. Burza współgrała z nastrojem jej duszy.

Była teraz dorosła i wolna; wolna jak ta wichura szalejąca w koronach drzew. Wolna, bo mocno przyciskała do piersi węzełek Hanny, który tego dnia odebrała od Tengela. Wcześniej pożegnała się ze wszystkimi domownikami w Lipowej Alei.

Teraz nadszedł jej czas.

W drodze do portu w Oslo, gdzie oczekiwał statek gotowy do żeglugi do Danii, towarzyszył

jej Are, młodszy brat. Jechali konno we dwoje, ale kiedy mieli już za sobą mniej więcej połowę drogi, Sol zaczęła nalegać, by Are pozwolił jej iść samej na skróty. W końcu chłopak poddał się, wziął podróżny kufer siostry i ruszył w drogę, prowadząc u boku jej konia, by zgodnie z umową spotkać się z Sol na skraju lasu. Chciał mieć pewność, że bezpiecznie dotarła na statek.

Podróż Sol do Danii załatwiła Charlotta Meiden. Dziewczyna miała towarzyszyć sędziwej szlachciance, która bała się samotnie wyruszyć statkiem w tak długą drogę. Rodzina podjęła tę odważną decyzję głównie dlatego, że Sol przez pięć lat zachowywała się wzorowo.

Ostatnio jednak była już tak niespokojna, że nie mieli sumienia dłużej jej zatrzymywać.

Tak, naprawdę dobrze się sprawowała. Wytrwała, by oddać się, kiedy dorośnie, swemu ukochanemu rzemiosłu. Wiele razy było jej bardzo ciężko! Jakże świerzbiły ją ręce, gdy widziała rosnące przy drodze ziele lulka czarnego lub cykuty albo gdy ktoś źle traktował jej najbliższych. Kiedyś nawet zrobiła kukielkę podobną do jednej z wysoko urodzonych pań, która z pogardą wyraziła się o Charlotcie. Sol udało się zdobyć kosmyk włosów damy; wszyła go w lalkę i już miała wbić igłę w samo jej „serce”, ale opanowała się w ostatniej chwili. Nie wolno jej było tego robić, przecież przyrzekła święcie Tengelowi. Zniszczyła lalkę i to uspokoiło jej sumienie. Ale mimo wszystko żałowała, że nie sprawdziła, czy nadal posiada moc.

Ależ tak, na pewno ją ma. Na zawsze! Tengel był bardzo zadowolony z jej pracy wśród chorych. Teraz pacjenci ufali Sol prawie tak jak jemu. Naturalnie czasami uciekała się do bardziej drastycznych środków uzdrawiających, ale robiła to tak ostrożnie, że nikt niczego nie zauważył.

Nie pomogła też nikomu umrzeć, chociaż uważała, że niektórym powinno się skracać czas choroby i cierpienia. No, tylko kilka razy, ale to były takie drobnostki, które się w ogóle nie liczą, myślała beztrosko. Zrobiła to tylko po to, by nie wyjść z wprawy.

Teraz jej kara była już zakończona.

Nie chciała jechać konno przez las. Pragnęła poczuć wiatr na twarzy, ziemię pod stopami i wiedzieć, że świat należy do niej. Chciała wtopić się w burzę i śmiać się do księżyca.

- Jestem wolna, Hanno - szeptała. - Jestem wolna! Teraz zacznijcie się nasz czas!

Jej plany związane z podróżą do Danii nie w pełni pokrywały się z tym, co umyśliła rodzina...

Wywiedziała się już o pewne sprawy. Oczywiście w Danii nieprzerwanie polowano na czarownice i chwymano je, ale były to przeważnie zwyczajne, nie mające pojęcia o czarnej magii kobiety, na które donieśli sąsiedzi. Sol, przeciwnie, wiedziała, gdzie szukać prawdziwych wiedźm i czarowników. Hanna powiedziała jej o tym kiedyś głosem pełnym szacunku i podziwu.

Tam właśnie chciała pojechać, tam właśnie pojedzie!

Prawdziwych czarownic nie było wiele. To zrozumiałe, władze zajmowały się nimi zbyt gorliwie. Ale te, które jeszcze żyły, są z pewnością najprawdziwsze.

A ona była jedną z nich, jedną z niewielu. Ona i Tengel. Ale Tengel trwonił swą moc na dobre uczynki.

Że też mu się chciało! Sol w zupełności wystarczyło pięć lat w cnotcie i przyzwoitości.

Musiała przystanąć na moment, by popatrzeć na swe bezcenne skarby, do których tak długo tęskniła. Uśmiechnęła się szczęśliwa, przepelniona nadzieją. W węzélku była czaszka nie ochrzczonego dziecka, znaleziona gdzieś pod podłogą ze sto lat temu. Był tam też palec powieszzonego przestępcy, serce czarnego psa, ziemia cmentarna, jęzory żmii...

I jeszcze coś! Korzeń mandragory, prawdziwy klejnot. Przekazywany z pokolenia na pokolenie, znaleziony przed wiekami w jednym z krajów śródziemnomorskich, wygrzebany z ziemi na wzgórzu szubienic, tam gdzie pewien morderca w godzinie śmierci rozlał swe nasienie. W tym miejscu właśnie wyrosła mandragora, a jej korzeń w kształcie ludzkiej postaci, wyciągnięty z ziemi, zawodził tak żałośnie, że czarownik, przybyły po niego w czwartkową noc podczas pełni księżyca, oszalał od jego krzyku. Tak głosiła opowieść, którą Sol usłyszała od Hanny. Obiecała strzec bezcennej mandragory jak oka w głowie!

Sol zważyła w ręku powykęcany, zasuszony korzeń. Był spory, dłuższy niż jej dłoń. Nosił

ślady po odcięciu bocznych korzeni i koniuszka. Być może uczynił to Tengel Zły, ten z jej przodków, który wzbudzał największy strach. Prawdopodobnie mandragora pochodziła od niego. W każdym

razie pewne było, że ucięte kawałki korzenia posłużyły tajemnym 3

uczynom. Dobrze wiedziała, jak wykorzystać korzeń. Mógł on rozpać miłość, zniszczyć wrogów, pomóc w zdobyciu bogactwa.

Do korzenia przymocowany był cienki rzemyk. Pochyliła głowę. Teraz to jej własność, zrobi z nią, co zechce.

Rozprostowała rzemyk i zawiesiła mandragorę na szyi. Ciężyła jej na piersiach, wydawała się sztywna, jakby się naprężyła, jakby była żywą istotą. Sol przeszedł dreszcz. Z pewnością niedługo się przyzwyczaję, pomyślała.

Teraz chronił ją najskuteczniejszy na świecie amulet, talizman przynoszący największe szczęście, symbol majestatu władzy.

Poczuła się dostojnie, wiedziała, że jest bezpieczna.

Dag był w Kopenhadze. Cieszyła się, że znów go zobaczy. Studiował na tamtejszym uniwersytecie, chciał wyuczyć się prawa, by otrzymać wysokie stanowisko kiedy powróci do Norwegii.

Dag przebywał w Danii już półtora roku. Rodzina wierzyła, że skutecznie zaopiekuje się Sol.

A może ta podróż przyniesie jej coś korzystnego, może jakieś stanowisko albo odpowiednie kontakty? Przez odpowiednie kontakty romantyczna Silje rozumiała z pewnością dobre zamążpójście; Dag miał przedstawić Sol właściwym ludziom na dworze i w innych wysokich kręgach. Cała rodzina wiedziała, że wielu ze studentów, przyjaciół Daga, pochodziło z zacnych rodów. Sol miała spędzić u niego miesiąc, potem musiała wracać do domu.

Zachichotała, pospiesznie wędrując smagany wicherem lasem. No tak, w pobliżu przyrodniego brata będzie się czuła pewniej. Ale „odpowiednie kręgi”? Sama musi ich poszukać!

Chociaż... Dwór też może okazać się nie do pogardzenia. Z pewnością są tam przystojni kawalerowie. Od czasu, gdy jako czternastolatka uwiodła parobka Klause, Sol kroczyła drogą cnoty. Teraz znów miała ochotę na jakąś przygodę; to, co wówczas przeżyła, wcale jej nie zadowoliło. Był to tylko triumf podboju, nic więcej. Wiedziała, że w miłości między mężczyzną a kobietą istnieje dużo większe bogactwo doznań.

Z przyjemnością pogładziła własne ciało. Tak, wiedziała, że jest piękna. Słyszała to często.

Biedna Hanna, pomyślała nagle ze smutkiem. Nigdy nie miała takich możliwości jak ja.

Brzydka, taka brzydka, że ludzie uciekali przed nią, i tak samotna w maleńkiej górskiej dolinie...

Sol miała przed sobą całe życie, cały świat!

Na pewno wykorzysta swe zdolności!

Wszyscy w domu martwili się jej wyjazdem. Wiedzieli jednak, że Sol koniecznie musi złapać trochę wiatru w skrzydła, żeby się nie zadusić. Przez ostatnie pół roku była męcząca, niecierpliwa, łatwo wpadała w gniew. Na odjeźdnym Silje i Tengel wyściskali ją mocno, a młodsza siostra, Liv, miała łzy w oczach. By się pożegnać i przekazać gorące pozdrowienia dla ukochanego syna, Daga, przyszła także Charlotta Meiden.

A potem Sol i Are odjechali aleją, lipową aleją Silje. Brakowało w niej jednego drzewa.

Pożółkło i uschło, Tengel musiał je ścinać. Było to drzewo baronowej wdowy. Szlachetna dama odeszła, spoczywała teraz na cmentarzu Grastensholm.

Na starym miejscu Tengel zasadził nową, maleńką lipę. Sol dobrze pamiętała tę chwilę i długo nie zapomni nagłego wybuchu gniewu przybranej matki.

- Nie wolno ci więcej zaklinać drzew, Tengelu - mówiła Silje, drżąc na całym ciele. - Męczy mnie to ciągle przyglądanie się im.

- Są dla mnie wielką pomocą - bronił się. - Wiesz przecież, że dzięki nim mogę odkrywać nie dające objawów choroby.

- Tak, wiem, ale te lipy doprowadzają mnie do rozpacz i szaleństwa. Kiedy tylko zobaczę pożółkły liść albo leżącą na ziemi gałązkę, chwyta mnie paniczny lęk.

- Jak chcesz - odpowiedział Tengel. - Obiecuję, że nie będę już ich zaklinać. Nie mamy przecież nikogo nowego w rodzinie, komu moglibyśmy przypisać drzewo.

- Nie, ale wszystkie nasze dzieci, cała czwórka, są już dorosłe. Za parę lat możemy spodziewać się wnuków.

Tengel wielkodusznie zgodził się, by nowe sadzonki pozostały już tylko zwykłymi drzewami.

Skończył się las, pojawiła się wioska. Niesiony wiatrem zapach morza uświadomił Sol, że zbliża się do fiordu. W oddali majaczyły dymy z kominów wielu domów. To musiało być Oslo, okolice twierdzy Akershus.

Zaczynało świtać. Księżyc bladł stopniowo, a jasna wstęga nad horyzontem rozszerzała się i coraz intensywniej jaśniała. Po wyjściu z lasu Sol wydało się, że wieś leży pogrążona w szarym blasku, a gdy umilkł szum drzew, uderzyła ją w uszy cisza.

Lekkim, szybkim krokiem mijała niskie, jeszcze uspięne domy. Niezwykłą ciszę mącił jedynie szmer wiatru w trawie. Sol dotarła na wzgórze, na którym stał kościół, i zatrzymała się.

Niecierpliwie odgarnęła długie, czarne loki, które wiatr nawiewał jej na twarz.

Przez chwilę stała spokojnie, badawczo rozglądając się dokoła. Ujrzała dyby, słup, przy którym

obdzierano ze skóry, i miejsce, gdzie kamienowano ludzi. Trochę dalej stał pień, na którym przestępcy kładli głowy w oczekiwaniu na uderzenie topora. W oddali, choć zawsze dobrze widoczna dla ludzi wchodzących do kościoła, stała pusta szubienica.

5

Tyle zdołała zobaczyć. Ale Sol potrafiła wyczuć o wiele więcej. Stała nieruchomo, obróciwszy się twarzą do wiatru, tak by odgarniał jej włosy sprzed oczu. Z zadowoleniem odkrywała, że potrafi głęboko wnikać w atmosferę tego miejsca. Czuła strach, śmiertelne przerażenie tych wszystkich, którzy tu zakończyli życie. Widziała mgłę wstydu snującą się wokół dybów, wyczuwała rozpacz rodzin, żądę sensacji śliniących się z ciekawości widzów, ich radość z cudzego nieszczęścia.

Sol nie bała się zmarłych. Wiedziała, choć sama tego nie pamiętała, że kiedyś śmiała się głośno do wisielca dyndającego na stryczku. Silje potraktowała to wówczas jako dziecięcą niewiedzę, ale to nie była prawda. Świat Sol noc, ciemność i śmierć. Imię, jakie nadano jej ku ochronie, wcale nie pomogło. Jej znakiem był księżyc, nie słońce.

Sol bała się tylko jeden jedyny raz. Wtedy kiedy rozgniewał się na nią Tengel. Zabiła wówczas kościelnego, nędznika, który chciał skrzywdzić jej rodzinę. Respekt, jaki czuła przed Tengelem, miał swe źródło nie tylko w strachu. Brał się z głębokiego uczucia, jakim go darzyła. Sol kochała Tengela całym sercem.

To właśnie obawa przed jego gniewem sprawiła, że tak długo zachowywała się spokojnie.

Poza tym nie było nic, co mogłoby przestraszyć Sol.

Za plecami poczuła gwałtowny podmuch wiatru.

Miała dwadzieścia lat. Był rok 1599, mogła zacząć żyć naprawdę.

Tak jak było umówione, Are czekał na nią na skraju lasu. Był jedynym synem Tengela. Miał na wpół dorosłą twarz trzynastolatka, szerokie kości policzkowe i czarne jak węgiel włosy. O

ile pozostałą trójkę rodzonych i przybranych dzieci Silje i Tengela można było uznać za doskonałe dzieła Stwórcy, o tyle o Arem nie dało się powiedzieć, że jest piękny jak z obrazka. W zamian promieniował od niego spokój i opanowanie. A to w sumie jest więcej warte, stwierdziła Sol.

Odprowadził ją do portu i dopilnował, by weszła na pokład wraz ze starą szlachcianką, przyjemnie zaskoczoną, że ma tak niezwykle piękną i dobrze wychowaną panienkę jako eskortę. Sol szybko przyjęła właściwy ton - życzliwy i przyjazny, a jednocześnie pełen admiracji wobec starszej damy. Jej głos przybrał miękka, wyrażającą szacunek barwę.

Każde słowo Sol było wyrazem gotowości do niesienia wszelkiej pomocy.

Długo stała machając ręką do Arego, który odpowiadał jej z brzegu. Rozpoczęła się przygoda.

Podróż do Danii okazała się dość męcząca, silny wiatr rzucał statkiem na wszystkie strony.

Sol jednak miała w swoim węzélku środek przeciwko chorobie morskiej, za co szczególnie wdzięczna była sędziwa dama. Podczas rejsu trzymała się bardzo dzielnie. Z dumą opowiadała, chwając się Sol, że były jedynym pasażerkami, którym udało się zwalczyć morską chorobę.

6

Ale jeżeli Sol miała nadzieję na jakiś niewielki romans już w trakcie podróży, to musiała czuć się mocno zawiedziona. Wszyscy pasażerowie mężczyźni albo wisieli na relingu, albo skręcali się gdzieś w kącie, zaś załoga składała się wyłącznie ze starych, niezgrabnych wilków morskich, niegodnych nawet jednego spojrzenia.

Mimo to dla spragnionej życia Sol sama podróż morzem była niezwykle emocjonująca.

Wykorzystywała każdą okazję, by stać na pokładzie, a kiedy fale pryskały jej aż na twarz, głośno chichotała. Gdy statek nurkował między falami, jak gdyby chciał dotrzeć na samo dno morza, śmiała się zachwycona, a gdy ciężko znów się wynurzał, oblany słoną wodą, radość buchała jej z piersi. Teraz naprawdę zrozumiała, jak bardzo monotonne było życie w Lipowej Alei.

Kiedy przybili do portu w Kopenhadze, na szlachciankę czekał już powóz. Rola Sol była więc zakończona. Dama była tak zachwycona swą młodą opiekunką, że obdarowała ją niewielką sakiewką, pełną brzęczących monet. Sol musiała powstrzymać się ze wszystkich sił, by nie zajrzeć i sprawdzić od razu, ile w niej było. Ukłoniła się i machała za odjeżdżającym powozem.

Nie pozostawiono jej jednak swemu losowi. Na brzegu oczekiwał Dag. Rzuciła mu się w ramiona:

- Dagu, jak wspaniale wyglądasz! Dorosłeś, mały braciszku!

Odsunęła go od siebie i zmierzyła wzrokiem od stóp do głów. Nabral męskości. Nadal miał

wąską twarz i długi, prosty nos, ale rysy stały się bardziej regularne. Mocno zarysowane, jasnobrązowe brwi odcinały się od blond włosów, a oczy były stalowoszare. Ubrany modnie, nie nosił już zwykłej, watowanej kurtki wyciętej w szpic, z kryzą wokół szyi i falbanami przy rękawach, ani też krótkich, baloniastych spodni. Nie, Dag mieszkał teraz w Kopenhadze i nadażał za modą. Miał kapelusz z szerokim, po jednej stronie wygiętym do góry rondem i z przymocowanym piórem. Kołnierz opadał w dół, a kurtka i spodnie były bardziej obcisłe, uwydatniające kształty.

Nosił długie buty, które Sol niezwykle przypadły do gustu. Był taki przystojny!

Wkrótce zaczęła reagować jak prawdziwa kobieta. Jej wzrok zatrzymywał się na strojach przechodzących dam.

- A więc to tak należy teraz wyglądać? Jaka się muszę wydawać niemodna! Chyba się gdzieś ukryję, Dagu!

Roześmiał się. On również był nią zachwycony pomimo jej prostego norweskiego odzienia.

- Nie ma ku temu żadnego powodu. Och, jakże ja sobie z tym poradzę?

- Z czym?

7

- Z utrzymaniem wielbicieli z daleka od ciebie!

- A dlaczego trzymać ich z daleka? - roześmiała się Sol i Dag wziął to za dowcip, choć w zamierzeniu Sol wcale tak nie było.

- Mieszkam niedaleko. Ten kawałeczek możemy przejść piechotą. Pozwól mi wziąć swój kuferek. O, wcale nie jest taki ciężki. Daj mi też węzełek!

- Nie, sama poniosę.

Dag spojrzał na nią z ukosa, ale nie nalegał.

- Jak się mają wszyscy w domu? - zapytał, kiedy opuścili tętniący życiem port i znaleźli się na ruchliwej ulicy.

Sol szeroko otwierała oczy, przyglądając się wszystkiemu co nowe - ciżbie ludzkiej, zwierzętom na ulicach, wdychała zapach ryb i wodorostów, dymu, odpadków, owoców i jarzyn. Co prawda była kilka razy z Tengelem w Oslo i Akershus, ale teraz to zupełnie coś innego. Tu był wielki świat!

- W domu? W porządku. Mam cię gorąco od wszystkich pozdrowić, naturalnie przede wszystkim od Charlotty. Są też listy, cała masa. I pieniądze.

- To wspaniale - ucieszył się Dag.

- Are zastanawiał się, czy mógłbyś zdobyć dla niego nowoczesną strzelbę. Och, Dag, to takie interesujące! Popatrz na ten dom! Jaki ogromny!

Podeksytowana paplała bez ustanku.

- Mama Charlotta jest teraz z pewnością bardzo samotna?

- O, tak, z utęsknieniem wyczekuje, aż skończysz studia i znów wrócisz do domu. Ale dużo czasu spędza z Silje.

- A inni? Jak im się wiedzie?

- Tengel jak zwykle ciężko pracuje, opiekując się pacjentami. Wprawdzie próbował

ograniczyć swe zajęcia do kilku dni w tygodniu, ale to nie takie proste. Ludzie i tak przychodzą po dotyk jego uzdrawiających dłoni. Przybywają z daleka, a przecież on nigdy nie umiał odmawiać. Zimą grasowała jakaś okropna zaraza, więc zabronił chorym przychodzić do nas do domu, żebyśmy

się nie zarazili. Przybywali jednak jak roje much i Tengel był naprawdę zrozpaczony. Udało się nam jednak. Wiesz przecież, że Ludzie Lodu są silni. Tylko twoja babcia, baronowa wdowa, nie była w stanie oprzeć się chorobie.

- Tak, wiem. I ogromnie mi jej brakuje.

8

- Mnie też - powiedziała Sol cicho. - To wspaniała kobieta. Tengel był wówczas bliski załamania. Łączyły ich silne więzi. Ale w Tengelu jest coś dziwnego, wcale nie widać po nim wieku.

- Pamiętasz chyba Hanę? - zapytał Dag. - Ona też była niebywale stara.

- Czy pamiętam Hanę? - powtórzyła Sol z bólem w głosie. Od razu jednak wzięła się w garść i roześmiała głośno. - Dlatego ja też będę prastara, braciszku. Przeżyję was wszystkich!

- Zobaczymy - odparł Dag, czując się dziwnie nieswojo. - A Silje, jak ona się miewa?

- Silje jest taka jak przedtem. Wesoła i spokojna tak długo, jak długo ma Tengela. Dużo maluje, chyba się trochę zaokrągliła. Ale do twarzy jej z tym. I... Och, zapomniałam o czymś!

Liv ma starającego.

Dag zatrzymał się nagle na samym środku ulicy. Jakiś powóz zahamował przed nimi gwałtownie, uskoczyli w bok.

- Co ty mówisz? - wykrzyknął. - Na miłość boską, przecież to jeszcze dziecko!

- Niedługo skończy szesnaście lat, będzie miała siedemnaście. Nie uwierzyłbyś, jest taka łagodna i śliczna. Silje nie była starsza, kiedy zakochała się w Tengelu.

Dag nie słuchał. Jego twarz przybrała kamienny wyraz.

- Moja mała siostrzyczka ma starającego! Co to za człowiek?

- Nie przejmuj się tym tak bardzo! Hm, co mam ci powiedzieć? Jest z dobrej rodziny.

Naturalnie nie ze szlacheckiej, przecież Liv też nie jest szlachcianką, ale to bardzo bogata rodzina kupiecka. Ojciec nie żyje. Laurents przejął jego interesy.

- Podoba ci się?

Sol wzruszyła ramionami.

- Nie jest w moim typie - odparła wymijająco.

Ruszyli naprzód. Dag szedł długo w milczeniu. Przywiązywał dużą wagę do opinii Sol o ludziach,

nikt bowiem nie umiał oceniać ich tak dobrze jak ona.

- A Liv? Co ona mówi? Nie podnoś sukni tak wysoko, Sol, tu nie jest aż tak brudno!

- Hm, Liv właściwie w ogóle nie mówi zbyt wiele. Tak naprawdę nie wiem, co ona myśli.

Słyszeliśmy, że ty też masz zamiar się ożenić. Czy już wkrótce?

9

- Ja? Kto to powiedział?

- Charlotta. Zrozumieliśmy, że jest jakaś panna Trolle.

- Matka tak powiedziała? Do Liv?

- Do nas wszystkich. Była bardzo szczęśliwa.

- Ależ, moi drodzy - uśmiechnął się Dag zrezygnowany. - Wspomniałem tylko w kilku listach, że ona należy do grupy moich znajomych i że to ładna i miła dziewczyna. No tak, interesowałem się nią trochę, ale nie była moją wybranką. Nie widziałem jej od wielu tygodni! Mama to prawdziwa swatka.

Nie powiedział już nic więcej, Sol mówiła więc dalej.

- A Are to dobry chłopak. Spokojny i życzliwy, najbardziej z nas przywiązany do ziemi. Nie będzie z nim kłopotu.

- Na pewno! Wiesz, tak bardzo tęsknię za nimi wszystkimi. A ty, Sol? Masz jakichś zalotników?

- Ja? - roześmiała się głośno. Skręcili właśnie z głównej ulicy w niewielką, bogatą boczną uliczkę. - Nie. Skąd miałabym ich wziąć?

- Nie przesadzaj! Musisz mieć całe stado wielbicieli!

Spoważniała.

- Być może. Ale oni mnie nic nie obchodzą. Czasami się boję, Dagu. Wydaje mi się, że nie jestem w stanie w nikim się zakochać.

Przyglądał się jej długo, nic nie mówiąc. Potem powiedział lekko:

- Z pewnością nie spotkałaś jeszcze tego właściwego. Wiem przecież, że potrafisz kochać ludzi.

- Tak, moich najbliższych. Ale wiesz, wydaje mi się, że Tengel przysłania mi wszystkich mężczyzn. Nie zrozum mnie źle, nie jestem w nim zakochana, to nie o to chodzi. Ale nikt nie dorasta mu do pięt. Porównuję z nim różnych młodzieńców i żaden nie może się z nim mierzyć.

- To jasne. Tengel jest tylko jeden.

- Tak, i to właśnie jest takie straszne.

Dag się zamyślił.

10

- Można by powiedzieć, że poszukujesz mężczyzny - ojca, ponieważ nigdy go nie miałaś.

Ale tak nie jest. Nie szukasz kogoś o dobroci Tengela, Sol. Szukasz mężczyzny, który miałby jego autorytet i demoniczną siłę!

- Masz rację - powiedziała zrezygnowana.

- Wobec tego powiem ci jedno, kochanie. Tengel wcale nie jest taki silny. Całą siłę czerpie od Silje!

Sol długo milczała.

- Tak - powiedziała w końcu. - Ale jej siła bierze się znów stąd, że ma jego miłość.

- To prawda.

- Po prostu żadne z nich nie mogłoby żyć bez drugiego.

- Tak. Ty i ja mieliśmy wielkie szczęście, że dorastaliśmy w tej rodzinie. Jesteśmy na miejscu. To ta brama.

- Naprawdę wspaniały dom! - powiedziała Sol, z podziwem patrząc na piękną fasadę i złotoniebieską dekorację w kształcie wachlarza, umieszczoną nad bramą wejściową.

- Tak, i ludzie, u których mieszkam, są bardzo mili. Będziesz miała własny pokój na czas całego pobytu. Niestety, przybywasz w niezbyt odpowiednim momencie. Właśnie zginął ich maleńki synek.

- Umarł?

- Nie, zginął, jak powiedziałem. Zniknął przed trzema dniami.

- Och - westchnęła Sol. - To okropne. Gorsze niż wszystko inne.

- Tak, niepewność. Biedna matka, odchodzi od zmysłów! Szukali już wszędzie, sprawdzali w okolicznych kanałach. Bez rezultatu. Teraz przypuszczają, że ktoś uprowadził dziecko.

Zniknęło bez śladu.

Znaleźli się w domu, nie mogli więc kontynuować rozmowy. Wyszli gospodarze, by ich powitać. Dag ani trochę nie przesadzał. Dłonie kobiety drżały, a twarz nosiła ślady niezliczonych łez.

Dag przedstawił ich sobie przytłumionym głosem.

- To moja siostra przyrodnia, Sol Angelika, a to moi wspaniali gospodarze, hrabia i hrabina Strahlenhelm.

11

- Twoja siostra jest czarująca - powiedział hrabia i ujął schyloną w głębokim ukłonie Sol za rękę. - Henrietto, czy spotkałaś kiedy podobne oczy? Nigdy nie widziałem takiego koloru.

Bursztynowo-żółte!

Dama zdołała jedynie uśmiechnąć się słabo i skinąć głową.

Sol ukradkiem podziwiała jej strój. Miała koronkowy kołnierz, wielki jak koło młyńskie, wyszywany perełkami czepiec, a na biodrach pod suknią z brokatu musiały być umieszczone poduszki tak wielkie, że mogła oprzeć na nich rękę.

Hrabia zwrócił się do Daga.

- Może zechcesz pokazać Sol jej komnatę, Dagu. Niedługo podadzą niewielki posiłek.

Muszę was prosić oboje, byście wybaczyli mojej żonie. Nie będzie nam dotrzymywać towarzystwa, jest zupełnie wyczerpana.

- Oczywiście, rozumiem - odparła Sol cicho.

W tej samej chwili spłynęło na nią gwałtowne, nieznane uczucie: pewność, która niebywale ją podnieciła i sprawiła, że ogarnęła ją niecierpliwość.

Kiedy hrabina wyszła, przyciskając chusteczkę do twarzy, Sol zwróciła się do hrabiego:

- Komnata może poczekać. Być może potrafię pomóc wam odnaleźć dziecko.

- Sol! - wykrzyknął Dag ostrzegawczym tonem.

Gospodarz uniósł dłoń, chcąc go uciszyć.

- Co chcecie przez to powiedzieć, młoda damo?

- Dagu, wiem, że nie powinnam, ale trzeba się spieszyć!

- O czym mówicie? - dopytywał się hrabia. - Czy coś wiecie?

Dag stanął między nimi.

- To jest straszliwie niebezpieczne dla mojej siostry. Nie wątpię, że jest w stanie pomóc, ale może też przez to stracić życie. Wszystko zależy od waszej dyskrecji.

- Proszę mi to wyjaśnić!

- Zwróciliście uwagę na oczy mojej siostry, panie hrabio Strahlenhelm. One nie są zwyczajne. Jeżeli Sol twierdzi, że należy się spieszyć, to przeczuwa, że dziecko żyje.

Przynajmniej na razie. A ponieważ czekała, aż pani domu wyjdzie z komnaty, to znaczy, że wie, iż wasza żona nie jest w stanie dochować tajemnicy.

12

Hrabia spoglądał raz na jedno, raz na drugie.

- Życie mojego dziecka jest dla mnie wszystkim.

- Czy przysięgniecie więc, że nigdy słowem nie wspomnicie nikomu o tym, co teraz nastąpi?

- spytała Sol. Niecierpliwość gotowała się w niej, nie mogła wprost spokojnie ustać. - Że nigdy mnie nie zdradzicie?

- Przysięgam.

- Dobrze. Dajcie mi jakąś rzecz, jakąś nie upraną sztukę odzieży, którą dziecko niedawno miało na sobie. Pamiętajcie jednak, że nie obiecuję, iż je odnajdę. Ale zrobię tyle, ile w mojej mocy.

Szczupły, wysoki mężczyzna wydał z siebie głębokie, długo wstrzymywane westchnienie.

- Błagam was, panno Sol. Za najdrobniejszą wskazówkę będę wam dziękować na kolanach.

- Mogę więc zawierzyć waszej dyskrecji?

- Rozumiem dobrze, co stałoby się z wami, gdyby władze dowiedziały się o waszych...

zdolnościach. Ale moja żona wyraziła już życzenie, bym wynajął... tak zwaną mądrą babę.

My jednak nie znamy nikogo takiego, nie mogłem więc tego uczynić. Niech moja wdzięczność będzie gwarancją mego milczenia!

- A jeśli mi się nie powiedzie?

- Będę wdzięczny za wasze starania. Ale może tu wejść niespodziewanie moja żona albo ktoś ze służby!

Sol przeszukała kieszenie.

Proszę natychmiast podać żonie ten środek nasenny! Dopilnujcie, by zażyła wszystko. A służbę z pewnością zdołacie utrzymać z daleka.

Hrabia posłał Dagowi pełne zdziwienia spojrzenie.

- Nic o tym nie mówiłeś, Dag.

Dag uśmiechnął się z goryczą.

- O takich talentach nie mówi się głośno, jaśnie panie.

- Tak, na pewno masz rację.

Pospiesznie opuścił komnatę, zabierając ze sobą proszek.

13

- Nie powinnaś tego robić, Sol - mruknął Dag.

- Nie powinnam?

Westchnął.

- Jeżeli ci się powiedzie, zaskarbisz sobie jego przyjaźń na całe życie. A on jest potężny, Sol!

Potężniejszy niż przypuszczasz.

- Kim on właściwie jest?

- Sędzią. Jednym z najważniejszych w całej Danii.

- Och! - wykrzyknęła Sol, zasłaniając usta dłonią. - Naprawdę nieźle się urządziłam!

- Tak. Nic dziwnego, że nie zna żadnej „mądrej baby”. Skazał je wszystkie na śmierć.

Dlatego prosiłem cię, byś trzymała język za zębami.

- Nie mogłam milczeć, Dag. Czułam, że dziecko żyje i że cierpi. Można to było wyczuć w całej komnacie, tak jakby wszystkie ściany krzyczały.

- Miejmy nadzieję, że odnajdziesz chłopca - powiedział Dag z niepokojem w głosie.

14

ROZDZIAŁ II

Powrócił hrabia.

- Dałem mojej żonie ten środek - rzekł krótko. - Powiedziałem też służbie, że nie życzymy sobie, by nam przeszkadzano. Macie rację, w stanie takiego wzburzenia, w jakim jest Henrietta, natychmiast wykrzyczałaby wszystko. Znalazłem zabawkę, którą mój synek zwykle tulił do siebie, kiedy zasypiał. Wszystko inne zostało uprane.

Sol wzięła do ręki szmacianą laleczkę.

- Jest z materiału, to dobrze. Czy mogę usiąść?

- Oczywiście, wybaczcie mi nieuwagę.

Usiadła.

- Proszę was o całkowite milczenie.

W komnacie zapadła cisza. Nie docierały tutaj żadne odgłosy ulicy. Długo, bardzo długo było cicho. Sol trzymała laleczkę tuż przy twarzy. Siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczyma.

W końcu się odezwała. Jej głos był monotony, mówiła niemal szeptem.

- Ciemność... zimno... mało miejsca.

Hrabia miał na końcu języka pytanie, czy chłopiec żyje, powstrzymał się jednak.

- On śpi - powiedziała Sol. Jej głos był już teraz normalny. - Albo jest nieprzytomny, nie wiem. Czuję strach, silny lęk i osamotnienie. Nie, to już minęło, teraz on nic nie odczuwa.

O mój Boże, westchnął w duchu hrabia i była to jedyna myśl, jaka zdołała się przedrzeć przez porażoną bólem świadomość ojca. Wszystko było dla niego takie niezwykle: ta kobieta, którą właściwie powinien skazać na śmierć, dała mu odrobinę nadziei. Co ma zrobić? Nie, teraz przede wszystkim jest ojcem. Jego obowiązki zawodowe nie mogą mieć w tej chwili najmniejszego znaczenia.

A jednak dręczyły go wyrzuty sumienia. Chciał przed nimi uciec, ale cały czas kołatała mu się po głowie pewna myśl: co z innymi, podobnymi do niej kobietami, które bez litości skazywał w imię sprawiedliwości?

Sol mówiła. Była to mieszanina pytań skierowanych do Daga i hrabiego oraz słów przeznaczonych tylko dla niej.

- To blondynek. Cienkie, puszyste włosy. Czy on ma rok, dwa? Wydaje mi się, że raczej dwa. Ubrany w aksamit. Purpurowo-czerwony aksamit. Szeroki, koronkowy kołnierz...

15

Hrabia skierował ku Dagowi zdziwione, pytające spojrzenie.

- Ja nic nie mówiłem - odpowiedział Dag szeptem.

Po tych słowach w nieszczęśliwego ojca wstąpiły nowe siły. Wyprostował się, a w jego oczach, noszących ślady nie przespanych nocy, zapłonęła iskierka nadziei. Hrabia był na swój sposób eleganckim mężczyzną. Dużo starszy od żony, ascetyczny, wypiełgowany, o bystrych oczach. Teraz

w napięciu wpatrywał się w niezwykle gościa.

Sol bardzo bawiła ta sytuacja. Mogła wykorzystać swoje talenty, nareszcie znalazła się w samym centrum zainteresowania. Jednocześnie jednak martwiło ją położenie dziecka, niepokój drażnił jej nerwy.

- Trzeba się spieszyć - powiedziała zniecierpliwiona. - Trzeba się bardzo spieszyć.

- Ale gdzie on jest? - niemal wykrzyknął hrabia.

- Nie wiem - prychnęła Sol. Nie była już dłużej w stanie kontrolować swych manier.

- Czy ktoś go porwał?

- Nie, nie wyczuwam żadnego złego wpływu. Cicho bądźcie, mam coś!

Hrabia był zbyt przejęty, by zareagować na sposób, w jaki dziewczyna się doń zwracała.

Dag był dumny z siostry, ale jednocześnie i zatroskany. Jak to wszystko potoczy się dalej?

Znał przecież dobrze szczególne zdolności Sol i Tengela, jednakże nigdy nie zdołał całkiem się do nich przyzwyczaić. Były obce jego naturze. Nagle spostrzegł, że dłonie zacisnęły mu się w pięści. Na co właściwie odważyła się Sol? Oby to tylko dobrze się skończyło!

- Widzę haczyk - powiedziała, nerwowo obracając w rękę laleczkę. - Haczyk, na który zamknięte są drzwi.

- Czy ktoś go zamknął? - zapytał ojciec dziecka ochryłym głosem.

- Nie, haczyk jest w środku, w ciemności.

Miał ochotę zapytać, w jaki sposób mogła wszystko zobaczyć, jeżeli było tak ciemno, obawiał się jednak, że pytanie wyda się zbyt naiwne.

- Zamknął się od środka - rzekła zdecydowanie. - I nie potrafi znów otworzyć.

Hrabia siedział jak na szpilkach. Oczy błyszczały mu niby szaleńcowi.

- Tu, w domu?

16

Sol nie była pewna.

- Nie sądzę. Nie wyczuwam jego bliskości. Ale przecież nie mógł zawędrować daleko, taki małeńki. W jaki sposób zginął?

Siedziałem tu razem z Dagiem, który się uczył. U mojej żony było z wizytą kilka przyjaciółek.

Rozmawiały w salonie. Chłopczyk bawił się obok na podłodze. Opiekunka była na górze, w jego pokoju, przygotowywała wszystko, by go przewinąć. Kiedy zeszła na dół, zapytała o chłopca. Dopiero wtedy damy zorientowały się, że zniknął.

- Jak długo...?

- Sądziły, że minął mniej więcej kwadrans od chwili, kiedy ostatni raz zwróciły na niego uwagę. To bardzo spokojne dziecko, dużo bawi się samo. Panno Sol, odnajdźcie go!

Błagam was... Zróbcie, co tylko w waszej mocy!

Skinęła głową.

- Gdzie on siedział?

Hrabia wskazał miejsce.

- Tu, na podłodze koło kominka.

Sol wstała i podeszła tam. Uklękła i zaczęła lekko dotykać dłońią klepek na podłodze.

Wyglądała na oszołomioną.

- Coś jeszcze musiało się wydarzyć. Coś, o czym zapomnieliście...

- To niemożliwe. Przeszukiwaliśmy wszystko tysiąc razy, każdy kąt w domu...

- Jego nie ma w domu.

- Nie mogliśmy o niczym zapomnieć - westchnął hrabia.

- Jak, wobec tego, wyszedł? Czy umiał sam otworzyć drzwi?

- Nie. Ale, jak widzicie, drzwi pomiędzy wszystkimi komnatami są otwarte. Niemożliwe, by sam mógł otworzyć bramę, a drzwi do ogrodu były zamknięte. Dlatego sądziliśmy, że ktoś go uprowadził. Ale wy, panno Sol, nie zgadzacie się z tym?

Sol wstała; drżała z podniecenia i irytacji.

- Coś tu jest... Czy macie psa?

- Tak - odparł hrabia zaskoczony. - Dużego doga niemieckiego.

17

- Czy on potrafi otwierać drzwi?

- Tak, drzwi do ogrodu. Ale one były zamknięte, kiedy chłopczyk zniknął.

Dag wstał i przeszedł do komnaty obok. Znajdowały się tam drzwi, których damy nie mogły zobaczyć z miejsca, gdzie siedziały. Pozostali pospieszyli za nim.

- Ale psa tu nie było - wtrącił hrabia. - Stał uwiązany na swoim miejscu, pod oknem kuchennym.

- W ogrodzie?

- Tak... to znaczy niedokładnie. Za rogiem, koło warzywnika.

- Czy to wy, panie, tam go uwiązaliście?

- Nie, nie wiem, kto to zrobił. Prawdopodobnie ktoś ze służby.

- A więc tego nie sprawdzaliście?

- Nie, psa w ogóle nie brano pod uwagę, ponieważ był uwiązany.

Przyglądali się drzwiom prowadzącym do ogrodu. Klamka była za wysoko jak dla małego dziecka. Ale...

Dag położył ręce na klamce tak, jakby były łapami wielkiego psa, i pozwolił im opaść.

Zamek puścił. Łatwo mogli sobie teraz wyobrazić, jak psisko otworzyło drzwi, napierając na nie. Dag przez chwilę stał spokojnie, przyglądając się drzwiom, które przymykały się powoli i bezgłośnie, aż wreszcie zamek zaskoczył z cichym trzaskiem. Znow były zamknięte.

- No tak, ale przecież pies był uwiązany - upierał się hrabia.

- Należy znaleźć odpowiedź na pytanie, od kiedy - powiedział Dag. - Mógł zostać uwiązany po tym, jak chłopiec zniknął, ale zanim damy zauważyły, co się stało.

- Zaraz sprawdzę, kto i kiedy uwiązał psa - powiedział gospodarz. - Cały czas zakładaliśmy, że ktoś dostał się do domu przez drzwi wejściowe i porwał chłopca, korzystając z naszej nieuwagi. Poczekajcie, zaraz wypytam służbę...

- Nie teraz - wtrąciła Sol szybko. - Nie możemy tracić czasu na nieistotne szczegóły: Wyczuwam, że pies był zamieszany w tę historię, i to wystarczy. Chodźmy do ogrodu!

Ogród nie był duży, z jednej strony jego granicę stanowił wysoki dom, sąsiadujący z domem hrabiego, na wprost zamykał go gęsty żywopłot, a z prawej strony stały, graniczące z sąsiednią posesją, niskie zabudowania gospodarcze. Podeszli do nich i stamtąd zobaczyli 18

ogródek warzywny. Tam, koło swej budy, leżał pies. Na ich widok podniósł się i zamerdał ogonem. Dag podszedł do niego, by go pogłaskać.

Sol rozpoczęła wędrówkę wzdłuż szop. Gwałtowne gdakanie zdradziło, że jedna z nich była

kurnikiem. W następnej kwiczała świnia.

- Szukaliśmy tu wszędzie - powiedział hrabia. - W każdej szopie.

Kiwnęła głową.

- Nie ma go tutaj. Czy próbowaliście posłać psa jego tropem?

- Tak, ale to nie jest pies gończy. Pożyczyliśmy takiego psa od znajomych, ale ślad był już za stary. Następnej nocy po zniknięciu chłopca padał deszcz.

Ściana sąsiedniego domu była szczelna. Pozostawał tylko żywopłot. Sol przesuwiała się wzdłuż niego na czworakach, czasami kładąc się zupełnie na ziemi.

- Zniszczycie odzienie! - zawołał hrabia.

- Nie szkodzi! - odburknęła. - Tu chodzi o życie. Wy też szukajcie.

Mężczyźni posłuchali.

- Jest za gęsty - stwierdził hrabia. - A wzdłuż niego już szukaliśmy.

- Dziecko jest w stanie zrobić nieprawdopodobne rzeczy - odparła Sol.

Dag wcisnął dłoń między ciernie.

- Jak sądzicie, czy tu jest za ciasno?

Pozostali spojrzeli. Sol leżała teraz płasko jak naleśnik, na wpół ukryta w żywopłocie.

- Wygląda beznadziejnie, ale jeżeli udało mu się wydostać na zewnątrz, to właśnie wtedy. My nie przejdziemy, ale dzieciak? Czy on jest mały jak na swój wiek jaśnie panie?

- Tak, trzeba przyznać, że tak. I ma dopiero dziewiętnaście miesięcy. Jednak nie zdołałby wtedy przejść, to niemożliwe!

- Ale tak właśnie było - stwierdziła Sol, wyslizgując się spomiędzy gałęzi. - Spójrzcie! To zaczepiło się na kolcach!

Otworzyła dłoń, pokazując kilka jasnych, cienkich włosków.

- Albrekt! - wykrzyknął hrabia. - To pierwszy ślad!

19

- Wsuńcie tu głowę - powiedziała Sol. - Zobaczcie, jeżeli przeczołgał się nieco w prawo, to mógł wyjść gdzie indziej.

- Tak, mogło tak być. Ale to naprawdę niezwykle - powiedział hrabia, oglądając wskazane przez Sol miejsce.

- Dzieci są niezwykle. Co znajduje się z tyłu, za żywopłotem?

- Jakiś warsztat. Jego zaplecze.

- W jaki dzień tygodnia zginął?

- W niedzielę. Ale tam również szukaliśmy. Cały kwartał szukał chłopca.

Sol usiadła. Była brudna i podrapana na twarzy. I bardzo ładna.

- Na pewno przedostał się tędy, zakładam się o zbawienie mojej duszy - powiedziała.

Łatwo jej to powiedzieć, pomyślał Dag z goryczą. Na ile się orientował, Sol nigdy nie troszczyła się o zbawienie duszy.

- Czy możecie dokładniej opisać miejsce jego pobytu? - poprosił hrabia Strahlenhelm.

- Nie. Tam był jakiś zapach, którego nie mogę rozpoznać. Znam go skądś, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć, co to jest.

- Nie możesz zobaczyć otoczenia? - spytał Dag cicho. - Na zewnątrz?

- Nie, na zewnątrz nie mogłam niczego zobaczyć. A w środku, w tej ciasnej komórce, było tak niewiele rzeczy. W jednym rogu stało coś dużego, czarnego, ale nie pamiętam dokładnie co, teraz nie widzę niczego. Tylko w domu, kiedy trzymałam laleczkę.

- Przyniosę ją - zaproponował hrabia.

- Nie, widziałam już wszystko, co mogłam przy jej pomocy zobaczyć. Ale to ta czarna rzecz tak pachnie. Myślę, że jest drewniana. To może głupie, ale cały czas chodzi mi po głowie słowo „imadło”.

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Może rodzaj prasy? - zapytał Dag.

- Może - odpowiedziała z wahaniem. - Może, nie wiem.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - powiedział Dag. - Jak taki brzdąc mógł się zamknąć od środka? Przecież nie sięga tak wysoko?

20

Sol pocierała czoło.

- Myślę, że przy drzwiach coś leżało. Musiał na tym stanąć.

- A potem nie był w stanie otworzyć?

- Chyba tak.

- Jakie pomieszczenie może zamykać się na haczyk od środka? - zapytał hrabia, który najwyraźniej w pełni zaakceptował zdolności Sol.

- Znam tylko jedno - oświadczył Dag sucho.

- Nie - zdecydowała Sol. - To nie jest... ustęp. Wydaje mi się, że to może być jakieś przejście, przechodni korytarz...

- A więc muszą być jeszcze jedne drzwi?

- Możliwe, nie widziałam ich.

- Niedziela? - powiedział Dag zamyślony. - Jeżeli to było w kwartale warsztatów, chłopiec długo mógł płakać, nie będąc przez nikogo słyszany.

- Musimy tędy przejść. - Sol ruchem głowy wskazała żywopłot.

- Nie trzeba - odparł sędzia. - Pójdziemy naokoło. - Już spieszył przez dom.

- Sol, wyglądasz okropnie - mruknął Dag.

Hrabia Strahlenhelm usłyszał go i przystanął. Wspólnymi siłami mężczyźni starali się doprowadzić Sol do porządku, a także oczyścić własne ubrania.

Obejście kwartału i dotarcie do tylnego podwórza nie zabrało im dużo czasu. Stało tam kilka niewielkich bud i całe stopy starych beczek. Gdy się zbliżali, spod ich nóg na wszystkie strony rozbiegły się szczury. Hrabia zadrżał.

Przechodząc przez dom, Sol chwyciła laleczkę. Teraz stała z zamkniętymi oczami, kurczowo przyciskając ją do siebie. Nie zauważyła nawet chłopaka, przebiegającego przez podwórze, przyglądającego się jej ciekawie, takim samym nic nie rozumiejącym spojrzeniem, jak uprzednio służba stojąca w oknach i obserwująca całą trójkę przy żywopłocie. Chłopak zniknął równie szybko jak się pojawił i znów pozostali sami.

- Nie - odezwała się Sol półgłosem. - To już chyba wszystkie impulsy, jakie byłam w stanie odebrać.

- Spróbuj jeszcze - poprosił Dag.

Kiedy zorientowała się, że Dag ma do niej zaufanie, poczuła ulgę. Wcześniej często się z niej

wyśmiewał. Odprężyła się całkowicie, pozwoliła odpłynąć wszystkim myślom. Wtedy pojawiły się nowe odczucia.

- Nie, dziecka nie ma tu w pobliżu - powiedziała. - Hrabio Strahlenhelm, on tak słabo oddycha! Musimy się pospieszyć, nie wiem, gdzie on...

- Jeżeli przeszedł przez żywopłot - wtrącił Dag - i nie ma go tutaj...

- To znaczy, że musiał wyjść na ulicę - dokończył hrabia.

- Myślicie, że tu było otwarte? - zapytała Sol. - W niedzielę?

- Tak musiało być. Nie mamy czasu, by to sprawdzić - odpowiedział sędzia.

Znów pospiesznie wybiegli na ulicę, odchodzącą od głównej.

- Ktoś musiał go tu widzieć - stwierdził Dag.

- Nie, jeżeli szybko przedostał się na inne podwórko - powiedziała Sol. Przystanąła. - Ten zapach... Gdybym tylko wiedziała, co to jest. To metaliczny, oleisty zapach... Kręci w nosie.

- Czy Albrekt jest tu gdzieś w pobliżu? - zapytał hrabia cicho.

- Nic takiego nie wyczuwam.

Biedny ojciec westchnął.

- Gdybym był małym chłopcem, który znalazł się na nieznannej ulicy, to co bym wtedy zrobił? - zastanawiał się Dag. - Rozejrzałbym się dookoła... Odwrócił i poszedł z powrotem?

Nie, tego nie mógł zrobić, bo tam go nie ma.

Głośno zaturkotały koła dorożki przejeżdżającej główną ulicą.

- On jest dosyć strachliwy - powiedział hrabia szybko. - Takie dźwięki przeraziłyby go.

- Pójdziemy wobec tego w przeciwnym kierunku - zdecydowała Sol.

Pospieszyli wąską uliczką, badając wszystkie bramy, czy są zamknięte, i...

- Zobaczcie! - zawołał Dag. - Tu, pod tymi drzwiami, jest szczelina. Tędy mógł się prześlizgnąć.

- Tak, i ta brama jest podobna do naszej - powiedział hrabia z podnieceniem. Sol zauważyła, że drżał jak pies gończy, który odnalazł ślad, lecz którego nadal nie spuszcza się ze smyczy.

stronie była taka sama szczelina. A więc to tylko połączenie między uliczkami!

- Teraz już jesteśmy za daleko od domu - stwierdził hrabia, kiedy wyszli na nową ulicę. - To nie tu.

- Do tego czasu chłopca z pewnością ogarnęła już panika - powiedział Dag.

- Pewnie bezradny biegł przed siebie na oślep, nie mogąc odnaleźć matki i ojca. A może coś przyciągnęło jego uwagę, na przykład jakieś zwierzę. To przecież była niedziela, niewiele ludzi na ulicach...

- Spójrzcie! - wykrzyknął hrabia. - Popatrzcie na ten znak, tam dalej na ulicy! Po prawej stronie. Czy to może coś znaczyć, panno Sol?

- Drukarnia - przeczytała. - Drukarnia? Tak! Farba drukarska! To właśnie ten zapach!

Niemal na wyścigi pobiegli do drukarni i z hukiem otworzyli drzwi.

- Dzień dobry - powiedział hrabia, usiłując zachować spokój. Wewnątrz pracowało dwóch mężczyzn, hrabia przywitał się z nimi po kolei. - Jestem sędzia Strahlenhelm. Nie wiem, czy słyszeliście, że przed trzema dniami zniknął mój mały synek.

- A więc to wasz syn, panie - powiedział starszy z mężczyzn. - Tak, słyszeliśmy o tym. Ale wy, panie, mieszkacie dość daleko stąd, na ulicy, gdzie rosną róże, prawda?

- Tak, ale wpadliśmy na trop, który może wskazywać, że chłopiec jest właśnie tutaj. Czy jest tu jakieś niewielkie pomieszczenie, w którym stoi stara prasa?

Mężczyźni spojrzeli na siebie pytająco. Widać było, że nie rozumieją przyczyn wizyty tych wzburzonych gości.

- Przejęliśmy tę drukarnię niedawno - powoli powiedział młodszy, wyglądający na syna. - I nic takiego tu nie widzieliśmy.

- Czy z tyłu jest podwórze?

- Tak, oczywiście.

- Możemy je obejrzeć?

- Naturalnie.

Już ruszyli w stronę prowadzących tam drzwi, kiedy nagle Sol powiedziała:

- Nie, dziecko musiało dostać się od ulicy. Nie ma innej możliwości.

Zawahali się.

- Tak, jest brama od ulicy, ale zamknięta na klucz.

Dag był już na zewnątrz, za nim śpiesznie podążyła cała reszta.

- Na dole jest otwór, mógł się tędy prześlizgnąć.

Drukarz wyciągnął duży klucz i otworzył drzwi. Znaleźli się na dobrze utrzymanym, przestronnym podwórzu, z którego kilkoro drzwi prowadziło do ustępów i bocznych zabudowań. Szybko do nich zajrzeli.

- Nie - powiedział załamany hrabia. - To fałszywy trop.

Sol stała zupełnie nieruchomo.

- Cicho! On jest tutaj! Wiem, że to tu, w pobliżu. Jestem tego pewna. Och, pospieszcie się!

Drukarze, niczego nie rozumiejąc, popatrzyli na nią z przerażeniem.

- Ale przecież tu nie ma więcej drzwi - wtrącił Dag.

- Jest tylko tylne wejście do drukarni - powiedział starszy.

- Nie potrafiłby ich otworzyć - stwierdził hrabia.

Mężczyzna zwrócił się do syna:

- Czy byłeś tu w niedzielę?

- No tak, byłem.

- Czy możliwe, żeby te drzwi były choć przez chwilę otwarte? - zapytał Dag podniecony.

Młody drukarz zastanowił się.

- Tak, z pewnością. Wtedy gdy wychodziłem... - Zawstydzony zrobił ruch w kierunku ustępu.

Dagowi przeszły ciarki po plecach. Wiedział, jak zwykle wyglądają tak zwane ustronne miejsca. Ciemny korytarz, w którym trzeba szukać skrawka wolnej przestrzeni. Bardzo nieprzyjemne wrażenie.

- Niczego nie słyszeliście? - zapytał hrabia. - Na przykład płaczącego dziecka?

- Niczego takiego nie pamiętam. Ale mogłem nie zwrócić na to uwagi.

Sol była już przy drzwiach do drukarni. Otworzył je starszy mężczyzna.

Znów znaleźli się w środku, tym razem wchodząc od tyłu.

- Zapach - powiedziała Sol cicho. - Tak, to tutaj.

- W jaki sposób mój synek mógł się tutaj dostać? - jęknął hrabia. - Tak strasznie daleko od domu. Nie, nie mogę w to uwierzyć. I gdzie miałby teraz być? Tu nie ma przecież żadnych schowków.

- I drukarz, który tu był w niedzielę, musiałby go zobaczyć. W każdym razie w środku - powiedział Dag. - Nie, Sol, sądzę, że się mylisz.

Sol była jednak pewna swego. W jej głowie kłębiły się przeróżne myśli. Rozgorączkowana zwróciła się do młodszego:

- Kiedy wróciliście z podwórza, to co wtedy zrobiliście? Zastanówcie się! To ważne!

Popatrzył na nią zmieszany.

- To była ostatnia rzecz, jaką zrobiłem przed pójściem do domu. Zamknąłem wszystko i wyszedłem.

- To za mało dokładnie. Wyjdźcie na podwórze i jeszcze raz przejdźcie przez te drzwi.

Posłuchał jej niechętnie.

- Najpierw zamknąłem tylne drzwi. O tak. Potem sprawdziłem, czy wszystko jest jak należy przygotowane do pracy w poniedziałek, sprzątnąłem kilka porozrzucanych drobiazgów, a potem wyszedłem głównymi drzwiami i zamknąłem je na klucz.

- I to już wszystko?

- Tak, to wszystko. No i jeszcze zamknąłem składzik.

- Składzik? - zawołali wszyscy naraz.

- Tak, drzwi są za tymi półkami, obok tych prowadzących na podwórze. Prawie o nich zapomniałem, tak rzadko ich używamy.

Hrabia natychmiast podążył we wskazanym kierunku. Rzeczywiście za półkami znalazł niewielkie drzwi. Pchnął je, ale ani drgnęły.

- Czy były otwarte w niedzielę?

- Tak, musiałem coś stamtąd przynieść.

- Dokąd one prowadzą? - zapytał Dag, podczas gdy drukarz mocował się z zamkiem.

- To korytarz wzdłuż tylnej ściany budynku. Przechowujemy tam różne, rzadko używane rzeczy. Większość to stare rupiecie. Nigdy jakoś nie było czasu, żeby to porządnie przejrzeć.

Drzwi otworzyły się i weszli do wąskiego korytarzyka, zarzuconego rozmaitymi przedmiotami.

- Niech Sol idzie pierwsza - powiedział Dag.

Przepuścili ją.

- Czy tu nie ma jakiegoś schowka?

- Nie, to tylko przejście do składu kołodzieja w następnym domu, tam...

Starszy mężczyzna zatrzymał się gwałtownie.

- Co to? Dlaczego te drzwi są zamknięte? Zawsze były otwarte! To tylko zwykłe drzwi do składu, nigdy dotąd nikt ich nie zamykał.

- Powiedz, czy tam przypadkiem nie stoi stara prasa? - zapytał go syn.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie zdążyliśmy jeszcze przejrzeć tych wszystkich staroci. O, drzwi są zamknięte od środka!

Hrabia natychmiast rzucił się na nie całym swym ciężarem, ale tylko rozbolało go ramię, ponieważ drzwi otwierały się w jego stronę.

Z początku ani drgnęły. Dag próbował odciągnąć je palcami, ale coś trzymało od środka.

Haczyk?

- Pomóście! - krzyknął.

Mężczyźni wcisnęli palce między futrynę a drzwi. Młodszy drukarz przyniósł łom i podważył.

Odkoczył haczyk.

Ujrzeli małe, ciemne pomieszczenie z podobnymi drzwiami na przeciwległym końcu. Stała tam stara, zakryta prasa drukarska, zrobiona z drewna, z imadłami, i... przytulony do niej policzkiem leżał mały chłopczyk w ubranku z purpurowego aksamitu, żałośnie teraz z tyłu mokrym.

Hrabia, podnosząc małe, bezwładne ciało, wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak stłumiony jęk.

- O Boże! - szeptał. - O Boże, Boże!

- Nie do wiary! - wykrzyknął starszy drukarz. - A więc on był tutaj! Ale skąd wiedzieliście...?

Dag, który bardzo sobie nie życzył, by drukarz miał dość czasu na zastanawianie się nad odpowiedzią, rzekł szybko:

- Poszliśmy za pewnym śladem. Ale to dziwne, że nie słyszeliście małego?

- W warsztacie nigdy by się go nie usłyszało, tam jest tyle hałasu. A tym korytarzem, jak mówiłem, chodzimy bardzo rzadko. O Boże, co za tragedia... Ten berbecz zabłądził aż tutaj przez nikogo nie widziany!

Szybko przenieśli się do warsztatu.

- Czy on żyje? - zapytał sędzia drżącym głosem. - Albrekcie, odpowiedz tacie! Musimy natychmiast zanieść go do lekarza...

- To niepotrzebne - powiedział Dag spokojnie. - Sol już od pięciu lat pomaga mojemu przybranemu ojcu i zna się na leczeniu niemal tak dobrze jak on.

- W niektórych dziedzinach lepiej - powiedziała Sol nieskromnie. - Tyle że nie mam jego uzdrawiających dłoni. Dajcie mi dziecko!

Po sekundzie wahania hrabia podał jej bezwładne, małe ciało.

- Tak, teraz przydałyby się nam ręce Tengela - przyznała. - Ale chłopiec żyje, panie sędzio, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, choć o mały włos nie zdążylibyśmy na czas.

O nie, pomyślał Dag. Nie jest z nim aż tak źle. Na pewno przeżyłby jeszcze parę dni. Ale Sol zawsze musi trochę dramatyzować żeby uczynić życie ciekawszym niż jest w rzeczywistości.

- Musimy dać mu trochę wody - ciągnęła Sol. - Odwodnienie jest najbardziej niebezpieczne.

- Woda tutaj jest niedobra - powiedział drukarz. - Używamy jej tylko przy pracy. Ale mamy trochę wina...

- Czy na pewno jest już dojrzałe? - zapytał sędzia.

- Jest wyborne!

- Spróbujemy więc - stwierdziła Sol, choć wątpiła w jakość trunku.

Podczas gdy mężczyźni nalewali wina, Sol starała się obudzić chłopca.

- Nic nie mogę zrobić, dopóki się nie obudzi - wyjaśniła. - Ocknij się, mały włóczęgo!

Uderzyła chłopca po buzi. Tego było już dla hrabiego za wiele.

- Ależ... - zaprotestował.

- Nic mu od tego nie będzie! - wykrzyknęła Sol. - Spójrzcie: budzi się!

Chłopiec powoli otwierał oczy, ale zaraz zmrużył je od światła.

- Dzięki ci, dobry Boże! - szepnął hrabia.

Sol nie do końca zgadzała się z nim w kwestii, komu naprawdę należało dziękować, ale mądrze to przemilczała.

- Dajcie wino! Szybko, zanim mały znów zaśnie!

Pospiesznie podano jej naczynie.

Chłopiec przełknął parę łyków, wykrzywił się i zaczął głośno płakać.

- Dobrze już, dobrze, tatuś jest z tobą - usiłował uspokoić malca hrabia, biorąc go od Sol. -

Dobrze, wszystko będzie dobrze.

Chłopiec, z głową na jego ramieniu, znów zapadł w sen albo zemdlął. Oczy hrabiego wypełniły się łzami. Nawet nie próbował ich powstrzymać.

Podziękowali drukarzom za pomoc i pośpiesznie skierowali się do domu.

- Trzeba jak najprędzej podać mu krople wzmacniające - mówiła Sol, biegnąc koło hrabiego i nie spuszczać oka z nieruchomej buzi dziecka. - Czy pozwolicie, bym się nim zajęła?

- Oczywiście, będę wam za to wdzięczny. Ale nie mówcie jeszcze nic mojej żonie - poprosił.

- Na wypadek gdyby się nie powiodło. Mam nadzieję, że ona jeszcze śpi.

Kiedy dotarli do domu, rozpoczęła się gorączkowa krzątanina. Oszołomiona, podniecona służba dwoiła się i troiła, wypełniając polecenia Sol. Brudne, cuchnące ubranko zostało błyskawicznie zdjęte, a chłopcu przygotowano gorącą kąpiel.

Rozbudziło go to do reszty i Sol udało się podać mu wywar ze wszystkich wzmacniających ziół, jakie miała.

Dziewczyna zachłysnęła się faktem, że jest w centrum zainteresowania, i robiła co mogła, by stosowane przez nią zabiegi wydawały się bardziej skomplikowane, niż były w rzeczywistości. Każdy wyciągnięty przez siebie woreczek oglądała ze zmarszczonymi brwiami, jak gdyby podejmowała bardzo ważne medyczne decyzje.

Dag przyglądał się jej i w duchu uśmiechał. Dobrze znał swą przyrodnią siostrę.

28

Chłopczyk zapłakał cicho, wyjęto go więc z balii. Gorliwe ręce osuszyły go ogrzаныmi ręcznikami i opiekunka założyła mu suche, ciepłe ubranko, wysmarowawszy uprzednio podrażnioną małą pupę.

Wszyscy byli tacy szczęśliwi!

- Chyba będzie żył? - z tym pytaniem zwrócił się hrabia do Sol.

- Na pewno! Trzeba go tylko chronić przed zimnem i podawać te środki, które zaordynuję.

Gdyby miał gorączkę, dajcie mi od razu znać. Stopniowo zwiększajcie mu porcje jedzenia!

Ale ważna, pomyślał Dag i znów musiał się uśmiechnąć. Teraz chyba trochę przesadza! Ale, na Boga, był z niej dumny!

- Dobrze więc - hrabia odetchnął z ulgą. - Czy ktoś może obudzić moją żonę?

Jedna ze starszych kobiet zniknęła, a wkrótce potem dał się słyszeć płacz, po którym rozległy się szybkie kroki na schodach.

- Albrekt! - wołała kobieta na długo przedtem, nim do nich zeszła. - Czy to prawda? Nie mogę w to uwierzyć, nie wierzę, nie wierzę...

Chwiejąc się stanęła w drzwiach. Jej mąż podniósł do góry wycieńczonego chłopczyka.

Hrabina krzyknęła i już była przy mężu, wrywając mu dziecko. Tuliła je tak mocno, że ostro zaprotestowało.

Sol natychmiast przyznała, że hrabia postąpił bardzo roztropnie nie budząc żony, podczas gdy oni zajmowali się dzieckiem. Inaczej nic nie mogliby zrobić. Nawet teraz musieli niemal siłą odebrać synka hrabinie, a ją samą posadzić na fotelu, aby mogła się nieco uspokoić.

Po chwili udało się jej opanować na tyle, by podjąć z nimi rozmowę.

- Gdzie on był? Gdzie go znaleźliście? I kto?

- To ta mała, kochana Sol go odnalazła - powiedział hrabia miękko.

- O nie - zaprotestowała z fałszywą skromnością Sol. - Uważam, że wszyscy przyczyniliśmy się do tego, cała trójka. Ja odnalazłam ślad, a wy potrafiście logicznie myśleć.

- Jaki ślad? - zdziwiła się hrabina.

Wymienili szybkie spojrzenia.

- Kosmyk włosów na gałązce w żywopłocie - powiedział Dag. - Potem pozostawała już tylko jedna droga.

29

Było to może zbyt uproszczone wyjaśnienie, ale ponieważ nikt już o nic nie pytał, nie wglębiali się w szczegóły.

- Musimy zamówić dziękczynną mszę w kościele - stwierdziła hrabina.

Daga wcale nie zdziwił grymas na twarzy siostry.

Nareszcie Sol mogła obejrzeć swój pokój. Później wydano wspaniały obiad na jej cześć, by godnie uczcić wielki dzień.

Jej pobyt w Danii rozpoczął się niezwykle interesująco. Została bohaterką; a w tej roli czuła się znakomicie.

30

ROZDZIAŁ III

Dag znalazł w końcu czas, by otworzyć listy, które przywiozła mu Sol. Zaczął od Liv. Powoli rozkładał kartki.

Kochany Braciszku, pisała. Jak bardzo mi Ciebie brakuje! Grastensholm jest takie puste bez Ciebie. Odwiedzam czasem ciocię Charlottę. Bardzo mi jest za to wdzięczna, bo może wtedy mówić o Tobie. Ja też to lubię. Brakuje mi jednak naszych wędrowek po zamku.

Spoglądam często na wieżę i wspominam, jak stawaliśmy tam na górze i rozmawialiśmy o życiu we wsi, patrząc na kręcących się wokół maleńkich ludzi, wyglądających z góry jak mrówki.

Dlaczego wszyscy muszą dorosnąć, Dagu?

Słyszałam, że zamierzasz ożenić się z panną Trolle. Cieszy mnie, że znalazłeś towarzyszkę życia. Mam nadzieję, że ona jest dla Ciebie dobra. Jeśli nie, to będzie miała ze mną do czynienia! Nikt nie może wyrządzić krzywdy memu bratu!

Ja też powiedziałam „tak” Laurentsowi Bereniusowi; myślę, że nie będę tego żałować. Nie znasz go, to tak zwana „dobra partia”. Jemu nigdy nie będę mogła opowiedzieć o naszym ubogim życiu w Dolinie Ludzi Lodu. Ten człowiek ma wszystko. Właśnie przejął kwitnącą firmę po swym niedawno zmarłym ojcu. Handluje z zagranicą. Niemieckie i holenderskie statki, które przyplývają do Oslo z towarami albo po towary - wszystkim tym zajmuje się teraz Laurents. Jest bardzo przystojny i potrafi konwersować. Jest trochę uparty, kategoryczny; taki, co to zawsze wszystko wie najlepiej. Rozumiesz chyba, o co mi chodzi?

Ale to pewnie bierze się stąd, że jest od nas starszy i lepiej zna życie. Nigdy nie przyszłoby mu do

głowy, by rozmawiać ze mną o swoich interesach, dlatego niewiele mogę o nich powiedzieć. Jego zainteresowanie mną jest tak gorące, że czuję się niemal zawstydzona.

Nie jestem przecież tego warta! Wszyscy stwierdzili, że byłabym głupia, gdybym odmówiła, i przecież go lubię, więc na pewno będzie mi z nim dobrze. Trudno się oprzeć takiej życzliwości. Ślub odbędzie się w tydzień po pierwszym dniu zimy. Mam nadzieję, że Ty i Sol przyjedziecie wtedy do domu. Pozdrów swoją pannę Trolle i niech Ci się dobrze wiedzie, mój kochany braciszku!

Twoja oddana siostra Liv.

Dag opuścił ręce. Przez chwilę siedział nieruchomo z uczuciem lekkiego niepokoju w sercu.

W końcu wziął następny list, od mamy Charlotty. Jak zwykle pełen był napomnień, a także słów mówiących o tęsknocie i samotności.

Przyszły mąż Liv jest czarujący, pisała Charlotta. To ja poznałam ich ze sobą. Spotkali się tutaj i on z miejsca się zakochał. To zresztą nic dziwnego, o takiej żonie jak Liv muszą marzyć wszyscy mężczyźni. Tak bardzo się cieszę w jej imieniu.

Silje pisała o mającym nastąpić ślubie z rozczulającymi błędami:

31

Trochę się wahaliśmy, Tengel i ja, bo Liv jest pszczesz taka młoda. Ale hłopak nie może się jusz prawie doczekać, to taka świetna partia dla naszej dziewczynki. Nie mogła lepiej trafić.

Tak, hłopak to hyba złe słowo, to prawdziwy męszczyzna. Liv pszeniesie się do Oslo, to dobrze, że nie będzie daleko od nas.

Ty i Sol musicie pszyjechać na wesele. Bardzo niepokoję się o Sol, ale wieżymy w ciebie, pilnuj jej, Dagu! Pszez te pięć lat była wspaniała, ale ostatnio zrobiła się niemożliwa. Boję się, że cehy dziedziczne zaczynają brać w niej gurę. Nie mogliśmy jusz dłużej jej utszycić.

Tengel także skreślił kilka słów swym stanowczym charakterem pisma. Pisał o tym, że w domu wszystkim wiedzie się dobrze i że bardzo za nim tęsknią.

Był też króciutki list od Arego. Are, młodszy braciszek, on już chyba zaczynał dorastać?

Właściwie to nie był list; raczej szkic Lipowej Alei, pokazujący, w jaki sposób Are ma zamiar rozbudować i ulepszyć budynki gospodarcze. Wyglądało na to, że ma rozległe plany. Tak, Aremu z pewnością się powiedzie. On wie, czego chce, i zawsze doprowadza do końca to, co rozpoczął.

Dag zatęsknił nagle za domem. Zebrał listy i poczuł, że nie może doczekać się powrotu do Grastensholm. Ale nie uda mu się pojechać na ślub, to przecież w środku semestru. A Sol?

Nie jej nie zmusi do powrotu, zanim naprawdę nie posmakuje życia! Jednak spróbuje, chyba właśnie mniej więcej w tym czasie miała wrócić do domu.

Dag podzielał obawy Silje. Sol nie była osobą, nad którą chętnie podejmowano się opieki.

W sobotę miał zabrać ją na zabawę i przedstawić swoim kolegom ze studiów. Bał się jednak, co może z tego wyniknąć.

Tu, w domu, z pewnością zrobiła wyjątkowe wrażenie!

Laurents Berenius...

Ciekawe, co to za wstrętny przemądrzalec?

Sol błyszczącymi oczami rozglądała się po oświetlonej gospodzie, w której urządzili zabawę przyjaciele Daga.

Wokół długiego stołu, nieco już nadgryzionego zębem czasu, siedzieli młodzi intelektualiści ze swymi siostrami lub kuzynkami. Przyrowadzenie kogoś spoza rodziny było zabronione.

Taki postępek uznano by za nieprzyzwoity; stawiałby kobietę w bardzo złym świetle.

Blask świec odbijał się w perłach i w oczach dam. Na stole stały pełne puchary i olbrzymie półmiski z wszelakim jadłem.

32

Sol wiedziała, że wzbudza zainteresowanie. Hrabina Strahlenhelm podarowała jej jedną ze swych nie używanych sukien, którą Sol uznała za cudo. Nigdy dotąd nie czuła się piękniejsza niż tego wieczora, a spojrzenia młodych mężczyzn mówiły jej, że się nie myli.

Jednak młodzieńcy jej nie interesowali. Może tylko jeden, ale ze szczególnego powodu.

- Dagu - szepnęła do brata. - Co oni mówili o chłopcu, którego nazywali Prebenem?

- Zapomnij o tym - powiedział Dag, sięgając po udko kurczęcia.

- Kiedy ja muszę wiedzieć! Wspomnieli coś o czarnej magii.

- Sol - powiedział zrezygnowany, odwracając się w jej stronę. - Czy ty naprawdę musisz żyć niebezpiecznie?

- Dla mnie to naturalne. Dobrze, sama mogę się dowiedzieć.

- Nie, dziękuję. Nie będziesz chodzić i o to rozpytywać. No cóż, skoro tego chcesz... On jest członkiem jakiegoś ezoterycznego związku tu, w Kopenhadze.

Ezoteryczny związek! Tajemnica - tylko dla wtajemniczonych!

- Ale ty masz się trzymać od tego z daleka, zrozumiałaś?

- Tak, braciszku - odpowiedziała Sol potulnie, ale jej oczy natychmiast poszukały wzroku Prebena.

Nie wyróżniał się wyglądem, miał przeciętną twarz, którą zapomina się w chwili, gdy przestanie się na nią patrzeć. Ale i on odkrył już Sol, być może zauważył jej zainteresowanie. Później, kiedy spojrzenia ich zetknęły się już kilkakrotnie, podszedł do niej.

Dag był wtedy gdzie indziej. O ile Sol się nie myliła, flirtował właśnie z jakąś panną.

- Słyszałem, że jesteś przyrodnią siostrą Daga - zagadnął Preben.

- Tak, mniej więcej. Wyrastaliśmy w tym samym domu.

- Zauważyłem twoje zainteresowanie moją skromną osobą. Jeśli mogę zapytać, czym zasłużyłem sobie na ten zaszczyt?

Sol musiała się uśmiechnąć.

- Hm, nie mogę powiedzieć, że to z powodu twoich złocistych loków, ponieważ ich nie masz.

Nie potrafisz zgadnąć dlaczego?

- Tak. Twoje oczy... Coś mi mówi, że mamy wspólne zainteresowania.

33

Skinęła głową.

- Zabierz mnie na spotkanie!

- Boimy się szpiegów i donosicieli.

- Czy wyglądam na kogoś takiego?

- Nie. Wydaje się, że pociąga cię mistycyzm.

- Tak, w każdym razie to, co ty nazywasz mistycyzmem. Dla mnie to sprawy naturalne. Ale bardzo jestem spragniona kontaktu z podobnymi do mnie osobami. Przez całe życie mieszkałam w Norwegii, odizolowana. Muszę z kimś porozmawiać, nauczyć się czegoś więcej!

Przybrał groźną minę i pokiwał głową.

- Z pewnością czegoś się nauczysz! Tam się dzieją niezwykle i przerażające rzeczy!

- Ja się tego nie boję - zaśmiała się cicho Sol.

- Jak chcesz. Przedstawię twoją prośbę na spotkaniu i jeśli się zgodzą, następnym razem pójdziesz ze mną. Ale ostrzegam cię, to, czym oni się zajmują, to nie są błahostki. Czy masz jakieś rekomendacje?

- Tylko swoje własne. To powinno właściwie wystarczyć. Mógłbyś zapytać Daga, ale nie sądzę, by to był najlepszy pomysł. On nie powinien wiedzieć o wszystkim, czym zajmuję się w Kopenhadze.

- Dobrze, to brzmi rozsądnie.

* * *

Ślub Liv i Laurentsa odbył się tak, jak planowano, ale ani Sol, ani Dag nie mogli wziąć w nim udziału. To było po prostu niemożliwe, bowiem statki między Kopenhagą a Norwegią kursowały rzadko i dość przypadkowo. W tym czasie nie odpływał żaden.

Liv była najdelikatniejszym dzieckiem z czworga wychowanków Tengela i Silje. Podobna do matki jak dwie krople wody, ale chyba bardziej od niej wrażliwa. Było więc tak, jak pisała Dagowi Charlotta: Liv to wyśniona żona i synowa. Umie się znaleźć w każdej sytuacji i jak nikt inny - dzięki swej łagodności i skromności - wychodzi naprzeciw oczekiwaniom otaczających ją ludzi. Jest czuła i wszechstronnie uzdolniona.

Jak wszechstronnie, tego Laurents Berenius nawet nie brał pod uwagę.

34

Sama Liv żyła w pewnego rodzaju uśpieniu. Przysłuchiwała się rozmowom innych, sama niewiele mówiąc. Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie. Laurents jest taki miły. I taki przystojny. Myślę, że mam wyjątkowe szczęście. Dag ożeni się z panną Trolle i wszyscy w domu będą się radować naszą przyszłością. Tak, naprawdę mam szczęście, myślała.

Jeśli chodzi o wesele, to Charlotta przeszła samą siebie. Silje chciała, by odbyło się w Lipowej Alei i oczywiście zgodzono się na to. Ale Charlotta przysłała wielkie wozy z jadłem i zorganizowała cały orszak strojnych powozów do kościoła i z powrotem. Ostatniego dnia koniecznie chciała wydać ucztę na Grastensholm.

Przystano na to, większość uroczystości i tak odbywała się w Lipowej Alei.

- Musimy zrobić wrażenie na rodzinie Bereniusów - stwierdziła, pragnąc przekonać Silje i Tengela. - Chłopak nie ma prawa myśleć, że żeni się poniżej swego stanu. Tak przecież wcale nie jest! Nic nie może być za dobre dla najlepszej towarzyszki zabaw Daga.

Liv wyglądała czarująco w regionalnej sukni ślubnej. Jej włosy ciemniały z latami i miały teraz głęboki odcień nieczyszczonej miedzi, a oczy były tak intensywnie niebieskozielone i ufne, że wzruszał się każdy, kto w nie patrzył. Laurents był zakochany po uszy, aż bił od niego blask szczęścia.

Uśmiechnęła się do niego, zawstydzona, promienna, starając się ukryć bicie serca. Bała się, czuła się niepewnie, w piersi miała bolesne uczucie pustki. Tak dzieje się pewnie ze wszystkimi pannami młodymi, pomyślała. Laurents jest taki przystojny. Wysoki, ma dość krótkie, błyszczące brązowe włosy, szarobrunatne oczy i łagodnie zarysowany prosty nos.

Obiecała sobie, że uczyni go szczęśliwym.

Jedyną kroplą goryczy był brak Daga i Sol. Przez ostatnie tygodnie tak bardzo chciała z nimi porozmawiać, usłyszeć ich zdanie o Laurensie. Sol poznała go, ale zachowywała się wyjątkowo obojętnie. Kiedy Laurens przychodził, zawsze miała coś innego do roboty, i Liv nie wiedziała, co Sol o nim myśli.

Ze wszystkimi swoimi troskami zawsze zwracała się do Daga, ale teraz był tak daleko.

Zresztą nie mógł zajmować się jej kłopotami, może urojonymi, teraz kiedy jego myśli zajęte były panną Trolle. Siostra nie jest przecież tak interesująca jak ukochana.

Nieobecność rodzeństwa sprawiała, że Liv stała się jeszcze mniej pewna siebie.

Kiedy wracali konno z kościoła do domu weselnego, miało miejsce przykre wydarzenie.

Wzdłuż drogi stali ludzie z wioski i ze dworu. Przygotowano dla nich ucztę w stodole; potem mieli wziąć udział w innych zabawach we dworze. Przystrojeniem stodoły zajął się Are wraz z dziewczętami, efekt był imponujący.

Droga z kościoła okazała się tak szalona, jak być powinna. Konia panny młodej popędzono wśród huku wystrzałów i głośnych okrzyków, tak aby zdążyła ująć trollom i złym duchom, 35

które czyhały na nią w ostatni dzień dziewictwa. Ale Liv była dobrym jeźdźcem i bez kłopotów dotarła do domu.

Na podwórzu musiała przyjąć dużą misę piwa i wypić ją na oczach wszystkich. Potem misę należało przerzucić przez dach domu. Jeżeli przeleci na drugą stronę, będzie to dobry znak, gwarantujący udane małżeństwo. Ale Liv nie powiodło się, naczynie ledwie sięgnęło dachu i stoczyło się po tej samej stronie.

Choć wszyscy starali się obrócić to w żart, Liv była zrozpaczona.

Wkrótce jednak zapomniała o tym zdarzeniu. Uczta weselna była wspaniała; trwała, jak należy, trzy dni. Goście wspominali ją jeszcze długo.

Dopiero kiedy zostali sami w wielkim domu, Liv zdała sobie sprawę, jak wielki i nieodwracalny przełom nastąpił w jej życiu. Skończyło się dzieciństwo u Silje i Tengela, teraz będzie wracać do Lipowej Alei i Grastensholm już tylko jako gość.

Wywołało to w niej jątrzące uczucie żalu, które trudno było ukryć.

Znów jednak pocieszała się myślą, że wszystkie panny młode czują podobnie.

Nie byli całkiem sami w tym wielkim domu. Mieszkała z nimi również matka Laurensa.

Oczywiście była na weselu, ale prawie się nie odzywała. Wydawało się, że szuka dziury w całym i

chciałyby coś skrytykować. Niczego jednak nie znalazła. Chociaż tak, Liv słyszała, jak wymruczała do siebie pod nosem: rozrzutność!

Wiedziała jednak, że gdyby wesele nie było tak wystawne, teściowa narzekałaby na skąpstwo i ubóstwo.

Laurents nie chciał tknąć Liv we dworze, gdzie odbywało się wesele. Czekał, aż zostaną całkiem sami.

- Znam ich, tych żartownisiów, którzy niby przez omyłkę wpadają do sypialni młodej pary -

powiedział - Nikt nie powinien zbezcześcić naszej pierwszej nocy, Liv.

Leżał więc, przyglądając się jej tylko w blasku łożowej świecy, pieszcząc czule i całując ostrożnie, delikatnie, aż zasnęli w największej czci.

Teraz byli już w domu, którego gospodynią na całe długie lata miała zostać Liv.

Ostrożnie złożyła suknię ślubną czy raczej „strój żony”, w który przebrała się następnego dnia po zaślubinach. Od tej chwili zawsze już musiała nosić na głowie chustkę jako znak, że jest kobietą zamężną. Uśmiechnęła się leciutko do siebie. Silje nigdy nie chciała nosić chustki, a Tengel ją w tym popierał. Wiele złych słów usłyszeli z tego powodu, ale oni byli tak silni, że bez trudu dawali odpór ludzkiemu gadaniu.

36

W sypialni było ciemno, tylko w kącie płonęła łożowa świeca. Jakże dziwnie być tu samą z Laurentsem! Nagle wydało się jej, że zupełnie go nie zna. Ogarnął ją strach.

Tak nie wolno myśleć! Przecież bardzo się jej podoba. Dojrzały mężczyzna i taki przystojny.

Widać to nawet teraz, gdy stoi w półmroku, zdejmując kamizelę. Musi mu dać miłość, na jaką zasługuje.

- Mężczyźni także potrzebują miłości - pouczała ją matka. - Chcą czuć, że są kochani. Miłuj z całego serca, moje dziecko. Myślę, że to właśnie jest tajemnicą szczęścia mojego i Tengela. Jesteśmy w pełni otwarci, nie boimy się okazać, ile dla siebie znaczymy.

Tak, Laurents zasługuje na całą moją miłość, przyznała Liv w duchu.

* * *

W domu, w Lipowej Alei, Tengel i Silje leżąc wpatrywali się w ciemność.

- To było wspaniałe wesele - powiedziała Silje z uśmiechem szczęścia na twarzy. - Ale czuję się jak wyżęta ścierka.

- Tak, bardzo się namęczyłaś - odparł Tengel. - Cały czas widziałem cię w biegu. A przecież te trzy dni to było tylko zakończenie długich przygotowań.

Silje ujęła go za rękę.

- Czy postąpiliśmy słusznie, Tengelu? Ona jest przecież taka młoda!

Westchnął.

- Ja też mam wątpliwości. Ale ty byłaś w tym samym wieku i, doprawdy, wiedziałaś, czego chcesz! Czy kiedykolwiek żałowałaś?

Przytuliła głowę do jego ramienia.

- Teraz domagam się pochwały. Ale Liv wydawała się taka mała i zagubiona. Taka bezbronna... bezradna... Nie, nie potrafię tego nazwać.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Gdyby chłopak nie był taki chętny i wytrwały, nigdy bym się na to nie zgodził. Ale to dobry człowiek. Spokojny i bardzo w niej zakochany.

- I ona sama też tego chciała. Ech, jesteśmy po prostu zwykłymi zatroskanymi rodzicami, którzy nie potrafią rozstać się z dziećmi. Liv... Owoc naszej miłości, Tengelu...

- Tak, uparłaś się wtedy. Pragnęłaś tego dziecka. Teraz dziękuję ci za twój upór.

37

- Oni nas opuszczają, Tengelu! Najpierw Dag, potem Sol, ale ona, mam nadzieję, wróci. A teraz Liv. Został nam tylko Are.

- Tak. I on z nami zostanie.

- Bogu niech będą za to dzięki!

- Tak bardzo boli, kiedy traci się dzieci.

- Nie tracimy ich. One są tu, tyle że my ich nie widzimy.

- Masz rację - zgodził się Tengel. - Lipowa Aleja stała się ich częścią, częścią, którą zabierają ze sobą w świat. Ale i zostawiają część siebie tutaj. Są tu nadal, Silje. Ich śmiech w szumie wiatru, kroki po podłodze... Zostawiły swój trwały ślad w domu, w obejściu.

- Tak. Myślę, że były tu szczęśliwe.

- Na pewno!

Otoczył ją ramionami i mocniej przyłgnęli do siebie.

W domu w Oslo pogasły światła. Liv leżała w łóżu w objęciach Laurentsa, który szeptał jej do ucha czułe słowa i delikatnie gładził jej ciało.

Liv miała uczucie, że jest zupełnie gdzie indziej, jak gdyby w ogóle jej to nie dotyczyło.

Przypomniała sobie jednak słowa Silje i zarzuciła mu ręce na szyję. Jego pieszczoty stopniowo stawały się coraz bardziej śmiałe i nagle Liv doznała zupełnie nowego uczucia: poczuła, jak powoli, leniwie rozpała się w jej ciele słodki żar. Jęknęła cichutko i przytuliła się do niego.

- Laurents - wyszeptała mu zdziwiona do ucha.

Jego dłoń znieruchomiała. W pokoju zrobiło się całkiem cicho.

- Leż spokojnie - powiedział zduszonym głosem. - Spokojnie, Liv. Nie musisz nic mówić ani robić. Żona przyjmuje po prostu pożądanie męża. On jest myśliwym, ona zwierzyną.

Próbowała się sprzeciwić.

- Ale ja bardzo bym chciała pokazać, jak jesteś mi drogi - powiedziała nieszczęśliwa. - Moją miłość do ciebie...

- Swoją miłość możesz okazać na tysiąc innych sposobów - powiedział oschle. -

Zadowolając mnie we wszystkim. W małżeńskim akcie to mężczyzna jest stroną aktywną.

38

Kobieta, jako źródło jego zaspokojenia, powinna być uległa. Żonie nie wypada okazywać uczuć. To domena nierządnic i dziewczek ulicznych.

Liv wpatrywała się w ciemność szeroko otwartymi oczami, zrozpaczona i nic nie rozumiejąca. Czowała, że wszystko w niej zamiera. Ogień zgasł; z uczuciem bezgranicznego wstydu przyjęła jego żądzę, pieszczoty i jego ciało.

Kiedy w końcu wyczerpany zasnął u jej boku, rozplakała się cicho, bezradnie, dając upust długo powstrzymany łzom.

Sol udała się wraz z tajemniczym Prebenem do niewielkiego, nędznego domu na obrzeżach Kopenhagi. Udało się jej wymknąć tak, że ani Dag, ani nikt inny w domu tego zauważył.

- Mieli bardzo wiele wątpliwości, czy naprawdę zezwolić na twoje przyjście - powiedział

Preben, przybierając ważną minę. - Dlatego proszę cię, byś nie zakłócała świętej czarnej mszy

trywialnymi drobiazgami! Pamiętaj, dziś wieczorem będzie z nami Szatan!

Sol skinęła głową. Uznała, że spotkanie zapowiada się interesująco.

Zeszli w dół do piwnicy wąskimi schodkami i Preben głośno, teatralnie, zapukał do drzwi.

Głos ze środka zapytał o hasło.

- Kości grabarza - odpowiedział Preben. Sol o mały włos nie wybuchnęła śmiechem.

Drzwi otworzył mężczyzna w czarnym płaszczu i w ciągu kilku sekund znaleźli się wewnątrz.

Kolejne drzwi prowadziły do piwnicznej izby, w której zebrało się około dziesięciorga młodych ludzi odzianych w czarne płaszcze. W milczeniu przyglądali się nowo przybyłym.

Jeden z mężczyzn był wyraźnie starszy od pozostałych. Jego płaszcz miał czerwone podbicie, a oczy przesłaniała mu maska, nie na tyle jednak, by ukryć błysk, który pojawił się w nich na widok wchodzącej Sol. Dziewczyna zauważała już wcześniej takie spojrzenia i doskonale zdawała sobie sprawę, co się za nimi kryje.

Szybko rozejrzała się dokoła. Niezliczona ilość czarnych świec rozświetlała łukowato wygięte sklepienie. Tuż przed nią stał długi, niski ołtarz, nad którym wisiał odwrócony krzyż.

Białe wapienne ściany pokryte były magicznymi znakami i imionami demonów.

Właśnie przemawiała młoda kobieta. Ściszyła głos, jak gdyby odmawiała monotonną modlitwę.

- Zgodziliśmy się, by na nasze zgromadzenie przybyła nowicjuszka z norweskiej prowincji.

To my zdecydujemy, czy będzie mogła przyjść tu znów. Ponieważ wszyscy już od dawna 39

jesteśmy czcicielami Diabła, oczekujemy, że norweska ignorantka dostosuje się do naszych reguł i będzie nas naśladować. Złożyłaś już przysięgę Apollonowi, to znaczy Prebenowi, prawda? Że nigdy nas nie zdradzisz? Dobrze.

Umilkła. Teraz zaczęła mówić druga dziewczyna.

- Pozwolono ci tu przyjść, ponieważ nasz przyjaciel zauważył twoje dziwne oczy. Ale para oczu z nikogo nie robi prawdziwej czarownicy. Wiele jeszcze musisz przejść, by dostąpić wtajemniczenia.

Sol nic na to nie powiedziała. Zamaskowany mężczyzna szepnął coś pierwszej kobiecie.

Ta jakby zawahała się, co wyostrzyło jej rysy. Na twarzy miała wypisaną niechęć. W końcu jednak skinęła głową i zwróciła się do Sol:

- Nasz mistrz, wcielenie samego Szatana, pragnie wtajemniczyć cię już dziś. To niezwykle.

Wyjątkowy zaszczyt. Żebyś wiedziała, jak masz się zachować, nasz mistrz odprawi najpierw ceremonię z inną kobietą.

Sol przytaknęła ruchem głowy.

Wszystkie kobiety, a było ich pięć, rzuciły się w stronę mistrza, oferując swoje usługi.

Odesłał je gestem.

Do ołtarza podbiegł jeden z młodych mężczyzn, niosąc małe naczynie. Zanurzył w nim palce i krwią narysował na ołtarzu jakiś zawiły wzór.

Mistrz stanął pośrodku tajemniczego rysunku. Pozostali opadli na kolana i rozpoczęli ekstatyczny śpiew. Była to istna kakofonia.

W tym czasie mistrz odprawiał swój rytuał. Zapalał świece i ustawiał na ołtarzu rozmaite przedmioty. Sol nie potrafiła doszukać się żadnego sensu w tym, co robił. Jego czynności wydały się jej beładną mieszaniną wymyślonych przez niego gestów.

Poczuła, jak rośnie w niej niesmak. Była bardzo wrażliwa na nastrój, a tu zetknęła się tylko z daremnym wysiłkiem, zapachem potu i całkowitą pustką.

Mężczyzna przerwał przedstawienie nagłym uniesieniem ramion. Wszyscy czekali w pełnym napięcia milczeniu, zwłaszcza kobiety. Następnie mistrz powoli opuścił rękę i teatralnym gestem wskazał na jedną z dziewcząt, która w ekstazie wystąpiła naprzód. Zrzuciła okrywający ją płaszcz i stanęła całkiem naga.

Mistrz wskazał na ołtarz, dziewczyna położyła się na nim posłusznie.

Pozostali znów zaczęli śpiewać. Ich ciała chwiały się, powoli zdejmowali okrycia i za chwilę już wszyscy byli nadzy.

40

Jedynie mistrz pozostał w płaszczu. Namalował kilka znaków na ciele dziewczyny. Sol pomyślała nieco bluźnierczo, że przypomina jej to przygotowanie tarczy przez łucznika.

Drwiąco uśmiechnęła się do siebie. Czyżby obawiał się, że nie wceluje?

Mistrz położył się na dziewczynie, zakrywając połami płaszcza ich ciała i cały ołtarz. Płaszcz był bardzo obszerny, nikt jednak nie mógł mieć wątpliwości, czym się pod nim zajmowali.

Również inni uczestnicy zgromadzenia zaczęli dotykać się nawzajem, wydając z siebie przeciągłe westchnienia. Ich głośne stęknięcia i jęki stworzyły nową symfonię dźwięków.

Kiedy Mistrz był już dostatecznie podniecony, przerwał akt i szybko powstał.

Odwrócił się w stronę Sol, owijając się płaszczem. Pozostawiona przez niego dziewczyna zsunęła się z ołtarza i poczołgała się ku pozostałym, żałośnie nie zaspokojona. Wtedy kobieta, której ustami najwyraźniej przemawiał sam mistrz, zwróciła się do Sol:

- Zajmij jej miejsce! Szatan jest gotów, by cię wtajemniczyć!

Sol zmarszczyła czoło.

- Rozbierz się - rzekła kobieta niecierpliwie.

Widać było, że nie podoba się jej takie faworyzowanie nowo przybyłej.

Zawód i złość, które stopniowo wzbierały w Sol, teraz eksplodowały. Jej oczy rzucały iskry.

- Miałabym dostarczyć taniej rozrywki temu oszustowi? Nigdy w życiu!

Twarze obecnych zmartwiały

- Złożyłaś przysięgę - powiedziała kobieta ostro. Preben wyglądał na wystraszonego.

- Jak śmiesz nazywać naszego mistrza oszustem? - zawołała dziewczyna, która poprzednio leżała na ołtarzu.

- Wszyscy jesteście nieświadomymi niczego durniami! - syknęła Sol rozzłoszczona. - Cóż wy właściwie wiecie o czarach? Jesteście zbieraniną naiwnych głupców, którzy bez krztyny talentu próbują odgrywać niebezpiecznych i demonicznych. Gdybyście przynajmniej spróbowali spojrzeć na siebie z humorem, mogłabym tu zostać i nauczyć was czegoś ciekawego. Ale wy udajecie potwornie ważnych i śmiertelnie groźnych. Uważacie, że tak wiele znaczą! Czy ten człowiek wmawiał wam, że ma kontakt z Szatanem? Że występuje w jego imieniu albo nawet jest samym Szatanem?

Prestiż wielkiego mistrza był w niebezpieczeństwie. Nareszcie przemówił cienkim, piskliwym głosem.

41

- Nauczyć nas czegoś? - powiedział drwiąco. - Nie pozwolę, by ubliżała mi jakaś dziewczynina z norweskiej prowincji. Twierdzisz, że nie umiem czarować? A więc spójrz!

Wyciągnął z kieszeni płaszcza trochę proszku i wrzucił do ognia. Zrobił to szybko, tak że zebrani nie zauważyli jego ruchu. Proszek eksplodował serią drobnych wybuchów.

- To mają być czary? Rzucanie prochu do ognia? - zapytała Sol. - To potrafi nawet dziecko.

- Mogę cię z czarować!

- Doprawdy? Pokaż nam!

Wziął głęboki oddech. Atmosfera stała się napięta. Niechęć uczniów do Sol była wprost namacalna, a tym czasem mistrz walczył o swą pozycję.

Podszedł do Sol, starając się przybrać jak najgroźniejszą minę. Najbardziej władczy, na jaki mógł się zdobyć tonem, ryknął:

- Rozkazuję ci pocałować moją rękę!

Sol z pogardą patrzyła mu prosto w oczy. Nieopisanie piękna ze wzrokiem ciskającymi błyskawice, wzburzonymi teraz ciemnymi włosami i rumieńcem na policzkach.

Wyciągnął rękę.

- Szatan mówi: pocałuj ją!

Przez moment w piwnicy panowała grobowa cisza. Sol na wpół przymknęła oczy.

- Czy ty sam w to wierzysz? - zapytała cicho. - Uklęknij!

W oczach mistrza pojawiła się bezradność. Bez sprzeciwu osunął się na kolana.

- Zdejmij płaszcz - rozkazała Sol.

Posłuchał. Przez zgromadzenie przeleciał szmer zdziwienia. Ich bohater poddał się rozkazom.

- Spójrzcie na niego! - powiedziała Sol wskazując na mężczyznę, który wpatrywał się w nią jak w transie. - Spójrzcie na jego małą, pomarszczoną męskość, na opadłe ramiona i fałdy na brzuchu! Spójrzcie na niego teraz!

Szybkim ruchem uniosła ręce i wyciągnęła na wierzch korzeń mandragory. Kiedy mistrz ujrzał wykrzywiony w kształt ludzkiej postaci korzeń, zachłysnął się i uskoczył w tył. Sol, trzymając amulet obiema rękami, skierowała go w jego stronę.

42

- Kładź się na podłogę! Kładź się i pełnij do ołtarza. Odwróć krzyż jak należy, bo nie masz nic wspólnego z Szatanem. To miejsce nie jest jego świątynią.

Ku ogromnemu zdziwieniu uczniów mistrz popęzł na brzuchu jak wąż do ołtarza, wstał, przytrzymując się rękami ściany, i przekręcił krzyż. Potem usiadł, wpatrując się w Sol wzrokiem zbitego psa.

Sol była rozgniewana, to dodawało jej jeszcze mocy. W samotności wiele ćwiczyła i eksperymentowała, teraz chciała wypróbować najtrudniejsze sztuki, o których mówiła jej Hanna.

Zamknęła oczy i wciągnęła głęboki oddech. Wszyscy wpatrywali się w nią jak skamieniali.

Kiedy zebrała już dość sił, znów podniosła powieki. Powoli podeszła do ołtarza i stanęła po prawej stronie mistrza.

- Nędzniku! - powiedziała beznamiętnie. - Nędzna kreaturo, spójrz w lewo!

Zgromadzeni zaczęli wydawać zduszone okrzyki. Sol śmiała się szyderczo. Wiedziała, że się jej powiodło.

- Ona... ona stoi po obydwu jego stronach! - jęknął jeden z uczniów. Rozbiegany wzrok mistrza przenosił się z jednej postaci na drugą. Sol słyszała, że szczęka zębami ze strachu.

Ona sama nie mogła się zobaczyć, musiała stać nieruchomo, skoncentrowana. Czowała, że jej świadomość jak gdyby opuściła ciało, by móc przemieścić się na drugą stronę ołtarza.

Rozluźniała się stopniowo. Wróciła do siebie i wizja minęła. Czowała, że pot perli się jej na czole. Nogi miała jak z waty, a serce waliło niesłychanie szybko.

Następnie schowała mandragorę na swoje miejsce, podeszła do jednego z najbliższych stojących mężczyzn i chwyciła skórzaną sakiewkę leżącą obok niego.

- Ty - powiedziała, ważąc sakiewkę w dłoni - masz tu dwie srebrne monety, zasuszoną różę i jakiś list.

Mężczyzna tylko skinął głową.

- A ty - zwróciła się do jednej z kobiet - spodziewasz się dziecka z tym łajdakiem spod ołtarza. Nie mówiłaś jeszcze o tym nikomu, dopiero zaczęłaś coś podejrzewać, ale to prawda. Będiesz cierpieć z powodu tego dziecka, ale od tego nędznika nie otrzymasz żadnej pomocy.

Podeszła do kolejnego mężczyzny i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Teraz masz w głowie tylko jedno: wrócić do domu, do żony, o której nic nie powiedziałeś w tym zgromadzeniu. Masz romans z dziewczyną obok ciebie; ona sądzi, że się z nią ożenisz.

43

- Przestań! - krzyknęła następna kobieta, ta, która pierwsza przemawiała do Sol. - Przestań!

- To rzeczywiście czarownica! - szepnął jeden z mężczyzn. - Prawdziwa czarownica! Nie przypuszczałem, że takie istnieją!

- Tak, istnieją - odpowiedziała Sol i w tej samej chwili poczuła, jak bardzo jest zmęczona. -

Ale nie jest nas wiele. A ty jesteś chory, mój dobry człowieku. Nie przyjmujesz jedzenia.

- To prawda - potwierdził.

- Weź ten specyfik. Co rano wypij z tego wywar! I pozbadź się długu, to szybko wyzdrowiejesz. Prebenie, wybaczone, że zniszczyłam twoje marzenia. Ale, uwierz mi, magia to nie zabawa. Nie chcę, by ten oszust was wykorzystywał. Nie wydam was i wierzę, że wy też nie puścicie pary z ust na mój temat.

Z tymi słowami opuściła cuchnące pomieszczenie. Pozostali nieruchomo wpatrywali się przed siebie. Tak wiele stracili: cześć, prestiż, a także samą Sol i jej tajemnice.

* * *

Liv wkładała ogromnie wiele wysiłku, by wszystko w wielkim domu robić tak jak należy. Na jej twarzy nie było już widocznych do tej pory oznak wewnętrznego żaru i szczęścia. Teraz w oczach ciągle czaił się strach. Wciąż obawiała się, że czemuś nie podole. Tak bardzo chciała zrobić coś dla swego męża, ale dostała już solidną nauczkę. Wszystko miało się dzieć według widzimisię Laurentsa.

Z przykrością wspominała swoje drobne próby uszczęśliwienia męża. Tak jak wtedy, gdy w tajemnicy namalowała obrazek z kwiatami i podarowała mu na urodziny. Długo się w niego wpatrywał.

- To bardzo miłe z twojej strony, Liv, jest bardzo ładny. Piękna robota, ale...

- Ale co? - spytała z obawą.

- Myślę, że powinnaś raczej zająć się haftem, dziecino. Nie wypada, by kobieta malowała obrazy. To należy do wielkich uznanych artystów. A ja chcę, żeby moja żoneczka zajmowała się tym, do czego została stworzona. A jak tam nadal żadnych oznak, że spodziewasz się dziecka?

Liv potrząsnęła przecząco głową. Czuła się do niczego nie przydatna. Nawet to jej nie wychodziło. Biedny Laurents, jakże musiał być z niej niezadowolony!

Nigdy jednak nie wątpiła, że mąż ją kocha. Każdego dnia zarzucał ją dowodami miłości.

Błąd polegał tylko na tym, że traktował ją jak swoją własność.

44

Przypomniała sobie, jak pewnego razu mieli gości. Konwersowała ze starszym mężczyzną; rozmowa przerodziła się w żywą dyskusję o historii, o rozwoju narodu i roli króla w Norwegii.

Liv była zachwycona, mężczyzna okazał się inteligentny, szczerze zainteresowany tematem.

W rozmowę udało się wciągnąć także innych gości.

Nagle jednak poczuła na sobie mrozące spojrzenie Laurentsa. Był wściekły! Ruchem głowy rozkazał jej opuścić izbę, musiała więc przeprosić wszystkich i odejść.

Tego wieczoru nie miał dla niej litości. Dobitnie powiedział jej, co sądzi o kobietach, które mieszają

się do męskich spraw.

- Musisz przestać robić z siebie pośmiewisko - mówił - Nie wyobrażaj sobie, że masz prawo równać się z mężczyzną! Nie mogę mieć takiej małej kobiecej żony! Och, Liv, widzę, że czeka nas ciężka praca. Zwiodłaś mnie. Nie przypuszczałem, że tak źle cię wychowano. Ale jesteś przecież taka śliczna i kochana, mój najdroższy skarbie. Na pewno poradzimy sobie ze wszystkimi twoimi wadami, zobaczysz. Nie martw się, ja ci pomogę.

Tak, teraz już zaczęła się trochę uczyć. Jak długo postępowała podług jego woli, wszystko było dobrze.

Ale, ach, jakże trudno było jej opanować odruchy, tak bardzo dla niej naturalne!

W zeszłym tygodniu znów się zapomniała. Byli z wizytą u jednego ze znajomych Laurentsa i kiedy już się żegnali, jej mąż napomknął, że Syriusz tak jasno dziś świeci. Liv bez zastanowienia poprawiła go, mówiąc, że to nie Syriusz, a Deneb w gwiazdozbiornie Łabędzia.

Tego wieczoru Laurents po raz pierwszy podniósł na nią rękę. Gdy wrócili do domu, dwa razy uderzył ją w twarz za to, że tak go poniżyła w obecności innych. On chyba dobrze wie, że to Syriusz, co ona sobie wyobraża? Liv miała wrażenie, że jej mąż zna nazwę tylko tej jednej jedynej gwiazdy.

Żałował potem i prosił ją o wybaczenie, a później, w łóżu, kochał ją gorąco. Ale coś między nimi zostało nieodwracalnie zniszczone.

Liv, ta urodzona artystka, nigdy więcej nie była już w stanie chwycić za pędzel.

Matka Laurentsa też nie ułatwiała jej życia. Była to okropna, żądna władzy kobieta, straszliwie zazdrosna o Liv. Chciała mieć syna wyłącznie dla siebie; nie zniosłaby też żadnej innej synowej. Delikatną, łagodną Liv łatwo było owinać sobie wokół palca. Stara szybko to zauważyła i potrafiła w pełni wykorzystać.

Laurents nie reagował; uważał, że atmosfera w domu jest wspaniała. A jeśli kiedykolwiek doszłoby do najmniejszego napięcia, z pewnością stanąłby po stronie matki. Liv była przecież tylko naiwnym dzieckiem.

45

Pisywała do Silje wesole, krótkie sprawozdania o tym, jak jej dobrze. Tylko papier listowy musiała odsuwać, by nie kapały na niego łzy.

46

ROZDZIAŁ IV

Sol właściwie już dawno temu powinna była wrócić do domu. Zaskarbiła sobie jednak łaskę Strahlenhelmów i zaproponowali jej, by została przez zimę jako opiekunka Albrekta. Doszło nawet do tego, iż prosili o wybaczenie, że oferują jej tak niskie stanowisko, ale bardzo chcieli, by ich syn

wyrastał w atmosferze życzliwości i radości.

Sol długo rozważała propozycję hrabiostwa. Nie wyjechała przecież po to, by zostać dziewczyną do dziecka, jednak każde inne rozwiązanie oznaczało powrót do domu. Nie poznała jeszcze świata tak jak chciała, a przecież musiała gdzieś mieszkać. U nich było naprawdę dobrze. Męczyło ją jedynie pragnienie odwiedzenia miejsca zwanego Brosarps Backar. Wiedziała od Hanny, że tam można spotkać prawdziwe czarownice.

Wypytywała Daga, ale on nic nie wiedział o tym miejscu. Podsunął jej jedynie myśl, iż może ono znajdować się w Skanii. Wskazywała na to nazwa.

- Wiesz chyba, że Skania leży po drugiej stronie Oresund, prawda? I że graniczy ze Szwecją też chyba wiesz?

Tak. Wiedziała.

Przeprawa przez cieśninę? To w zimie dla niej zbyt długa i ciężka podróż. Przyjęła więc propozycję Strahlenhelmów. Ostatecznie traktowano ją jak guwernantkę. Mimo że chłopczyk był jeszcze za mały, by się czegoś uczyć, Sol okazała się wystarczająco wykształcona, by otrzymać taki tytuł. Poza tym hrabina spodziewała się drugiego dziecka. Również z tego powodu pomoc Sol w opiece nad Albrektem była potrzebna.

Wszystko układało się po myśli hrabiostwa. Sol sprawowała się wzorowo i była przez wszystkich uwielbiana. Nikt nie przypuszczał ani też nie interesował się tym, co robiła wieczorami w swojej komnacie. A ona wyjmowała wtedy węzełek i ćwiczyła.

Miała dwa wielkie marzenia: dotrzeć do Brosarps Backar, by odprawić rytuał, który pomógłby jej nawiązać kontakt z samym Złym, i polecieć na Blokksberg. [Blokksberg - góra w Niemczech, uważana za miejsce sabatów czarownic] Niestety, brakowało jej do tego jednego zioła. To także był powód, dla którego musiała czekać do wiosny.

Tengel i Silje pisali, że bardzo są zadowoleni z jej posady, i pozwolili jej zostać tam tak długo, jak będzie z nią Dag. Sol zauważyła jednak, że bardzo mało piszą o Liv. Mimo że nie wspomnieli o tym wprost, wyczytała między wierszami, że są bardzo zawiedzeni, iż Liv nie może znaleźć czasu na odwiedzenie Lipowej Alei. Najwyraźniej nie byli też w nowym domu córki.

Rodzice nie podejrzewali jednak, że Laurents zawsze znajdował jakieś wytłumaczenie, by nie przyjąć krewniaków żony. Zawołowanymi słowami zabronił jej również odwiedzin w domu. Złościły go nawet przysyłane przez Silje paczki. Czy rodzice żony sądzą, że on nie 47

może zapewnić jej wszystkiego, czego potrzebuje? wykrzykiwał. Liv bardzo się denerwowała tymi awanturami, jednak zdecydowanie odmówiła wyrzucenia podarków.

Wiedziała, ile kryje się w nich miłości, i dlatego dobrze je ukrywała.

Sol nie знаła faktów, trapiło ją jedynie nieprzyjemne uczucie spowodowane dziwnym zachowaniem Liv.

Sol poznała wielu młodych mężczyzn, studentów z otoczenia Daga. Nie pociągali jej jednak młodzi uczeni. Podświadomie szukała ideału, ale takiego, który byłby męski i trochę nieokrzesany. A na dodatek większość studiujących na uniwersytecie stanowili przyszli księża. To było najbardziej szlachetne powołanie. Inne fakultety, jak prawniczy czy ogólnonaukowy, cieszyły się mniejszym poważaniem.

Zdarzało się, że Sol wzdychała zrezygnowana. Jej męski ideał... Gdzie go szukać?

Doprawdy kogoś takiego nie spotyka się na każdym kroku!

Często do głowy przychodziła jej myśl, że jedynym który zdołałby zaspokoić jej żądze, jest sam Szatan!

Rok 1660 rozpoczął się uroczystościami kościelnymi, Sol nie brała w nich udziału, z góry znajdując dobre wytłumaczenie: „zaofiarowała się”, że zostanie w domu i zajmie się małym Albrektem, tak by cała pobożna służba mogła udać się na modlitwy. Hrabina była tym trochę zmartwiona, ale Sol gładko wyjaśniła, że odwiedza kościół raz w tygodniu, aby w ten sposób otrzymać błogosławieństwo.

Prawdą było, że nie zbliżyła się do żadnego księdza od czasu fatalnego chrztu, kiedy to napluła jego wielebności w twarz i posiniaczyła kopniakami jego bogobojne nogi.

Późną wiosną hrabiostwo, Sol i Dag otrzymali zaproszenie na dworski bal.

Strahlenhelmowie byli dumni z mieszkającej u nich pięknej dziewczyny i bardzo chcieli zaprezentować ją swoim przyjaciołom.

Hrabina wybrała dla niej szaty; ich kolor wspaniale współgrał z barwą oczu Sol. Suknia była uszyta z grubego zielonego jedwabiu, a kiedy dziewczyna się poruszała, w rozcięciach błyskała halka ze złotej lamy. Próbowaly również ufryzować jej włosy, doszły jednak do przekonania, że najlepiej wyglądała z rozpuszczonymi. Była tak piękna, że patrzącym na nią zapierało dech w piersiach.

W drodze do zamku Dag uprzedził Sol, że będą się wokół niej tłoczyć mężczyźni. Prosił

więc, by trzymała się na przyzwoity dystans.

Sol tylko roześmiała się pogardliwie.

- Phi, nie potrzeba mi żadnych dekadencjonalnych dworaków. Chcę kogoś, kto mnie porwie!

48

- Uchowaj Boże! - mruknął Dag cicho. - Wychodzą z ciebie cechy Ludzi Lodu. Masz w sobie zbyt wiele z Hanny.

- I jestem z tego dumna - odpowiedziała Sol. - Ale nie bój się, braciszku. Będę się zachowywać tak

cnotliwie i dostojnie, że aż ogarną cię mdłości!

Dag nie mógł się nie roześmiać.

Sol złożyła ukłon królowi Christianowi, krzepkiemu dwudziestotrzylatkowi, któremu niezaprzeczalnie zaświeciły na jej widok oczy. Ponieważ jednak był od trzech lat żonaty, a ponadto miał na boku romans, trzymany był na wodzy z dwóch stron. Ale to nie przeszkodziło mu dyskretnie zanotować jej imię i adres.

Wielu innych szlachciców, różnego wieku i wyglądu, okazało Sol gorące zainteresowanie. Z

marszu oświadczył się jej pewien Christian Friis, a dwóch innych młodzieńców, Gyldenstierne i Bille, bliskich było bójki o jej względy.

Sol bawiła się doskonale. Udawała ogromnie cnotliwą, ale jednocześnie nieprzyzwoicie przewracała oczami. Tańce, których nauczyła ją Charlotta, były załośnie stare, ale kawalerowie tłoczyli się nieprzytomnie, by ją nauczyć tych modnych. Dzięki nim szybko przyswoiła sobie nowe kroki. Obsypywana przeróżnymi propozycjami, z łatwością odgrywała rolę cnotliwej panny - po prostu dlatego, że żaden z mężczyzn nie wpadł jej w oko.

Ale na balu wydarzyło się coś, co zakończyło jej barwne życie w Kopenhadze.

W sali było tak wiele gości, że Sol nie zdążyła jeszcze przyjrzeć się wszystkim dokładnie, gdy zorientowała się, że jest obserwowana. Dzięki swojej wrażliwości poczuła coś więcej: płynącą w jej kierunku nienawiść.

Szybko odkryła kto wysyła ku niej te sygnały. Natychmiast rozpoznała „pierwszą damę”

mistrza, jak po cichu ją nazywała, kobietę, która mówiła najwięcej w rzekomej świątyni Szatana. A więc zaszła aż tak wysoko! Nic dziwnego, że bała się Sol.

Sol wyraźnie wyczuwała, że kobieta ma zdecydowanie złe zamiary. Postanowiła być szczególnie ostrożna.

Na balu jako jeden z pierwszych do nieprzytomności upił się sam król. Musiano go wynieść z sali i położyć do łóżka.

Sol brała już udział w rozmaitych zabawach; często zdarzało się jej widzieć nieopanowane jedzenie i picie, ale to tutaj przeszło wszelkie granice. W zwyczaju było, że mężczyźni wychodzili na zewnątrz, aby tam wsunąć dwa palce do gardła i w ten sposób zrobić więcej miejsca na dalsze ucztowanie. Byli też i tacy, którzy nie zdążyli wyjść za drzwi, pozostawiając służbie sprzątanie po sobie. Świnie! pomyślała Sol z pogardą i zapragnęła znaleźć się już w domu sędziego.

W tej samej chwili podszedł do niej nieznajomy mężczyzna i uklonił się dwornie.

- Panna Sol? Wasz brat chciałby z wami rozmawiać. Czeka na dole, w drugim końcu korytarza.

Sol podziękowała, nieco zdziwiona. Zeszła na dół wskazanymi schodami i znalazła się w jakimś pomieszczeniu. Przez chwilę stała w pustej komnacie, nie wiedząc, co robić.

Wszystkie drzwi wokół były zamknięte, a ona nie miała najmniejszej ochoty znaleźć się nagle w obcej sypialni.

Kiedy po długiej chwili Dag się nie pokazał, wróciła tą samą drogą. Może poszła w złą stronę? Nie, nie wygląda na to. Zirytowana weszła na salę balową, mając zamiar dokładniej wypytać mężczyznę, ale nigdzie go nie dostrzegła. Dag też był nieobecny.

Podeszła do sędziego i jego żony, ale oni również od dobrej chwili nie widzieli Daga.

Zaniepokoiła się nie na żarty. Kobieta z piwnicy także zniknęła. W Sol narastało napięcie.

Coraz wyraźniej czuła, że stało się coś złego.

Nie musiała długo czekać.

Na salę z krzykiem wbiegła znana Sol kobieta:

- Mój mąż! Mój mąż nie żyje!

Natychmiast zebrał się wokół niej tłum, posypały się pytania, nikt nie mógł niczego zrozumieć. Sędzia Strahlenhelm zdołał wreszcie uciszyć zbiegowisko i poprosił o spokojne wyjaśnienie.

Damie udało się powiedzieć, że jej mąż leży martwy w jednej z komnat na dole.

Ach tak, pomyślała Sol. Tego można się było spodziewać.

- Wygląda na to, że został otruty! - krzyczała kobieta. - Ale nic dziwnego, skoro jest wśród nas czarownica od mikstur! Nietrudno chyba zgadnąć, jak to się stało!

To nieostrożne z twojej strony, pomyślała Sol, ale zaraz usłyszała mężczyznę, który, zastawiając na nią pułapkę, prosił ją, by znalazła Daga.

- Przed chwilą widziałem tę młodą damę w tamtej komnacie - mówił.

- Tak, zaraz po tym, jak mnie poprosiliście, bym tam zeszła. - Sol starała się mówić spokojnie, ale w środku aż drżała.

- O co chodzi? - mężczyzna udawał zdziwienie.

50

- Przyszliście z wiadomością od mojego brata, że pragnie ze mną rozmawiać. Ale jego tam nie było.

Gdzie jest mój brat?

- Ona jest czarownicą! - krzyknęła kobieta.

W tej samej chwili nadszedł Dag.

- Gdzie byłeś? - zapytała Sol. Strach, którego nie zdradzał głos, widniał w jej oczach.

- Zatrzymała mnie pewna dama, która chciała omówić ze mną problem czarownicy.

- Jaka dama? - szybko zapytał sędziego.

Dag wskazał kobietę, która dopiero co mówiła o śmierci swego męża.

- On kłamie! - krzyknęła. - To spisek! Oni są w zмовie; to rodzeństwo!

Na chwilę zapanował chaos, atmosfera zagęszczała się, była coraz bardziej nieprzyjemna.

W końcu sędziemu udało się dojść do głosu. Poprosił obie zainteresowane strony, by poszły za nim i wzięły udział w oględzinach zmarłego.

Mężczyzna leżał na podłodze w jednej z małych komnat, przylegających do pomieszczenia, w którym Sol czekała na Daga. Nietrudno było stwierdzić, że został otruty. Sol poprosiła o rozmowę w cztery oczy z sędzią.

Opowiedziała mu wszystko o fatalnej wizycie w tajemniczej piwnicy - świątyni.

Kiedy skończyła, sędzia westchnął głęboko.

- To było szalenie nieostrożne z twojej strony, Sol. Mieszkaliśmy przecież w tym samym domu przez całą zimę i ogromnie cię polubiliśmy. Oczywiście wiem, że posiadasz inne zdolności niż my, zwykli śmiertelnicy. Ale patrzyłem na nie przez palce, jako że trzymałaś je na wodzy i sprawowałaś się wzorowo. Teraz jednak obydwójce znaleźliśmy się w paskudnej sytuacji. Musisz mi podać imiona wszystkich tam obecnych.

- Nie mogę tego zrobić, ponieważ ich nie znam. A poza tym oni są młodzi i niewinni, z pewnością po przebytych wstrząsach zaniechali tych głupstw.

Nie chciała wspomnieć o Prebenie, ponieważ był kolegą Daga, a w dodatku to przecież ona sama zmusiła go, by zabrał ją ze sobą.

- A ten mężczyzna? „Mistrz”?

- O, ten podlec! Chciałabym, żeby dostał porządną nauczkę za to, że gra fałszywymi kartami. Ale jego imienia także nie znam.

Postarała się jednak podać sędziemu jak najdokładniejszy rysopis owego człowieka.

Do komnaty wszedł na chwilę służący i szepnął coś sędziemu na ucho. Sędzia z ulgą popatrzył na Sol.

- Jesteś uratowana, Sol. Jedna z dam oświadczyła, że stała blisko i słyszała, jak mężczyzna, prawdopodobnie kochanek oskarżającej cię kobiety, poprosił, byś zeszła do komnaty na dole. Z pewnością mamy do czynienia ze zbrodnią, lecz ukartowaną przez kogoś zupełnie innego. Dag!

Kiedy zjawił się Dag, sędzia rzekł do niego:

- Sol jest wolna od podejrzeń i, co za tym idzie, ty również. Ja zajmę się tą kobietą i jej kochankiem, ale Sol i tak jest w tarapatkach. Okrzyknięto ją czarownicą i łatwo nie pozbędzie się tego piętna. Mnie też nie wolno jej nie skazać. Ocaliła jednak życie naszego dziecka i okazała wiele życzliwości podczas całego pobytu u nas. Odwdzięczę się za to, ratując ją.

Mogę to zrobić tylko w jeden sposób. Natychmiast zabierz siostrę do domu. Jutro, bardzo wczesnym rano, zanim jeszcze wszyscy się pobudzą, wyruszy do Glimmingehus z posłaniem królewskim dwóch ludzi. O wschodzie słońca wstąpią do naszego domu i zabiorą ze sobą Sol. Ty, Sol, ze Skanii popłyniesz do Norwegii. Nie powinnaś mieć trudności z zabraniem się na jakiś statek, jesteś taka piękna. Zrozumiałaś?

Przytaknęła i od razu zaczęła snuć własne plany. Skania? Tam właśnie miało leżeć Brosarp!

To tam tak bardzo pragnęła dotrzeć!

Dag zaprotestował.

- Moja siostra nie może udać się sama w tak daleką drogę aż do Norwegii!

Hrabia uśmiechnął się z goryczą.

- Sądzę, że twoja siostra doskonale da sobie radę. Ludzie króla pomogą jej znaleźć statek płynący do Norwegii. Czy widzisz jakieś inne rozwiązanie?

- Spokojnie, Dag, poradzę sobie - powiedziała Sol - Jestem wam bardzo wdzięczna, jaśnie panie!

- Wyjdźcie więc teraz szybko. Tędy - rzekł hrabia. - Zabierzemy do domu wasze okrycia.

Powiem, że umknęłaś, Sol. Pospieszcie się!

Natychmiast opuścili zamek bocznym wyjściem. Przez całą drogę do domu Dag łajał Sol, ale ona go nie słuchała. Serce wypełniała jej nadzieja. Pojedzie do Brosarps Backar! Tylko to miało znaczenie. Obiecała jednak Dagowi, że dotrze do Norwegii równocześnie z nim, bezpośrednio po zakończeniu jego studiów. Musi się postarać i dotrzymać słowa, by nie przysporzyć Dagowi dodatkowych kłopotów.

Następnego dnia rano, kiedy jeszcze było tak zimno, że z chrapów koni unosiła się para, przed domem hrabiego pojawiła się eskorta Sol. Dziewczyna pospiesznie pożegnała się z Albrektem i jego rodzicami, a Dagowi obiecała, że będzie się należycie sprawować. Kątem oka obserwowała przyszłych towarzyszy podróży.

Stwierdziła, że to wytworni mężczyźni, elegancko odziani w skórzane pancerze i wysokie buty, jednakowo uzbrojeni w strzelby z zamkiem kołowym i w prochownice zawieszane ukośnie na piersi. Jeden z nich był bardzo młody, miał blond włosy i cerę tak jasną, że rumieniec pojawiający się raz po raz na jego twarzy był doskonale widoczny.

Ale śliczny chłopiec, pomyślała Sol. Trzeba go będzie uwieść!

Żeby tylko ten drugi nie strzegł go gorliwie takim groźnym wzrokiem...

Starszy mężczyzna, olbrzym, najwidoczniej traktował Sol jako dopust boży. Zgadywała, że ma około czterdziestu lat i jest wojakiem z powołania. Podejrzewała, że trudno jej będzie uniknąć z nim drobnych utarczek.

Dagowi wcale nie podobało się takie rozwiązanie sprawy.

- Powiniennem z tobą pojechać, ale muszę się teraz dużo uczyć. Te końcowe egzaminy pochłaniają cały mój czas i wszystkie siły.

- Poradzisz sobie? - zapytała.

- Jeśli tylko będę pracował tak jak do tej pory, z pewnością wszystko skończy się dobrze. Ale oczywiście trochę się boję.

- Powodzenia, braciszku. Już niedługo będę w drodze do Norwegii.

- Powinnaś jednak mieć ze sobą przyzwoitkę, jakąś starszą kobietę, która strzegłaby twojej czci.

- To niepotrzebne - odpowiedział krótko gburowaty żołnierz. - Z naszej strony nic złego jej nie spotka.

Zabrzmiało to jak zniewaga.

- Ale co ja widzę! - wykrzyknęła hrabina. - Koń Sol nie ma damskiego siodła!

- Musimy jechać szybko, pani - odpowiedział mężczyzna. - Ta młoda dama będzie musiała siedzieć po męsku.

Oczy Sol rozbłyły.

- To wspaniale! Nigdy nie mogłam znieść tych niewygodnych damskich siodeł.

- Potraficie jeździć po męsku? - zdziwił się mężczyzna. Sol uchwyciła zjadliwy ton jego głosu.

- Możecie być tego pewni - syknęła przez zęby.

Wyruszyli przed wschodem słońca. W ciszy poranka jechali w kierunku portu. Uderzenia kopyt dudniły po bruku.

Sol podjechała do swych towarzyszy.

- Jak się nazywacie? - zapytała pogodnie. Ożywiła ją myśl o czekającej ją przygodzie. -

Miło będzie to wiedzieć, w końcu dość długo przyjdzie nam wspólnie podróżować.

Mężczyźni spojrzeli na jej rozpromienioną twarzyczkę, na odsłonięte w uśmiechu białe zęby.

Młodszy jechał bliżej, dlatego odpowiedział pierwszy.

- Nazywam się Jorgen - rzekł nieśmiało, a kiedy nie usłyszał głosu swego towarzysza, dokończył: - A mój zwierzchnik to Jacob Skille.

- Ja jestem Sol. Chciałabym wyrazić swoją wdzięczność za to, że mogę wam towarzyszyć.

Stary skrzywił się tylko.

Płaskodenną, przypominającą barkę łodzią przeprawiali się na drugą stronę Oresund. Sol stała przy relingu, rozkoszując się świeżym morskim powietrzem. W porannej mgle udało się jej dostrzec wyspę na samym środku cieśniny. Widok był baśniowy. Jorgen wyjaśnił jej, że to wyspa Ven. Przeniosła wzrok w inną stronę, ku lądowi, ziemi, na której nareszcie miała spotkać ludzi sobie podobnych, potrafiących więcej od zwykłych śmiertelników.

Przypomniała sobie jednak, że poprzednio, wtedy w piwnicy Prebena, tak bardzo się zawiodła. Nie chciała robić sobie teraz zbyt wielkich nadziei.

W każdy czwartek podczas pełni księżyca przez całe lato w Brosarps Backar zbierają się czarownice. Tak mówiła Hanna. Starej nawet się nie śniło, by kiedykolwiek tam dotrzeć.

Ale to było wiele lat temu. Kto wie, czy nadal tam się zbierają? Kto wie, czy w ogóle istnieją jeszcze w Skandynawii? A jeżeli ona jest jedną jedyną?

Sol poczuła się nagle bardzo samotna.

Czwartek podczas pełni księżyca... Wyruszyła trochę za wcześnie. Do wyznaczonej daty pozostało jeszcze kilka dni, ale zbliżała się z każdą chwilą. I przecież Sol nie była jeszcze na miejscu.

że ludzie zapomną. Zresztą nie chciała tam wracać. Prawdziwa przygoda jest przed nią!

Jacob Skille został przy koniach, aby ich przypilnować. Młody Jorgen tkwił samotnie na dziobie łodzi. Sol podeszła do niego.

Chłopak od razu zaczerwienił się jak burak.

- Co zamierzacie robić w Glimmingehus? - zapytała spoglądając mu głęboko w oczy.

Odwrócił wzrok.

- Jedziemy z pocztą kurierską od jego wysokości króla Christiana do pana na zamku Rosenkrantz. W Szwecji panuje niepokój, a Skania jest najbardziej zagrożoną częścią Danii.

Wiecie z pewnością, panienko, że Szwedzi chcieliby zagarnąć Skanię; uważają, że to naturalna część Szwecji.

- Jaki niepokój?

Widać było, że młodzieniec stara się rozmawiać z nią swobodnie, ale nie bardzo mu to wychodzi. Przez cały czas nerwowo obracał w rękach kawałek sznurka.

- Nie słyszeliście o krwawej łaźni w Linkoping?

- Słyszałam o krwawej łaźni w Sztokholmie, ale w Linkoping?

- To stało się teraz, w marcu. Podczas czystki wśród zwolenników Zygmunta, dokonanej przez księcia Karola, oddali pod topór głowy Gustaw Baner i jego brat Sten oraz inni mężczyźni z rodów Sparre i Bielke. Wielu szwedzkich szlachciców uciekło z kraju, głównie do Polski, ale także i do Skanii. Król Christian obawia się, że może dojść do starć. Księżę planuje z pewnością, że zostanie królem Szwecji, równie surowym jak jego ojciec Gustaw Waza.

- Ale Gustaw Waza nie żyje już od dawna! Umarł ponad czterdzieści lat temu!

- Tak, ale na pewno pamiętacie, że królem został po nim jego syn: Eryk XIV, uwięziony i prawdopodobnie zgładzony przez swego brata Jana III. Po Janie panował jego syn: polski Zygmunt, a potem brat Eryka i Jana, księżę Karol.

- Ach tak. Walka o władzę, tak jak wszędzie. Czy mieszkańcy Skanii są wierni duńskiemu królowi? Chodzi mi o to, czy nikt nie wsadzi nam noża między zębra?

- To nam na pewno nie grozi. W każdym razie król ma poparcie Gjongów.

55

Sol pojęła, że Jorgen musi być wykształconym chłopcem z wyższej klasy. Ona sama nigdy zbyt nie interesowała Szwedami i ich królami. Zapytała, kim są gjongowie. Jorgen tłumaczył jej,

rumieniać się raz po raz. Gjongowie zamieszkują północno-wschodnią Skanię i zawsze byli wojowniczo nastawieni. Nazywano ich również szybkimi kogutami ze względu na kształt broni, którą się posługują.

- I oni są przyjaźnie usposobieni do Duńczyków?

- Tak.

- To dobrze wiedzieć. Gdzie leży Brosarp?

Jej nagłe pytanie omal go nie poraziło.

Sol pomyślała sobie, że wystarczyłoby opowiedzieć mu o lichach i trollach, by go porządnie wystraszyć. A gdyby wiedział, co ona potrafi, od razu by zemdlął!

- B-brosarp? Tego nie wiem.

Nie zauważyli, jak stanął za nimi Jacob Skille.

- Brosarp leży na wschodnim wybrzeżu - powiedział sztywno.

Sol odwróciła się w stronę surowego mężczyzny. Musiała podnieść oczy wysoko do góry, by napotkać jego wzrok.

- Czy to daleko od Glimmingehus?

- Nie, nie bardzo.

Wziął kawałek smolnej draski i na ciemnej powierzchni deski narysował prostą mapę.

- Tu jest południowo-wschodni kraniec Skanii. O, tutaj leży Glimmingehus. Jeśli pojedzie się w górę wschodniego wybrzeża, wkrótce dotrze się do Simrishavn i Kivik, a prosto na północ od Kivik leży Brosarp. Dlaczego pyacie, panienko?

- Mam zamiar tam pojechać.

- Nie, no wiecie co! Wsadzę was na statek płynący do Norwegii, jak tylko dojedziemy do Skanii.

- Ale czy mój brat nie powiedział wam, że mam pojechać do Brosarp? - blefowała Sol przekonująco.

- Ani słowem o tym nie wspomniał. Po co tam chcecie jechać?

56

- W odwiedzinach do znajomych.

Wyraz twarzy Skillego zdradził Sol, co sądzi on o młodych damach, które na własną rękę wyprawiają się w dalekie podróże.

- Nie zgadzam się na to!

- Poradzę sobie sama.

- Dałem słowo - powiedział krótko i ostro. - Nie próbujcie mnie oszukać!

Sol odrobinę spuściła wzrok, jej oczy załśniły zielono, kocio.

W tej samej chwili Skille uznał, że był bezlitośnie surowy, a równocześnie nie mógł się nadziwić, że tak szybko zmienia zdanie.

- Wracamy do Kopenhagi w niedzielę - powiedział ugodowo. - Musicie wtedy zakończyć tę wizytę i spotkać się z nami w Glimmingehus. Obiecałem przecież sędziemu Strahlenhelmowi, że całą i zdrową wsadzę was na statek do Norwegii.

- Oczywiście.

Sol nie miała najmniejszego zamiaru opuszczać Brosarps Backar tak prędko, ale mądrze pominęła to milczeniem.

I przecież Dag niedługo już kończy studia, muszą się obydwójce spotkać w Norwegii.

Och, do tego czasu powinna zdążyć z tyloma sprawami!

Nareszcie stanęli na skańskiej ziemi. Najpierw, oddalając się od wybrzeża, jechali przez ciągnące się milami niziny. Sol czuła, jak rozpiera ją cudowne uczucie wolności, które zawsze niosła ze sobą wiosna. To była rozkosz!

Tego ranka pędzili naprawdę szybko! Włosy Sol powiewały na wietrze, a suknia chwilami odsłaniała większe fragmenty nóg, niż uchodziło za przyzwoite, ale dziewczyna nic sobie z tego nie robiła. Musiała znaleźć ujście dla burzy w jej duszy, odrzuciła więc głowę do tyłu i uśmiechała się szeroko.

Jeżeli kurierzy królewscy przypuszczali, że będzie musiała ich gonić lub wołać, by poczekali, to byli w błędzie. Sol nie miała żadnych trudności z utrzymaniem tempa.

Opuścili niziny z charakterystycznymi dla Skanii czworokątnymi gospodarstwami i zagłębili się w mrok bukowego lasu, w którym rozlegał się śpiew niezliczonej ilości ptaków. Jechali wąską ścieżką, Sol jako ostatnia, choć wcale nie zostawała w tyle. Zauważyła, że od czasu do czasu Skille starał się zwiększać tempo, aby wystawić ją na próbę, ale nic mu z tego nie wychodziło. W końcu musiał zwolnić ze względu na konie.

57

Wyjechali na łąkę i Skille zdecydował się na postój. Byli w drodze już długo i nadszedł czas, by nieco się posilić. Zwierzętom też należał się odpoczynek.

Sol wyciągnęła jedzenie, które przygotowali dla niej Strahlenhelmowie. Kiedy jej towarzysze ujrzeli jadło, oczy o mało nie wyszły im z orbit. Ich własny prowiant wyglądał bardzo po żołniersku.

- Częstujcie się! - powiedziała Sol z uśmiechem. - Nigdy w życiu nie zdołam zjeść tego sama.

Po chwili wahania sięgnęli bardzo ostrożnie.

- Nie, nie tak skromnie! Bierzcie solidne porcje! - powiedziała Sol. - Naprawdę! Przecież droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek, a ja mam zamiar podbić was obydwu dzięki śniadaniu, któremu nie można się oprzeć. A tu kropelka wina, żeby jeszcze bardziej zmiękczyć wasze serca.

Powiedziała to z wyraźną ironią, tak że Jorgen roześmiał się szczerze i nawet Skille musiał uśmiechnąć się leciutko.

Mężczyźni nie mówili wiele, za to Sol szebiotła bez przerwy. Jej oczy cały czas igrały kusząc Jorgena, aż wreszcie biedak nie wiedział, gdzie podziąć wzrok.

- Możesz zaoszczędzić sobie wysiłków - powiedział Skille sucho. - Chłopak świata nie widzi poza pewną panią o imieniu Otylia.

Zirytowany Jorgen zwrócił się do towarzysza:

- Nie, alez...

- Och, to wspaniale! - zawołała Sol zachwycona. - A więc masz dziewczynę? Musisz być szczęśliwy! Opowiedz mi o niej! Czy macie zamiar się pobrać?

- On nie ma odwagi, by się oświadczyć - powiedział pogardliwie dowódca. - Podziwia ją na odległość i wzdycha w nocy w koszarach tak głośno, że nie można spać.

- Jak ona wygląda? Czy jest ładna?

- O tak! - szepnął Jorgen. - Ale nie wiem, jak mam się przy niej zachować, nigdy dotąd nie byłem niczym kawalerem. Może wy powiecie mi, panno Sol, jak mam zacząć?

- Oczywiście. To zależy od tego, jaka to jest dziewczyna.

- O, ona jest niewinna i cnotliwa najbardziej, jak tylko można sobie wyobrazić. Płochliwa jak łania.

58

- A więc i ty musisz być równie cnotliwy jak rycerz Graala - zdecydowała Sol. - Musisz jednak pokazać, że jesteś od niej silniejszy, takie panny zwykle lubią patrzeć z podziwem na ukochanego. Bądź dla niej bardzo uprzejmy, zachowuj się dwornie. Nie musisz udawać nieśmiałego, bo taki jesteś, ale ją traktować jak prawdziwą damę.

- Tak. Wy z pewnością macie dużo doświadczenia pod tym względem - powiedział Jacob Skille z ironią.

Zwróciła ku niemu płonące spojrzenie.

- Nie, nie mam - powiedziała zimno. - Kiedy miałam czternaście lat, zostałam zgwałcona i po tym nikt mnie już nie dotknął.

Pomyślała sobie, że takie drobne przekręcenie faktów nikomu nie zaszkodzi. Prawda była zupełnie inna, ale Klaus musi jej to wybaczyć.

- Biedne dziecko - powiedział Skille cicho. - Czternaście lat i gwałt...

Sol poczuła, jak w jej duszy dzieje się coś dziwnego, jak cała płonie od gniewu. Ten człowiek okazał jej współczucie! Współczucie! Ona chciała, by mężczyźni ją podziwiali, by jej pożąдали! Wtedy była silna, wszechwładna, mogła trzymać ich na dystans. Nie, nie oczekiwała współczucia! Nie wiedziała, jak je przyjąć.

Musiała wstać i odejść na bok, pobyć trochę sama. Inaczej rzuciłaby się na Jacoba.

Mężczyźni źle ją zrozumieli, sądzili, że dręczą ją wspomnienia i odeszła, by nie zobaczyli jej łez.

Kiedy już się uspokoiła, wróciła do nich i znów ułożyła się na trawie.

- Jak daleko z nią zaszedłeś? - spokojnie spytała Jorgena.

Chłopak znów się zaczerwienił.

- Byłem z nią raz sam w ogrodzie jej ojca. To bardzo dostojna panna. Prawie umierałem z chęci pocałowania jej, ale się nie odważyłem, bo nie wiedziałem, jak to się robi.

- Ja też nie wiem - roześmiała się Sol niewinnie. - Może poćwiczymy razem?

- Ale... to przecież nie wypada.

- Skille może nas nauczyć - drwiła Sol. - On na pewno ma dzieci i wnuki.

- Skille? O nie, jest wojakiem, od kiedy nauczył się chodzić.

Na twarzy Jacoba Skillego pojawił się gniew.

59

- Wnuki! - parsknął, głęboko dotknięty. - Jak sądzicie, ile mam właściwie lat, panno Sol? No, już najwyższy czas, żebyśmy wyruszali i nie marnowali czasu na taką czczą gadaninę.

Jednakże po tym postoju patrzyli na nią innymi oczami. We wzroku młodego Jorgena pojawiło się

jakieś zdziwienie, żal, jak gdyby zastanawiał się, czy mimo wszystko nie przydałaby mu się lekcja całowania. Skille widział w niej biedne, bezbronne stworzenie, którego życie zniszczył bezwzględny zbrodniarz.

Biedny, dobry Klaus, bezwzględnym zbrodniarzem? Sol poczuła wyrzuty sumienia.

Nienawidziła nowego sposobu, w jaki Skille zaczął się do niej odnosić. Najwyraźniej postanowił ją chronić. A tak bardzo była dumna z własnej samodzielności!

Nie popędzał ich teraz tak bardzo.

Na skraju Romeleasen zatrzymał się.

- Poczekajcie tutaj, ja rozejrzę się za jakimś noclegiem.

Słońce stało na horyzoncie. Byli w lesie, wśród drzew drozd śpiewał swą samotną piosenkę.

Sol i Jorgen zsiadli z koni, by rozprostować kości.

- Siedzenie mnie boli od jazdy - wyznała Sol otwarcie, a Jorgen oczywiście znów się zaczerwienił. Co on właściwie sobie myśli? Że szlachetne damy nie mają na czym siedzieć?

Jorgen chciał wrócić do rozmowy, którą zaczęli uprzednio, ale Sol minęła już ochota, by go uwieść. Uznała, że jest zbyt zielony i niewinny. Powiedziała przecież Dagowi, że chciałyby kogoś, kto by ją porwał.

Mimo to na trochę mu pozwoliła. Pozwoliła mu pieścić swoją twarz, dotykać jej ustami.

Pouczała go, gdy uznała, że jest zbyt niezdarny. Powiedziała, jakie słowa chciałyby usłyszeć cnotliwa dziewczyna, i pozwoliła, by dłonią poznał zarysy jej ciała.

Żadne z nich nie chciało posunąć się dalej.

- Dla niej to święta okolica - powiedziała Sol. - Nie możesz zbrukać rąk, dotykając ciała innej kobiety.

Zgodził się z nią, ale Sol wiedziała, że jest mu trudno. Jego usta i dłonie drżały, jak dziecko ścisnął nogi. Sol nie miała na niego najmniejszej ochoty.

Zaczęła rozsiodływać konia, aby skierować jego myśli w inną stronę. Czowała jednak ogromny niepokój. Muszę być zupełnie pozbawiona uczuć, myślała zatroskana. Te dotknięcia powinny mnie podniecić, a mnie wszystko wydało się po prostu nudne.

Z niezręcznej sytuacji wybawił ich Jacob Skille.

- Nie znalazłem żadnych zabudowań w pobliżu. Czy pojedziemy dalej, czy może tu rozbijemy obóz?

- Zostańmy - zdecydował Jorgen. - Myślę, że konie powinny wypocząć.

Tak też się stało. Sol rozłożyła pledy, które mieli ze sobą. Kątem oka obserwowała Jacoba Skillego. Uznała, że zaszła w nim zmiana.

Wkrótce zrozumiała, że to ona zmieniła swój stosunek do niego. Doszła do wniosku, że stało się tak z powodu niedawnych pieszczot Jorgena.

To Skille był tym silnym mężczyzną, który decyduje za nich wszystkich. Był wysokim, mocnym fizycznie, nieokrzesanym wojakiem, którego nie interesowały kobiety. Gdyby ktoś przyjrzał się jego twarzy, zauważyłby, że ma w sobie coś pociągającego. Daleko mu było do królewicza z bajki, ale w oczach krył się żar i bystrość umysłu, która jej się podobała. Był nie ogolony i nie zaszкодziłaby mu odrobina wody do umycia twarzy i rąk ani przystrzyżenie dziko rosnących włosów. Poruszał się jednak lekko i sprężysto, w jego ruchach było coś miękkiego.

Sol odetchnęła z ulgą. Może jednak nie jestem taka nieczuła, pomyślała.

Przez wszystkie lata, kiedy pomagała Tengelowi przy chorych, trzymała na wodzy swe zainteresowanie mężczyznami i całą zmysłowość. Gniew Tengela zapadł w nią tak głęboko, że robiła wszystko, by go zadowolić.

Teraz jednak postać przybranego ojca, Tengela, jedynej osoby na świecie, którą darzyła szacunkiem, oddaliła się. Miała pełną swobodę, uwolniła się od sędziego Strahlenhelma, jego rodziny i od Daga. Nikt nie mógł się dowiedzieć, czym zajmowała się od chwili opuszczenia Kopenhagi aż do powrotu do Norwegii. Musi wykorzystać tę wolność! Co prawda, nie bardzo jeszcze wiedziała jak.

Nie było czasu na żadne wieczorne rozmowy. Po zjedzeniu spartańskiego posiłku Skille zawinął się w koc i nakazał pozostałym zrobić to samo. Potem powiedział dobranoc.

Na szczęście Sol leżała tak, że Jorgen nie miał żadnych szans, by się do niej zbliżyć.

Bardzo się z tego cieszyła. Nie pragnęła wcale niezdarnych pieszczot młokosa, nie zniosłaby już więcej czułych słów wypowiedzianych drżącym szeptem do ucha. Nie życzyła sobie żadnych jawnych czy skrytych dowodów jego zainteresowania. Otylia mogła go mieć nietkniętego.

Kiedy skupiła się na sobie, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Po długiej podróży konno była cała poobijana.

Po chwili już spała.

61

ROZDZIAŁ V

Rodzeństwo było rozdzielone. W domu, w Lipowej Alei, Are rozmawiał z ojcem i Charlottą o

gospodarstwie. W Kopenhadze Dag przygotowywał się do ostatnich egzaminów, a Sol, wygnana z Kopenhagi z powodu oskarżenia o czary, jechała właśnie przez Skanię.

Oni byli przynajmniej szczęśliwi. Gorzej było z Liv, tą, która być może najbardziej zasłużyła na radosne życie. Zawsze taka pomocna, życzliwa i kochająca ludzi.

W dostatnim, choć nie bardzo przyjaznym domu w Oslo Liv z nadludzkim wysiłkiem prowadziła walkę o sympatię i zadowolenie męża. W ciągu dnia, kiedy Laurents był w kantorze, pole do popisu miała teściowa. Do woli mogła używać sobie na uległej dziewczynie. Wieczorami Liv musiała być do dyspozycji męża. Roztargniony Laurents gładził ją po głowie i pytał, jak się miewa jego cukierczek. Nie słuchał jednak, gdy próbowała opowiedzieć, jak minął dzień. Nie miała mu zresztą zbyt wiele do powiedzenia, nauczyła się przemilczać doznane poniżenia. Kiedy pewnego razu o czymś napomknęła, Laurents tak się zasrożył, że nazwał ją niewdzięcznicą. Liv musi zrozumieć, mówił, że jego matka jest stara i nieporadna, i pytał, czy nie widzi, że on sam nosi ją na rękach. Poprosiła go kiedyś o trochę więcej samodzielności, by pokazać, że się do czegoś nadaje. Chętnie, odpowiedział. Idź do kuchni i poproś kucharkę, żeby pozwoliła ci upiec ciasto. Po tym zdarzeniu zrezygnowała z wszelkich prób.

W ten wiosenny dzień teściowa jak zwykle rządziła nią ze swego miejsca na sofie. Liv biegała wokół, przynosząc a to talerzyki z łakociami, a to lusterka, a to piwo, ale i tak w żaden sposób nie mogła jej dogodzić. Wieczne niezadowolenie teściowej pogłębiało wyrzuty sumienia Liv.

- Moimi cierpieniami nikt się nie przejmuje - narzekała, chwytając się za serce z niewłaściwej strony, ale tego Liv nie śmiała zauważyć. - Mój syn mówi wyłącznie o interesach, a synowa jest zbyt leniwa i niezdarna, by odgadnąć moje pragnienia i potrzeby.

- Czego sobie teraz życzycie, droga matko? - spytała Liv nieśmiało.

- Ach, jakże mi możesz pomóc ty, która myślisz tylko o sobie? Leżę tu sama, zapomniana.

Zaraz po tym, jak poszłaś jeść, miałam atak serca. Moje biedne serce nie może przeboleć, że jedyny syn tak nieszczęśliwie się ożenił. Leżałam tu bezradna... sama... tak się bałam...

- Nic nie wiedziałam.

- Wołałam - jęknęła teściowa. - Ale nikt nie odpowiadał. Nikt nie chciał mi pomóc.

Liv wypełniło poczucie winy, że zeszła na dół na śniadanie. Aby zagłuszyć trawiące ją wyrzuty sumienia, zapytała teściową, czy ma ochotę na coś do zjedzenia.

62

Nie, nie była głodna. Nie mogłaby przełknąć ani kęsa. W rzeczywistości było tak dlatego, że w tajemnicy pochłonęła piętnaście pączków. Już od wielu dni nie wyrażała ochoty na jedzenie. Niedużo już mi pozostało, jęczała. Ale kogo to obchodzi?

- To będzie twoja wina, jeżeli ja umrę, Liv. Chcę, żebyś o tym wiedziała i dobrze zapamiętała.

Liv wpatrywała się w swoje dłonie.

- A więc... może lepiej będzie, jeżeli zostanę w domu? Jak wiecie, zaprosiła mnie na dzisiaj do siebie małżonka jednego z przyjaciół Laurentsa, ale jeżeli źle się czujecie, matko...

Teściowa odpowiedziała z rozdrażnieniem:

- Ach tak, a więc zaprosiła ciebie, a mnie nie! Idź, idź, to dla ciebie typowe: myśleć tylko o przyjemnościach. Idź i wcale o mnie się nie troszcz!

To było pierwsze zaproszenie, jakie Liv otrzymała osobiście, i bardzo się cieszyła, że choć na chwilę wyrwie się z domu, mimo iż wiedziała, że zaproszono ją ze zwykłej uprzejmości.

Liv nie została zaakceptowana w kręgu znajomych Laurentsa, nie pochodziła bowiem z mieszczaństwa i dlatego nie była godna poważania.

- Mogę odwołać wizytę.

- Nie, nie rób tego. Poradzę sobie, jestem przyzwyczajona do samotności, mimo że dawniej było inaczej. Kiedy byliśmy z Laurentsem tylko we dwoje, miło spędzaliśmy czas, on wykazywał tyle troskliwości dla swej biednej matki. Teraz musi się zamęczać, by zaspokoić potrzeby wymagającej żony. On, który mógł mieć jedną z prawdziwie wysoko urodzonych panien w mieście! Interesowały się nim wszystkie młode damy, a on wybrał sobie chłopkę bez nazwiska!

Ostatnie słowa niemalże wypluła.

Liv usiłowała nie słuchać. Wiedziała, że Laurents i jego matka niedługo mieszkali w domu sami, gdyż ojciec zmarł tuż przed ich ślubem.

Także choroba teściowej budziła u Liv pewne wątpliwości. Jeśli coś ją zainteresowało, na przykład jakiś skandal, była w stanie pójść nawet daleko, by poznać szczegóły. Ale kiedy nic się nie działo, leżała przewracając się na sofie i była taka chora, taka chora...

- Dobrze, jeżeli naprawdę dacie sobie radę, matko, pójdę - rzekła Liv niepewnie. - Czy macie wszystko, czego wam potrzeba?

- Idź, idź - odpowiedziała słabym głosem ta wcale jeszcze niestara kobieta.

63

Czy naprawdę Liv wolno będzie wyjść? Z pewnością po powrocie dostanie się jej nowa porcja złości, ale to nie ma znaczenia. Czuła, że jeśli wkrótce nie wyrwie się z tego domu, udusi się. Nareszcie pozwolono jej wyjść!

Ale nie, nadzieja okazała się płonna. Teściowa nie miała zamiaru skapitulować. Na widok gotowej do wyjścia Liv złapała się za gardło wydając chrapliwe dźwięki.

- Och, nie mogę zaczerpnąć powietrza! Nie mogę oddychać!

Liv pobięła po sole trzeźwiące.

- Czy mam sprowadzić medyka? - zapytała, kiedy teściowa na chwilę przycichła.

- Nie, to bardzo zajęty człowiek. Nie wolno niepokoić go takim drobnostkami. Ładnie by to wyglądało, gdyby okazało się, że moja własna rodzina nie potrafi o mnie zadbać!

Liv popatrzyła na bladą, cierpiącą twarz i zrezygnowała. Do damy, która ją zaprosiła, posłała służącą, by ta odwołała wizytę.

W chwilę później teściowa ożywiła się i wkrótce była już na tyle w dobrej formie, by znów z rozmysłem dręczyć synową.

* * *

Sol obudziła się nagle, słysząc czyjś zduszony krzyk. W tej samej chwili Jacob Skille usiadł na posłaniu.

Był środek nocy; panowała jeszcze zupełna ciemność. W blasku księżyca dostrzegła zaskakującą scenę. Nad Jorgenem, bez wątpienia walczącym o życie, klęczało dwóch mężczyzn. Skille musiał zająć się dwoma innymi, którzy właśnie rzucili się na niego.

Sol zadziałała błyskawicznie, instynktownie. Podniosła z ziemi kamień i z całej siły uderzyła nim w głowę jednego z mężczyzn pochylających się nad Jorgenem. Zanim drugi zdążył się zorientować, roztrzaskała twarz i jemu.

Jorgen z trudem łapał powietrze, widać starali się go udusić. Zalewała go krew zabitych, ale Sol nie miała czasu, by temu zaradzić. Odwróciła się, żeby pomóc Skillemu.

Okazało się to jednak zbędne, gdyż zdołał wyciągnąć nóż i zdążył już zabić jednego z napastników. Obudził się więc na czas. Teraz na śmierć i życie walczył z drugim rozbójnikiem.

Zanim Sol zdążyła podjąć decyzję, czy powinna się włączyć do walki, z lasu wypadł i zaatakował ją jeszcze inny mężczyzna. Walczyła z całych sił, ale została napadnięta od tyłu, nie mogła więc wiele zdziałać; napastnik wciągnął ją na najbliższej stojącego konia i

pogalopował w las. Zdążyła jedynie obejrzeć się i zauważyć, że Skille zabił drugiego mężczyznę i popędził w stronę koni.

Przekleństwa wykrzykiwane przez Sol musiały wstrząsnąć Jacobem. Bezbronna niewiasta nie wyraża się w ten sposób!

Prawdopodobnie jednak pędząc za nimi konno nie słyszał jej wyzwisk. Sol wyrывała się, gryzła i drapała, nie bacząc na gałęzie drzew, które bezlitośnie smagały jej twarz.

- Pochyl się! - ryknął Skille.

Usłuchała. Nad Romeleasen rozległ się strzał. Rozbójnik krzyknął i wyrzuciwszy w górę ramiona, osunął się z konia. Sol spadła na ziemię i błyskawicznie przetoczyła się na bok, by uniknąć uderzenia kopyt.

Skille zeskoczył obok dziewczyny. Drugi koń biegł nadal, ale na rozkaz pana zawrócił.

Napastnik zabrał właśnie jego wierzchowca, z pewnością dlatego tak szybko puścił się w pogoń, pomyślała z goryczą Sol, leżąc w kłujących jałowcach.

Jednak w rzeczywistości wyruszył jej na ratunek.

- Wybaczcie, że trwało to tak długo, ale załadowanie strzelby podczas konnej jazdy zajmuje trochę czasu. Jak się czujecie? - zapytał niespokojnie.

Sol podniosła się chwiejnie.

- Chyba dobrze. To był wspaniały strzał - wymamrotała, wpadając w jego objęcia. Jacob Skille trzymał ją mocno, wyraźnie zatroskany.

- Mmm - wymruczała Sol. - Przyjemnie, kiedy ktoś się tobą zajmuje.

- Co mówisz? - zapytał.

- Nic. Wszystko w porządku. Jesteś taki wielki i silny. Musimy sprawdzić, co z Jorgenem.

- Oczywiście.

Puścił ją z wyraźną niechęcią.

Jorgenowi nie zagrażało niebezpieczeństwo. Trudno mu było mówić, rozbójnicy nie tylko go dusili, został też pchnięty nożem w ramię. Żył jednak.

- Dziękuję ci - ochryłym głosem szepnął do Sol. - Szybko zareagowałaś.

- Co? - wykrzyknął Jacob Skille. - To ty zrobiłaś? - Wskazał na dwóch zbójców z potłuczonymi czaszkami.

65

Pokiwała głową.

- Biedne dziecko - powiedział. - Jakim to musiało być dla ciebie przeżyciem! Zrobić coś tak brutalnego!

Sol starała się drzeć, nie bardzo jej to jednak wychodziło.

- To naprawdę niezwykle z twojej strony, bardzo jesteśmy ci wdzięczni. Ci durnie odważyli się napaść na kurierów królewskich! Ale na pewno nie wiedzieli, co robią. Jorgenie, jak się czujesz?

Młody chłopak trochę się zataczał.

- Chyba... chyba tracę sporo krwi.

Dopiero teraz odkryli, że otrzymał więcej pchnięć nożem.

- Coś trzeba z tym zrobić - powiedziała Sol i bez zastanowienia oderwała kawałek swojej halki. - Musisz odpocząć. Czy tu w pobliżu nie ma naprawdę żadnego domostwa?

- Nie - odpowiedział Skille - ale jeżeli pojedziemy na południe, w stronę morza...

- Zróbmy tak - zdecydowała opatrując Jorgena najlepiej jak umiała. - On w tym stanie nie może jechać dalej.

- Ale ja... - próbował zaprotestować chłopak.

- Sol ma rację - orzekł Skille. - Nie zdołasz dojechać do Glimmingehus.

Jorgen poddał się, przekonany, że tak rzeczywiście będzie najlepiej.

Kiedy wsadzili go na konia i ujechali kawałek, Sol wstrzymała swego wierzchowca.

- Poczekajcie chwilę. Czy mogę tam wrócić? Chciałabym odmówić modlitwę za ich dusze.

Skille najpierw chciał zaprotestować, ale zmienił zdanie.

- Jesteś dobrą dziewczyną. Czy mamy z tobą pojechać? Może nie chcesz być przy tym sama?

- Nie, nie trzeba. Boję się bardzo, by ich duchy nas nie prześladowały.

- Rozumiem. Zaczekamy.

Szybko dotarła na miejsce i zeskoczyła z konia. Kiedy upewniła się, że jej towarzysze niczego nie widzą, podeszła do jednego z rozbójników, starszego mężczyzny o długich, siwych włosach. To był jeden z tych, których zabił Skille, nie miał rozbitej głowy.

66

Sol śmiała się do siebie, odcinając mu włosy. Związała je i schowała do swego węzełka.

Potem pospiesznie ruszyła w powrotną drogę.

- Zrobione - powiedziała z dumą. - Pokój niech będzie ich duszom!

Skille mruknął coś cicho i skierowali się na południe. Jorgen jechał pomiędzy nimi, tak by mogli go

podtrzymywać.

Wkrótce dotarli do niewielkiej kolonii zagród. Obudzili mieszkańców najbliższego domostwa i opowiedzieli o napadzie.

- No tak - westchnął wieśniak. - Ta piątka nękała nas już od dłuższego czasu! Ale musieli ugiąć się przed żołnierzami króla Christiana. Należą się wam za to dzięki! Mam nadzieję, że dla panienki to nie było zbyt silne przeżycie?

Sol i Skille wymienili spojrzenia. Przecież to właśnie panienka, łagodnie mówiąc, zakończyła życie dwu z napastników.

- Przy takim dzielnym wojaku jak żołnierz jego królewskiej mości, Jacob Skille, każda dziewczyna czułaby się bezpiecznie - powiedziała skromnie.

Mieszkańcy zagrody obiecali jak najlepiej zaopiekować się Jorgenem. Sol zwróciła uwagę na młodą, ładną córkę gospodarzy. To dobre dla Jorgena, pomyślała. Ta chodząca cnotka Otylia wydawała się bardzo nieciekawa. Przyda mu się krzepki uścisk ramion hożej wiejskiej dziewczyny.

W księżycową jasną noc jechali więc tylko we dwoje. Wkrótce jednak księżyc zniknął, a na niebie pojawiły się ołowiane chmury. Zaraz po tym, na długo przed świtem, zaczął padać deszcz.

- Przekleństwo! - syknął Skille przez zęby. - Nie mogę narażać cię na przeziębienie albo na coś jeszcze gorszego po tym, co przeszłaś tej nocy. Taka jesteś delikatna i krucha. Tam w oddali widać osadę rybacką. Pojedziemy w jej stronę.

Okazało się, że to tylko dwie stare, rozpadające się szopy. Jeżeli gdzieś w pobliżu były jakieś zagrody, to w każdym razie stąd nie było ich widać.

Skille wszedł do jednej z szop, a Sol podążyła za nim, przemoczona i drżąca od chłodu nocy. Delikatna i krucha? No cóż, ciekawych rzeczy można się o sobie dowiedzieć, pomyślała.

- Nie używano jej od lat - stwierdził Skille. Jego głos odbijał się echem od szarych ścian. -

Możemy tu zostawić konie, sami rozłożymy się w drugiej.

Deszcz zamienił się teraz w ulewę. Fale Bałtyku rytmicznie biły o brzeg. Konie wyglądały na zadowolone z dachu nad głową. Sol też bardzo się z tego cieszyła.

67

- Zmarzłaś - stwierdził Jacob Skille, przygotowując posłanie w szopie. - Kładź się tutaj, ja pójdę do koni.

- Nie - powiedziała szybko. - Tam nie ma się gdzie położyć. Nie chcę zostać sama.

- Rozumiem - odparł ze współczuciem. - Jesteś zmarznięta i przerażona. Zostanę z tobą, możesz

zaufać mojej przyzwoitości.

Zachowywał się naprawdę wspaniale. Sol nie była przyzwyczajona do takiej troskliwości. Z

początku nie wiedziała, jak ma to przyjąć, ale z czasem, kiedy ciepło zaczęło rozchodzić się po jej ciele, rozluźniła się i zaczęło jej się to podobać. Pozwoliła, by rozmasował ją swymi wielkimi dłońmi, i hojnie poczęstowała go winem, które dostała od sędziego. Sama też pociągnęła spory łyk. W końcu owinął ją i siebie dokładnie w koce i otoczył ramieniem, żeby było jej cieplej, by poczuła się bezpieczna. Przestała drżeć.

- Dobrze ci? - szepnął, przytulając ją mocniej.

- Cudownie - mruknęła Sol. - Czy nie wiesz przypadkiem, gdzie rośnie belladonna? -

zapytała nagle.

- Belladonna? A co to jest?

No tak, mogła sobie darować to pytanie. Należało to przewidzieć.

Wkrótce zasnęła. Jacob Skille poszedł w jej ślady.

On, ten gruboskórny wojak, który do tej pory traktował kobiety jak coś, na co szkoda czasu, miał dziwny sen.

Unosił się, płynął i huśtał w niezwykłym morzu, w którym woda nie była wodą, a czymś cudownym, niezwykle miękkim. Otaczały go zwiewne, zaczarowane sylwetki. Jedna z nich zbliżyła się. Pochwycił ją, a ona, nie protestując, przytuliła się do niego. Promieniowało z niej przyjemne ciepło. Jacoba ogarnęło uczucie, które czasami pojawiała się w jego najskrytszych marzeniach. Teraz było jednak jeszcze silniejsze, bardziej porywające. Jego dłonie błądziły po ciele cudnej postaci, szukały miejsc wszystkich rozkoszy świata. Jakież szaty utrudniały do nich dostęp, jego palce zaplątały się w nie; pomogła mu i po chwili była już swobodna. Jej skóra była tak ciepła, dłonie szukały dalej, aż natrafiły na coś gorącego i wilgotnego. Jacob przysunął się jeszcze bliżej, przez jego ciało przebiegły dreszcze, nieznośne gorąco wprost bólem rozchodziło mu się po podbrzuszu. Teraz przeszkadzało jego odzienie, ale sprytne, drobne palce zdołały znaleźć to, czego szukały...

Sol śniła również. Ona jednak obudziła się wcześniej. Natychmiast zauważyła, co się dzieje.

Zorientowała się, że dzielny wojak nie jest świadom, co robi, że znalazł się w zupełnie innym świecie. Ostrożnie ułożyła się wygodniej, naprowadziła jego rękę i poczuła, jak bardzo sama jest spragniona. Drżała od wypełniającej ją żądzy, zwłaszcza że każdym nerwem czuła jego podniecenie. Widziała, jak - nie mogąc złapać tchu - zaczyna mocować się ze spodniami.

Pełna żywiołowej namiętności natychmiast pospieszyła mu z pomocą. Błyskawicznie odnalazła jego męskość i zatrzymując ją w dłoni westchnęła z głębokim przekonaniem, że jej ciało jest już gotowe

na przyjęcie Jacoba.

Obudził się. Sol kręciła się udając, że nadal śpi. Usłyszała przeciągły jęk, kiedy zorientował się, co chce uczynić, ale ona wciąż przyciskała się do niego tak, by nie mógł się wycofać.

Kiedy wszedł w nią, „obudziła się”, popiskując jak przestraszone szczenię, i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w jego twarz.

Skille zdrętwiał z przerażenia, nie miał już dość sił, by przestać.

- Jacob? - szepnęła, udając zdziwienie. - Jacob!

Zarzuciła mu ramiona na szyję, podporządkowała ciało jego rytmowi i wkrótce obydwójce oddali się słodkim uciechom miłości.

- Wybacz mi - szepnął, kiedy wyczerpany leżał obok niej. - Nie wiem, jak to się stało.

Śniłem...

- Ja też, Jacobie - wymruczała. - Ja też, takie są prawa natury. Obydwójce byliśmy tacy samotni.

- Dziękuję, że tak to odbierasz.

- Dobrze ci było?

- Jak w niebie, Sol, po prostu jak w niebie.

- Może w przyszłości poświęcisz dziewczętom więcej uwagi?

Przeraził się.

- Teraz istniejesz dla mnie tylko ty, rozumiesz to chyba. Nie zostawię cię!

- Och, kochany Jacobie! Ja muszę uciekać z Danii - powiedziała z odrobiną smutku. -

Straciłabym też szacunek dla ciebie, gdybyś opuścił służbę. Cieszymy się sobą przez ten czas, który możemy spędzić razem. Wspominajmy się ciepło! Dałeś mi cudowne przeżycie.

Już myślałam, że nie zniosę bliskości żadnego mężczyzny. Uzdrowiłeś mnie, usunąłeś w niepamięć to okropne zdarzenie z czasów, gdy miałam czternaście lat.

- Naprawdę? Taki jestem szczęśliwy!

O świcie, zanim wyruszyli, jeszcze raz byli razem. Ich drugie zbliżenie, już na jawie, było rozkoszną grą. Otwarli i ufni wobec siebie, uczyli się wzajemnie wszystkich tajemnic świata zmysłowej miłości.

Kiedy zegnali się na rozstajach dróg w pobliżu Glimmingehus, wiedzieli, że za kilka dni znów się spotkają. Obydwoje bardzo się na to cieszyli. On odjechał w kierunku zamku, majestatycznie wznoszącego się nad równiną, ona skierowała się w stronę Brosarps Backar.

Sol gnała na północ wzdłuż plaży. Koń, jakby uszczęśliwiony pędem po ubitym piachu, niósł ją ku rozpościerającej się przed nimi mgle.

Nad morzem unosiła się łagodna poświata, fale były długie, jakby śpiące. Chwilami promień słońca załamywał się w wodzie, zamieniając jej pastelową szaroniebieską barwę w nagły, oślepiający blask. Sol rozpytywała o drogę. Teraz zbliżała się już do celu, ale rybak, którego właśnie spotkała, ostudził jej zapał. Ostrożnie wypytała go o Brosarps Backar, wmawiając mu, że pyta ze strachu przed czarownicami.

- Czarownice? - odpowiedział ze śmiechem. - Cóż to za bajki? Nie, w Brosarp możesz czuć się zupełnie bezpieczna. Tylko najstarsi mieszkańcy gadali jeszcze coś o czarownicach.

Pojawiły się wątpliwości. Nadzieje Sol gwałtownie się rozwiały. Chciała jednak dowiedzieć się czegoś więcej. Co mówili starcy?

No tak, gdyby przyjechała tu sto lat temu, może wpadłaby w szpony czarownic. Gdyby udało się jej natrafić na kurhany, kamienie i kopce z pogańskich czasów. Ale teraz...? Teraz nad Brosarps Backar panuje spokój.

Sol przymknęła powieki, patrząc w słońce, by w ten sposób ukryć swe niezwykle, zdradzające ją oczy. Podziękowała mówiąc, że jej ulżyło. Zadając podchwytliwe pytania wywiedziała się jednak, gdzie mieszkają najstarsi ludzie w wiosce.

Nie miała zamiaru się poddawać. Znalazła się już tak blisko swych duchowych krewnych, musiała więc szukać dalej, aż zdobędzie tę straszliwą pewność, że jest jedyną osobą na całej Północy, posiadającą szczególne zdolności. No i oczywiście Tengel, jego jednak nie brała pod uwagę.

Pomimo żalu w sercu radowała się, spoglądając na przepiękny krajobraz. Kiedy nareszcie Brosarps Backar pojawiło się na horyzoncie, pomyślała, że to na pewno jedno z piękniejszych miejsc na ziemi. Najpierw, tuż koło wybrzeża, malownicze Havang, a potem miękkie wzgórza porośnięte pierwiosnkami i sasankami, z charakterystycznymi dla południa Szwecji domkami przytulonymi do zboczy wznoszących się ku Linderodsasen.

Jakże tu pięknie, aż do bólu pięknie!

Jechała dalej, wypatrując domu staruszków. Minęła kurhan grobowy. Czy to mogło być tutaj?

Dlaczego zniknęły? żaliła się. Po tym, jak straciła całą nadzieję, jeszcze bardziej zatęskniła za rozmową z kimś podobnym do siebie.

Dojechała wreszcie do chaty staruszków, którą dokładnie opisał rybak. Zsiadła z konia i przywiązała go do obsypanej kwieciami jabłonki.

Dwójka starych, przygarbionych ludzi przyjęła Sol serdecznie. Nakarmili ją. Dobrze jej to zrobiło, bo całkiem zapomniała o jedzeniu.

Tutaj nie mogła udawać, że obawia się spotkania czarownic, ponieważ musiała zadawać szczegółowe pytania. Trzeba wymyślić coś nowego.

Powiedziała im w końcu, że jej babka opowiadała o czarownicach, o ich spotkaniach w czwartkowe noce podczas pełni księżyca. Teraz chciała dowiedzieć się, czy ta historia jest prawdziwa.

Nagle okazało się, że staruszka jest bardzo zajęta mieszaniem czegoś w garnku na piecu.

- O tak - odpowiedział stary. Zniżył głos. - To wszystko prawda. Sam je widziałem! Kiedyś, w dzieciństwie, zanim je wypędzono.

Sol czuła, jak serce skoczyło jej w piersi.

- Wypędzono? A więc nie pomarły?

- Nie. Przybył ze swymi ludźmi komendant z Glimmingehus, by je pojmać. Zostały jednak ostrzeżone i uciekły. Po prawdzie to ostrzegła je moja matka.

Sol poczuła gwałtowną sympatię dla jego matki.

Staruszek się rozmarzył.

- Tak, dobrze pamiętam, jak je widziałem. Tak jakby to było wczoraj. W środku nocy obudziła mnie jakaś przedziwna pieśń, a ponieważ działo się to latem i było ciepło, więc wymknąłem się z domu, by sprawdzić, co to takiego. Wtedy je zobaczyłem.

Sol wiedziała, że starsi ludzie mają niezbyt dobrą pamięć, z reguły jednak dotyczy to zdarzeń z późniejszych lat ich życia. Wspomnienia z dzieciństwa pozostają zwykle czyste jak kryształ. Widziała, jak staruszek ożywił się, słysząc jej pytania. Jakby czuł, że jego słowa mają ogromne znaczenie.

Wyszedł na zewnątrz, za nim Sol, a potem staruszka.

- O tam, widziałem je tam, przy tym kopcu kamieni. Było ich wiele, przybywały na spotkanie z daleka. Tylko latem to było możliwe, sama panienska rozumie.

Mieli odrobinę trudności z porozumiewaniem się, Sol mówiła po norwesku, staruszkowie po skańsku, ale jakoś dawali sobie radę.

Stary przez chwilę wpatrywał się przed siebie.

- Kładły coś na kamieniu, wokół którego się zbierały - ciągnął. - Nigdy w życiu nie bałem się tak jak wtedy, kiedy na nie patrzyłem i ich słuchałem.

- Mówicie, że się stąd wyniosły. Dokąd?

Staruszkowie wymienili spojrzenia.

- To było sto lat temu - powiedziała Sol. - Nie mogą nadal być wśród żyjących. Chciałabym tylko odnaleźć ich ślad, nie chcę nikomu zrobić nic złego. Władze nie są moimi przyjaciółmi.

- Sto lat! - zachnął się stary. - Tyle lat to ja nie mam!

- Oczywiście, że nie - uśmiechnęła się Sol. - Wybaczcie mi. Ile lat mogło mniej więcej upłynąć od czasu, gdy je widzieliście?

Namyślał się, zmrużonymi oczami spoglądając w słońce.

- Hm, to musiało być jakieś sześćdziesiąt lat wstecz. Teraz mam ponad siedemdziesiąt.

Wtedy mogłem mieć dziesięć-dwanaście. Tak, to by się zgadzało.

- Sześćdziesiąt lat temu? - Nadzieja Sol urosła o czterdzieści lat. - Może wiecie, w jakim kierunku się udały? - zapytała Sol.

- Słyszałem, jak jedna z nich mówiła coś mojej matce - powiedział z wahaniem. - Ale nie wiem...

- Co to ma za znaczenie? - wtrąciła staruszka. - Wszystkie już dawno pomarły! Komendant schwytał je już całe wieki temu, chyba to rozumiesz!

- No tak - powiedział mężczyzna po długim namyśle. - Ale obiecałem matce, że nigdy nikomu nie powiem.

Sol zajrzała do sakiewki. Zostało jej jeszcze kilka monet od damy, której towarzyszyła w drodze do Danii. Lepiej nie będzie mogła ich wydać, uznała, mając na myśli nie tylko siebie, ale i parę starych ludzi.

- Macie, to dla was, po jednej dla każdego.

Staruszkowie otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia. Drżącymi rękami przyjęli pieniądze.

Powiedzieli, że nigdy tak wiele nie posiadali.

Natychmiast weszli do chaty, by ukryć monety. Sol słyszała, jak rozmawiają w środku.

- To bardzo szlachetna pani - powiedział staruszek. - I taka piękna!

72

Kobieta mówiła cicho, ale nie na tyle, by nie można było jej usłyszeć.

- Ona jest jedną z nich, czy tego nie widzisz? Od razu to zauważyłam! Kiedy odejdzie, musimy rzucić za nią żelazem!

- Nie. - Staruszek ze zdziwienia aż otworzył usta. - To niemożliwe! Jedna z nich! O Panie Jezu!

Kiedy wyszedł, w jego oczach widniało przerażenie.

Sol zdecydowała, że będzie z nimi szczerą.

- Tak, jestem jedną z nich - uśmiechnęła się przyjaźnie. - Ale nie macie się czego obawiać, wprost przeciwnie. Mam dobry środek, który wyleczy twoją nogę, mateczko, i coś na twoje przeziębienie, ojczulku. Czy zechcecie to przyjąć?

Po chwili zastanowienia i wymianie spojrzeń podziękowali i przyjęli lekarstwa. Wyglądali na uradowanych.

Nareszcie Sol otrzymała informację, na którą czekała tak długo.

Musi wjechać w głąb lądu, daleko w las, aż napotka strumień. Opisali wszystko dokładnie.

Jej odjazdowi z Brosarps Backar towarzyszyły długie podziękowania. Wkrótce jednak usłyszała za sobą łomot upadającej na ziemię siekiery. Uśmiechnęła się do siebie gorzko.

W ten sposób zwiedzę całą Skanię, pomyślała. Ale to nie szkodzi, najważniejsze, żebym znalazła to, czego szukam.

Nietrudno było jechać według wskazówek staruszków, ale droga okazała się daleka. Musiała minąć wielki przerażający zamek Vittskovle, przemierzyć szerokie pola i ciemne lasy aż do małej wioski położonej daleko od wybrzeża, do Tollarp. Miała ją minąć i zagłębić się w wielkie lasy.

Sześćdziesiąt lat temu... Musi być szalona, jeżeli sądzi, że ktoś z nich jeszcze pozostał.

Właściwie tak naprawdę sama w to nie wierzyła, pędziła jednak dalej z dzikim uporem, chcąc do końca poznać gorzką prawdę.

Czarownice umówiły się, że zbierać się będą w rozpadlinie zwanej Szczeliną Ansgara o każdej pełni księżyca latem. Niewiele musiało być tych spotkań w ciągu roku.

Na szczęście Sol miała jeszcze sporo czasu. Długo szukała właściwego miejsca, nie śmiejąc pytać o nie ludzi z wioski, które mijała.

Na zmianę jadąc wierzchem i idąc, szukała czegoś jeszcze: pokrzyku wilczej jagody, zwanego niekiedy belladonną, ziela, którego brakowało jej, by móc udać się na Blokksberg.

Za każdym razem, gdy jadąc wzdłuż plaży odpoczywała, rozglądała się za nim. Teraz szukała w lesie, pod drzewami, nie bardzo wiedząc, czego powinna szukać. Hanna nigdy go jej dokładnie nie opisała, mówiła tylko, że bardzo trudno spotkać go w Trondelag. Dlatego Sol takie nadzieje łączyła z południową Skanią.

Zatrzymała się i zapatrzyła w widnokrąg. Mimo że upłynęło czternaście lat od czasu, gdy widziała Hannę po raz ostatni i obraz jej zaczął się już zacierać, więź, która je łączyła, istniała nadal. Więź między dwiema istotami, które się w pełni rozumiały.

- Hanno - szepnęła Sol. - Dlaczego zostawiłaś mnie samą? Dlaczego Heming Zabójca Wójta zgasił twe życie, nie pozwolił nam współdziałać? Jestem taka samotna na tym świecie, Hanno! Bezgranicznie samotna!

ROZDZIAŁ VI

Podczas gdy Sol błędziła po zazielenionych wiosną bukowych lasach, Liv stała przy oknie w kupieckim domu w Oslo i spoglądała na błoto na ulicach. Deszcz siąpił bezlitośnie.

Uczucie ściskania w żołądku nie chciało jej opuścić, tak samo jak uczucie zniechęcenia.

Poddenerwowana, niespokojna, uderzała palcami o parapet. Gdyby tylko mogła czymś się zająć! Wszystko jednak, czego się tknęła, pociągało za sobą jeszcze większe wyrzuty sumienia. Czy wolno jej się tym zajmować? Czy to przystoi żonie? Czy kiedykolwiek się nauczy właściwego zachowania, ona, przywykła do niesienia pomocy, gdzie tylko było trzeba, wychowana w atmosferze miłości i troski o drugiego człowieka. Przyzwyczajona do myślenia o zadowoleniu innych ludzi, do dbania, by wszyscy mogli robić to, co sprawia im przyjemność, co czyni ich szczęśliwymi. Tutaj łajano ją, gdy pomagała w nieodpowiednim momencie. Ale który moment był właściwy? Wydawało się, że każdego dnia jest inaczej.

Jakże miewają się w domu w Lipowej Alei?

Tam chyba też pada deszcz. W takie dni woda ściekała po listkach lip i w alei tworzył się maleńki strumyk. A na dziedzińcu, tuż obok schodów, stała wielka kałuża. Od lat ojciec miał

zamiar coś z tym zrobić, ale zapominał, kiedy tylko przestawało padać. Pewnie dopiero Are się tym zajmie.

Reszta rodzeństwa była w Danii. Niedługo obydwójce wrócą do domu. A ona do domu nie pojedzie. Opuściła Lipową Aleję i Grastensholm na zawsze, a Laurents ciągle odmawiał, gdy proponowała odwiedzenie rodziny. Zazwyczaj twierdził, że nie ma na to czasu. „A poza tym nie powinnaś bywać

tam zbyt często - mawiał zwykle. - Co za dziwni ludzie! Charlotta Meiden to przecież kompromitacja dla swego stanu, jest taka radykalna. Niezamężna kobieta i w ogóle...”

Liv знаła zdanie Laurentsa na temat Charlotty: powinna być ukarana, zakuta w dyby i wystawiona na publiczne pośmiewisko, tak jak działo się z każdą samotną matką. Wszyscy, nawet ojciec dziecka, mieli prawo opluwać taką i obrzucać kamieniami. Charlottcie udało się tego uniknąć, z czego Laurents był wyraźnie niezadowolony. Twierdził, że takie przypadki przyczyniają się do ogólnego upadku moralnego.

Liv nie potrafiła wyobrazić sobie dobrej, życzliwej Charlotty zakutej w dyby. Naturalnie Laurents nie wiedział nic o tym, że mały Dag został porzucony w lesie na pewną śmierć.

Tego nie miała odwagi, ani też ochoty, powiedzieć mężowi.

„Tak, twój ojciec zarabia bez wątpienia niezłe pieniądze, jego więc mogę zaakceptować -

mówił Laurents, kiedy wspominali jej rodzinę. Zawsze jednak w jego głosie dźwięczał

pogardliwy ton. - Ale musisz przyznać, że poza wszystkim on jest bardzo dziwny. No i pięknym, na Boga, nie można go nazwać!”

75

Liv zawsze uważała swego ojca za najpiękniejszego na ziemi. Nikt nie miał oczu tak pełnych miłości jak on.

„Twój brat Are jest do wytrzymania. Przynajmniej mówi tak, że można go zrozumieć, chociaż to tylko chłop. A twoja matka? Też jest zbyt postępową. Chodzi z gołą głową, jakby żyła z twoim ojcem w grzechu. To po niej odziedziczyłaś taką niezaradność w prowadzeniu domu, prawda? I te idiotyczne pomysły, by malować!”

Liv nigdy nie ośmieliła się zdradzić Laurentsowi tajemnicy, że Silje to właśnie Mistrz Arngrim, którego tak podziwiał. Koniecznie chciał mieć namalowaną przez niego tapetę. Nie dostał

jej, bo Mistrz miał zbyt wiele zamówień. A nieudolność w prowadzeniu gospodarstwa? W

domu wszyscy mówili zawsze, że Liv, w przeciwieństwie do Silje, jest doskonałą gospodynią. Tu jednak do jej obowiązków należało coś zupełnie innego. Miała zarządzać, wydawać polecenia służbie i zawsze być na miejscu, kiedy potrzebował czegoś Laurents lub jego matka.

Liv nie lubiła komenderować służbą. W domu zwracano się do wszystkich życzliwie i w razie potrzeby pomagano w pracach domowych. Tu było o wiele trudniej!

Wiedziała, że Laurents czuje się bardzo niepewnie w towarzystwie Sol. Był nią oczarowany, a jednocześnie przerażony jej silną osobowością i pewnością siebie. A także brakiem zainteresowania czy podziwu dla jego osoby. Bardzo źle wyrażał się o Sol, oczywiście kiedy ona tego nie słyszała.

Laurents nigdy nie spotkał Daga i Liv zastanawiała się, jakie wady odkryłby u niego.

Czy wszyscy ludzie właśnie tak oceniali jej rodzinę? Bardzo ją to zasmucało. Na szczęście nie mogła w to do końca uwierzyć, mieli przecież tylu przyjaciół.

Teściowa ucięła sobie poobiednią drzemkę. To była najpiękniejsza chwila w ciągu całego dnia, te małe pół godziny, jakie Liv miała dla siebie. Tym razem jednak coś zacisnęło się w niej tak mocno, że nie była w stanie się odprężyć.

Krople deszczu uderzały w szyby. Do komnaty wszedł jeden ze służących. Liv szybko odsunęła się od okna, udając, że jest czymś zajęta.

* * *

Daleko, daleko od Oslo, w Skanii, Sol wstrzymała konia.

Tollarp? Czy nie powinna już tam dotrzeć?

Miała przykre uczucie, że zabłądziła.

Do diaska! Nie ma na to czasu!

76

Przez pewien czas gnała na oślep, nie widząc śladu żadnych zabudowań. Nie miała kogo zapytać, a czas upływał. Okolica była pofałdowana; zrozumiała, że musi znajdować się niedaleko Linderodsasen. Szukała Tollarp albo rzeki przepływającej przez to miasteczko.

Żadnej rzeki jednakże nie spotkała.

Czy cała ta część Skanii była nie zamieszкана?

Jeżeli nie będzie się pilnować, znajdzie się na terenach gjongów, a stąd już niedaleka droga do Szwecji. A może już jest w Szwecji?

Nie, to niemożliwe.

W tej samej chwili dotarły do niej jakieś głosy. Popędziła konia. Las wkrótce się skończył.

Rozpostarła się przed nią równina, na której gdzieniegdzie rosły dęby.

O, tam przy płocie stała grupka żołnierzy. Po okolicy roznosił się ich gromki, rubaszny śmiech.

Sol nie bała się ich, zwłaszcza że nie mieli koni, na których mogliby ją ścigać. Niemniej zatrzymała się na skraju lasu i obserwowwała ich, zmarszczywszy brwi.

Cóż oni, do czorta, wyprawiają?

Nagle na jej twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. Cofnąwszy się parę kroków, skryła się wśród drzew.

Żołnierze przywiązali do płotu kobietę. Stała pochylona z zarzuconą na głowę spódnicą, a oni po kolei zabawiali się z nią od tyłu.

Sol zmeła w ustach przekleństwo. Żołnierzy było wielu, dwunastu, może piętnastu. Widziała tylko wypięte pośladki kobiety i znak, że była nietknięta, zanim rozpoczęli swoje haniebne wyczyny. Zawodzący płacz i łkania docierały aż do Sol. Wydawało się, że rozpacz osaczonej powoduje tylko większą wesołość oprawców.

Do ataku gotował się kolejny łajdak. Sol szybko odnalazła swoje złote łańcuszki i zawiesiła je na szyi, związała włosy i ukryła je pod strojnym kapeluszem. Ogarnęła się jak mogła najdokładniej i usadowiła na koniu tak jak przystoi damie, z nogami po jednej stronie.

W jednej chwili dzika, pełna nieokiełznanego temperamentu dziewczyna zmieniła się w dostojną damę.

Ruszyła naprzód.

- Przestań! - zawołała władcym tonem do mężczyzny, który demonstrując swe męskie możliwości szykował się właśnie do ataku na biedną kobietę przy płocie.

77

Wszyscy odwrócili się zdziwieni.

- Puśćcie wolno tę kobietę, nędzni szubrawcy! - powiedziała Sol donośnie, nie zdając sobie sprawy, jak pięknie i imponująco wygląda.

Żołnierze rozdziawili gęby.

W końcu jeden ocknął się ze zdumienia.

- A co, może jesteś komendantem? Nawet nie umiesz mówić po naszymu! Złaż z konia, to posmakujesz tego samego.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - powiedziała zimno i pogardliwie. - Jesteście tacy wstrętni i mali!

Sol wiedziała, że nie może zejść z konia. Na jego grzbiecie była bezpieczna.

- Jeżeli natychmiast jej nie wypuścicie, będzie z wami źle - rzekła powoli, na wpół przymykając oczy.

Wielu zawahało się, dostrzegając jej szlachetne urodzenie. Przestraszyli się, że może na nich donieść. Ale ten, który gotował się do gwałtu, zarechotał tylko.

- Myślisz może, że mnie powstrzymasz?

- Tak.

Ta prosta i krótka odpowiedź zbiła go na moment z pantałyku, ale zaraz odwrócił się i zbliżył do kobiety. Stał tak, odwrócony do Sol plecami.

- No i co?

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała Sol stanowczym głosem. - Nie zdołasz, bo opuści cię twoja męska siła.

Znów zaczęli rechotać, a mężczyzna odwrócony plecami śmiał się najgłośniej. Podeszedł do dziewczyny.

Nagle stanął jak wryty.

- Psiamać! - przeklął i zaczął wrzeszczeć w panice: - Psiamać! Psiamać!

Inni stali jak skamieniali. Sol wykorzystwała tę chwilę ciszy.

- Tak stanie się z każdym, kto spróbuje ją tknąć.

78

- Ty diabelska czarownico! - krzyczał mężczyzna, podchodząc do konia. W jego głosie dźwięczał płacz. Nie przypuszczał, że Sol zastosowała przeciw niemu jedynie drobny chwyt psychologiczny i trochę sugestii.

- Nie dotykaj mnie, ty nędzna, ohydna kreaturo! - przemówiła zimno i donośnie. - Każdy, który ruszy ją albo mnie, będzie cierpiał tak jak ten przez całe życie.

Zbliżyli się do Sol o kilka kroków, teraz jednak zawahali się i przystanęli. Siedziała wyprostowana w siodle, miała takie dziwne, żółte oczy. Stracili pewność siebie. Poczuli, jak po jej słowach opuszcza ich żądza. Najrozsądniej byłoby uniknąć takiej przyszłości, pomyśleli.

- Znikajcie stąd - powiedziała Sol niecierpliwie. Chciała już skończyć z tymi nędznikami. -

Znikajcie i cieszcie się, że nic więcej wam nie zrobiłam.

- Doniesiemy o tym wójtowi - spróbował pogrozić jej jeden.

Sol wbiła weń swe żółtozielone oczy.

- Na twoim miejscu zastanowiłabym się nad tym - powiedziała gniewnie. - Jeśli to zrobisz, odwdziczę ci się, nawet się do ciebie nie zbliżając.

- Mnie nie przestraszysz - powiedział mężczyzna lekko drżącym głosem. Widać było, że nie chce do końca stracić poważania w oczach pozostałych.

- Idź na czworakach jak pies - rozkazała Sol beznamiętnym tonem.

Ku zdziwieniu swych towarzyszy opadł na kolana i zaczął skomleć jak nędzny kundel.

Oddalił się od niej na czworakach.

Tego już było dzielnym żołnierzom za wiele. Po chwili wahania jeden z nich uczynił gest mający odwrócić od nich urok: wyciągnął w jej kierunku dwa palce, mały i wskazujący, tak by przypominały rogi diabła. Inny zawołał:

- Uciekajmy stąd!

Pobiegli przed siebie jak stado spłoszonych zajęcy, za nimi posuwał się na czworakach szczekający „pies”.

Sol uwolniła go z hipnozy, przewrócił się, a potem pognał, jakby ścigał go sam Szatan.

Poczekwała, aż stali się tylko małymi punktami na horyzoncie; dopiero wtedy zsiadła z konia i podeszła do płaczącej biedaczki przy płocie.

- O Boże - mówiła, naciągając kobiecie spódnice na sponiewierane ciało. - Co za bestie! -

Pochyliła się i rozwiązała przytrzymujące ją rzemienie.

79

Blond włosy zakrywały twarz, ale Sol patrząc na skórę i ramiona poznała, że nie była to stara kobieta. Pomogła biedaczce się wyprostować.

- Na miłość boską! - krzyknęła. - Ile ty masz lat?

Szlochająca dziewczyna z trudem wydobyła z siebie głos.

- Trzy-y-na-a-ście.

- Biedne dziecko - powiedziała Sol wzruszona do łez, jakby nie pamiętając, że sama miała czternaście lat, kiedy uwiodła Klause. To jednak było zupełnie co innego.

Nigdy nie spotkała kogoś tak bezbronego jak to dziecko. Zapłakana buzia niegdyś musiała być okrągła i niebrzydka, ale bieda i głód zrobiły swoje. Jej odzienie też o tym świadczyło.

Była tak zawszona, że Sol widziała żyjątko wszędzie, we włosach i na ubraniu.

- Jezus Maria - mruzczała Sol, zrywając garść trawy, by wytrzeć uda dziewczyny. - Potrzebne ci

niezłe szorowanie! Ale przede wszystkim musimy stąd odejść. Potrzebuję twojej pomocy, zabłądziłam. Jak mogę dojechać do Tollarp? A właściwie w okolice na zachód od Tollarp?

Dziewczynka starała się stłumić histeryczny płacz.

- Już tu jesteście, pa-anienko.

- Naprawdę? Tu gdzieś powinien być strumień, wzdłuż którego mam jechać na zachód. W stronę gór.

- Strumień płynie za tym pagórkiem, o tam.

- To dobrze. Wsiadaj na konia!

- Naprawdę?

- Oczywiście. Pospiesz się.

Dziewczynka spróbowała wsiąść i znów zanosła się żalonym płaczem.

- Tak mnie boli!

Sol musiała jej pomóc. Wstrząs pozbawił dziecko całej odwagi i całej siły do działania.

Okazało się, że musi siedzieć w siodle po damsku ze względu na ból, jaki odczuwa.

Sol wolała prowadzić konia idąc. Mamie Silje z pewnością nie spodobałoby się, gdyby wróciła do domu zawszona. W tym względzie Silje była zawsze bardzo surowa i dzieci musiały znosić niezliczone przykre kuracje, by pozbyć się nieproszonych stworzeń.

80

Na szczęście strumień znajdował się w kierunku przeciwnym do tego, w którym uciekli żołnierze. Zbiegli do Tollarp, jak wyjaśniła dziewczynka. One nie musiały tam iść; były już na zachód od małego miasteczka.

- Jak się nazywasz? - spytała Sol, prowadząc konia za uzdę.

- Meta.

- Mieszkasz gdzieś niedaleko?

- Tak. Nie. Już teraz nie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Dziewczynka podniosła dłoń i wytarła łzy z oczu, miała teraz ciemne smugi na twarzy.

- Nigdzie nie mieszkam - płakała. - Chodzę po drogach i żebrzę o datki.

- Nie masz rodziców? Nie należysz do żadnego dworu?

- Nie. Moja matka była odźwierną. Umarła teraz, na wiosnę. Od tej pory tak chodzę, nie byłam w domu.

Odźwierna? To takie lepsze słowo na określenie ladacznicy, pomyślała Sol.

- Ale przed tym byłaś dziewicą?

- O tak. Matka bardzo dbała, by nie było ze mną tak jak z nią.

- I teraz ci szubrawcy...

- Oni wiedzieli, kim była moja matka; że była niezamężna - odpowiedziała zawstydzona. -

Chcieli mi dać nauczkę.

Sol zagryzła zęby.

- Powinnam obrócić ich w kamień, ale tak, by zachowali uczucia. Ludzie deptaliby po nich buciorami!

Meta zaniemówiła.

Chyba ją wystraszyłam, pomyślała Sol. Popatrzyła na dziewczynkę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - A gdzie mieszkaliście?

- Koło strumienia, właśnie tam idziemy.

81

- Wspaniale!

Droga okazała się dość długa, choć dotarły już do strumienia. Z czasem szlochy umilkły, ale nieszczęsna dziewczynka nadal przedstawiała żaloszny widok, kiedy kurczowo trzymała się konia, usiłując nie siedzieć na obolałych miejscach.

Nareszcie Meta palcem wskazała na szałas, którego Sol wcale nie zauważyła. Przypominał zwykły kopiec ziemny. Poprosiła, by dziewczynka zeszła z konia.

Meta ociągała się.

- Myślę, że... że nie powinniśmy tam wchodzić.

- Dlaczego?

- Nie... nie chcę.

Głupstwa, pomyślała Sol. Mała musi przecież gdzieś mieszkać.

To jednak rzeczywiście nie było przyjemne miejsce, w jamie musiało być ciemno i smutno.

Sol znalazła coś w rodzaju wejścia i schyliła się, by wsunąć się do środka.

Wewnątrz, w ciemności, leżały na posłaniu rozkładające się zwłoki.

Do licha, czy ona nawet nie mogła pogrzebać matki? pomyślała Sol z rezygnacją. Nie było z kim porozmawiać, poprosić o pomoc. Zabierze stąd tylko to, co im się przyda; dziecko nie może tu zamieszkać.

Wzięła jeden żaloszny garnek bez uchwytu.

Mocno potrząsnęła dwoma słupami, na których opierała się cała konstrukcja szałas, tak aby wszystko zawaliło się, przykrywając ciało zmarłej.

- Dobrze. To będzie jej grób. Pokój jej duszy - wymruczała Sol i szybko sporządziła amulet, który położyła na kopcu. Teraz duch zmarłej nie będzie ich prześladował. Sol nie widziała potrzeby odmawiania modlitw nad grobem, ale ze względu na dziewczynkę uwiła z wikliny krzyżyk. Sama uważała to za przesadę.

Meta, załamana, w dalszym ciągu cicho płakała.

Jeszcze przez godzinę wędrowały wzdłuż strumienia, aż doszły do miejsca, gdzie woda płynęła spokojnie. Sol rozpałała ognisko w pięknym zakątku.

82

Po obu stronach strumienia było płasko, utworzył się więc niewielki zalew. Podczas gdy w garnuszku gotowała się woda, Sol wyciągnęła jedzenie dla dziewczynki. Mała rzuciła się na nie tak, że Sol musiała ją powstrzymać.

- Rozchorujesz się, jeżeli będziesz jadła łapczywie - ostrzegła ją.

Kiedy Meta już była syta, Sol wstała.

- Skończyłaś, możemy więc zacząć.

Meta spojrzała na nią zdziwiona.

- Co zacząć?

- Mycie. Rozbieraj się i wskakuj do strumienia.

- Do wody? Nie! - wrzasnęła przerażona dziewczynka. - To niebezpieczne!

- Kąpiel? Widać, że boisz się wody. Nie, w kąpieli nie ma nic niebezpiecznego. Wprost przeciwnie.

Stało na tym, że Sol musiała rozebrać się i wciągnąć małą do wody. Wcześniej jednak wyjęła ług i nad garnkiem, w ciepłej wodzie, wyszorowała włosy i twarz dziewczyny. Meta wiała się i piszczała, była pewna, że umrze. Sytuację pogarszał fakt, że Sol natarła ją brzożowymi gałązkami i rozgrzana skóra niemal płonęła.

- Spójrz! - wrzasnęła Sol; musiała krzyczeć, by zagłuszyć płacz Mety. - Zajrzyj do garnka!

Zobacz, ile wszy i pcheł, i czort wie czego jeszcze. To wszystko żyło na tobie! Wskakuj do strumienia, pozbędziemy się reszty!

Wrzaski, które teraz nastąpiły, niosły się na parę mil. Sol była jednak stanowcza, no i silniejsza, choć szkoda jej było dziecka, które musiało przeżyć kolejny wstrząs. Nie miała jednak innego wyjścia.

A kiedy Meta w końcu zrozumiała, jakie to przyjemne uczucie, kiedy woda opływa ciało, uspokoiła się i tylko od czasu do czasu szlochała. Na jej usta wypełził nieśmiało leciutki, drżący uśmiech.

- Czy nie porwie mnie koń z potoku? - upewniła się. - Matka zawsze mi mówiła, żebym nie zbliżała się do wody, bo tam mieszka koń z potoku.

Sol pojęła, że koń z potoku musiał być skańską wersją wodnika.

- To jego tak się boisz? To mój przyjaciel.

83

I znów Meta popatrzyła na Sol, tak jakby zastanawiała się, kim może być obca panna.

Chętnie jednak odchyliła głowę w wodzie, by Sol porządnie mogła jej splukać włosy. Śmiała się bardzo, kiedy jej uszy znalazły się pod wodą.

- Słyszę, jak strumień szemrze uderzając o kamienie! - cieszyła się. - Wydaje się, że jest burza!

Wreszcie Sol uznała, że dziewczynka jest już czysta.

- Jakaż piękna jesteście, panienko - powiedziała Meta, kiedy nagie, trzymając się za ręce, wychodziły z wody.

- Tak - odparła Sol po prostu. - To ogromna korzyść dla dziewczyny, uwierz mi! Ty też będziesz ładna, kiedy tylko nabierzesz trochę ciała i znikną wszystkie ślady po ugryzieniach.

- Ale nigdy nie będę taka ładna jak wy - powiedziała Meta z podziwem.

No tak, do mnie ci daleko, przyznała w duchu Sol bez śladu zawstydzienia.

Sol miała ze sobą jeszcze dwie zmiany odzienia, jedną podarowała więc Mecie. Chwilę później Meta stanęła wyprostowana nad wodą. Ta mała, nieszczęśliwa osóbka była teraz olśniewająco czysta. Sol zaplotła jej gęste, popielatoszare włosy. Zaaplikowała jej też środek, który miał zabić życie, być może kielkujące w niej po tym, czego doświadczyła z żołnierzami.

Przyniosła lusterko i kazała Mecie się przejrzeć.

- Zobacz, czystość chyba nikomu nie szkodzi, prawda?

Dziewczynka uśmiechnęła się do własnego odbicia promiennie jak słońce.

- Jak ładnie wyglądam - powiedziała onieśmielona. - I jak wspaniale być czystym! Dziękuję, panienko! Nigdy nie myślałam, że taka wielka dama jak wy może być taka dobra!

Na te słowa rozległ się głośny śmiech Sol.

- Ja jestem dobra? Jeszcze i to! Pamiętaj, Meto, robię to tylko dlatego, że mnie to bawi, z żadnego innego powodu.

Tak właśnie myślała Sol.

- Zostaniesz tu i będziesz czekać, aż wrócę - powiedziała. - Mam parę spraw do załatwienia i nie mogę cię ze sobą zabrać. To potrwa ze dwa, trzy dni. Zbuduj szałas z gałęzi, poradysz sobie. Potem rozejrzemy się za jakimś miejscem dla ciebie. Czy tu w okolicy nie ma żadnych dworów?

84

- O tak, są. Gyllenstiernowie mieszkają w Fulltofta, a nad morzem jest Bosjokloster i Vittskovle. Wszędzie znali matkę.

Powiedziałabym raczej że wszędzie cieszyła się złą sławą, pomyślała Sol.

- Mijałam Vittskovle, to za daleko stąd. Zobaczymy, czy nie przyjmą cię do pomocy w Fulltofta lub Bosjokloster. Chciałabyś?

- Tak, teraz kiedy tak ładnie wyglądam, może będę miała odwagę zapytać - powiedziała Meta zawstydzona. - Ale przecież muszę oddać wam tę piękną suknię.

- Nie, to tylko stary łach - powiedziała Sol, ale od razu pożałowała tych bezmyślnych słów.

Podarowana suknia w porównaniu z ubiorem tej biedaczki mogła wydawać się szczytem elegancji. - Żartowałam tylko, Meto, nie chciałam tak wcale powiedzieć. Ale sukienkę możesz zatrzymać.

Dziewczynka znów gotowa była wybuchnąć płaczem, tym razem z radości. A Sol poczuła, że robi coś dobrego, i uczucie to wcale nie było jej niemiłe.

Dziecko poprosiło ją żałośnie:

- Nie odchodźcie ode mnie, panienko!

- Muszę.

- Obiecujcie, że wrócicie!

- Boisz się?

- Trochę. Dzikie zwierzęta, duchy i...

- Nie ma ich tutaj, możesz mi zaufać. Obiecuję ci, że wrócę. Zobacz, weź ten nóż, mam jeszcze jeden. Będziesz się czuć bezpieczniej. I nie myśl już więcej o tym, co się stało!

- To nie tak łatwo zapomnieć, panienko!

- Masz rację. Czy nie wiesz, gdzie znajduje się Szczelina Ansgara? - zapytała po krótkiej przerwie.

- Mniej więcej wiem, ale to niebezpieczne! Powiadają, że tam jest otchłań, w której wiecie kto mieszka.

To świetnie, pomyślała Sol. Gdyby otchłań rzeczywiście istniała, bez wahania by się w nią zagłębiła. To kusząca perspektywa. Uśmiechnęła się krzywo.

- Głupstwa! Czy sądzisz, że jestem strachliwa? Chyba nie.

85

Meta nieporadnie opisywała jej drogę. Nie wydawało się to tak strasznie daleko.

- Nie wiesz, czy tu nad rzeką rośnie belladonna, wilcza jagoda?

- A co to jest?

Sol westchnęła tylko, pożegnała dziewczynkę i ruszyła w drogę.

* * *

W Oslo przestało już padać, ale Liv znów stała przy oknie. Nie miała co robić. Nie śmiała niczym się zająć.

Jej teściowa tego dnia czuła się na tyle dobrze, że wybrała się do sąsiadów posłuchać plotek.

Trzasnęły drzwi wejściowe.

Dobrze znajomy dźwięk wskazywał, że do domu wrócił Laurents.

Liv zdrętwiała. Ściskanie w żołądku stawało się coraz bardziej bolesne. Wykrzesła z siebie resztki sił i wyszła na spotkanie męża z uśmiechem.

- Dzień dobry, Berenius - powitała go. - Tak wcześnie dzisiaj w domu?

Nie wolno jej było zwracać się do męża po imieniu; twierdził, że to wulgarne. Liv miała o tym zupełnie inne zdanie, ale jak zawsze uległa.

Rozjaśnił się, kiedy ją zobaczył.

- Jest moja duszyczka! - zawołał, obejmując ją. - Jak pięknie wyglądasz w tej sukni! Nic dziwnego, to ja sam wybierałem materiał! Jak się dzisiaj czuje mój mały aniołek?

- Dziękuję, dobrze - odparła uśmiechając się sztywno. - Trochę mi tylko nudno, kiedy was nie ma w domu.

Odwrócił się do niej zniecierpliwiony.

- To już słyszałem. Robię dla ciebie wszystko, noszę cię na rękach. Nie masz żadnych obowiązków, żadnych trosk, nic nie musisz robić, a i tak narzekasz.

- Wybacz mi - szepnęła Liv. - Już więcej nie będę. Czy nie mógłbyś opowiedzieć czegoś o kantorze, Berenius?

- Co? - roześmiał się. - Miałbym cię zanudzać sprawami, o których nie masz pojęcia i których nigdy nie zrozumiesz? Nie bądź głupia, Liv.

86

- Nie, myślałam tylko... Żona powinna dzielić z mężem wszystkie jego smutki i radości.

Bardzo bym tego chciała.

- No wiesz co! Nasze wspólne życie jest tu, w domu. To, co jest poza nim, to moja dziedzina.

- Ale ja potrafię dobrze rachować - powiedziała gorliwie. - I podobno ładnie piszę. Czy nie mogłabym pomóc wam w kantorze? Moglibyśmy być razem, wyszłabym trochę do lu... Och, przepraszam!

Jego twarz zrobiła się popielatoszara, gwałtownie zerwał ze ściany szpicrutę. Liv poznała ją już wcześniej. Teraz, uciekając przed nim, piszczała jak szczenię. Biegła z komnaty do komnaty, a mąż w ślad za nią.

- Stań! - wołał. - Zatrzymaj się, niewdzięcznico!

Liv wcisnęła się w kąt w ostatnim pokoju. Szpicruta raz po raz ze świstem przecinała powietrze. Poczowała piekący ból.

- Jak śmiałaś powiedzieć, że mogłabyś być pomocna w mojej pracy? - syczał z pianą na ustach. - Rachować! Ty, żona! Jak śmiesz wmawiać sobie coś takiego?

Liv skurczyła się jeszcze bardziej. Widząc, jak bardzo jest bezradna, uspokoił się. Opuścił szpicrutę i złapał ją za rękę.

- Co ja zrobiłem mojej gołąbeczce? - powiedział z żalem. - Ta mała rączka krwawi!

Scałował krew, uściśnął jej dłoń i mocno przytulił do siebie.

- Cicho, cicho, nie płacz już, mój gołąbeczku. Twój silny mąż jest tutaj, zajmie się wszystkim.

Wiesz przecież, że kocham cię nad życie i że chcę jedynie twojego dobra. Tak mnie boli, kiedy cię pouczam, ale musimy przecież pozbyć się tych twoich wymysłów, prawda?

Liv powoli przychodziła do siebie, wyprostowała się. Skinieniem głowy potwierdziła jego słowa, ale jej spojrzenie przypominało wzrok zranionego zwierzęcia.

- Wszystko już dobrze - powiedział. - A wieczorem, kochanie, zabawimy się, dobrze? Moja gołąbeczka nie odmówi swojemu mężulkowi?

Największym wysiłkiem woli opanowała dreszcz. Dobrze znała te ich chwile zabawy. Ona musiała być całkowicie bierna i tylko z wdzięcznością przyjmować jego pieszczoty.

87

ROZDZIAŁ VII

Słońce już zaszło, ale mimo to nadal było jasno, kiedy Sol nagle stanęła nad głęboką rozpadliną, daleko, daleko od wszelkich zabudowań, w głębi ciemnego lasu.

Była zmęczona, głodna i zniechęcona po bezładnej wędrówce trwającej całe popołudnie i wieczór.

Czego właściwie szukała? Opuszczonego miejsca, które przestało odgrywać właściwą mu rolę już całe wieki temu? Gdzie przywiodła ją jakaś stara opowieść o czarownicach, które zbierały się tu w zamierzchłych czasach?

Zadrżała. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna jak w tej chwili.

Została już tylko ona jedna. Co właściwie tu robi?

Z westchnieniem spojrzała w dół.

Zwęglone resztki, pozostałość po rytuałach odprawianych na dnie rozpadliny, wyraźnie przemawiały swoim językiem.

To musiała być Szczelina Ansgara.

Chyba nie tego Ansgara, który schrystianizował Skandynawię? Wcale też nie było tu otchłani. Z miejsca, w którym stała, widziała całe porośnięte trawą dno rozpadliny. Czego to ludzie nie potrafią wymyślić!

Palenisko, które tak często było używane...

Czy to możliwe, by nadal istniały jakieś...

Nie, to na pewno ślady pozostawione przez drwali.

Nie może robić sobie zbyt wielkich nadziei.

Ale Sol, tak dotkliwie odczuwająca samotność w obcym kraju, głęboko w lesie, zdecydowana była stawić się w tym miejscu wieczorem następnego dnia podczas pełni księżyca. Może uda się jej odebrać przesłanie lub choćby sygnał od zmarłych, od wygnanych, przepędzonych nieszczęśników, którzy kiedyś tutaj się zbierali? Spróbuje nawiązać bodaj ciekawą nić porozumienia z ich duszami, ona, obca w świecie zwykłych ludzi.

Odeszła smutna w poszukiwaniu miejsca na nocleg dla siebie i konia.

Nad morzem, nad kurhanami w Brosarps Backar i nad Szczeliną Ansgara, znajdującą się w głębi łądu w tajemniczym lesie, świecił księżyc w pełni. Wzmagający się wiatr targał włosy 88

Sol. Dziewczyna z rozmysłem spowiła się w czerń. Na końcu długiego kija przywiązała kosmyk włosów odcięty staremu rozbójnikowi. Powiewał teraz na silnym wietrze.

Nadszedł czwartkowy wieczór, powędrowała więc do Szczeliny Ansgara.

Już z oddali wyczuła zapach ogniska. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła słup gęstego dymu wydobywający się z rozpadliny i wędrujący już wysoko w koronach drzew. Serce zabiło jej mocniej.

To na pewno drwale, pomyślała. Ale co oni tu robią w nocy?

Smolarze? Nie widziała jednak ich śladów.

Przystanęła i zajrzała w dół.

W rozpadlinie płonął ogień. Wokół niego siedziało troje ludzi. Troje samotnych ludzi, w tym dwie kobiety. Co tu robiły kobiety o tej porze?

Widziała, że rozmawiają i patykami grzebią w węglach, oni... .

Sol zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Te kobiety to czarownice! Nie mogła się mylić!

Długo stała nieruchomo.

Zaraz mnie zauważą, pomyślała. Wyglądam chyba dostatecznie dramatycznie, z włosami i suknią powiewającą na wietrze, z wzniesionym kijem czarownic, podświetlona od tyłu blaskiem księżyca.

Sol zawsze lubiła dramatyzować.

Nie zdążyła jeszcze w pełni uruchomić swej wybujałej wyobraźni, gdy jedna z kobiet z wyraźnym podnieceniem wskazała na nią palcem. Druga kobieta i mężczyzna wstali, przerażeni. Długo trwali bez ruchu, podczas gdy Sol schodziła w dół po stromiznie.

Podeszła do nich bardzo blisko. Czowała się cokolwiek niepewnie widząc, jak bacznie się jej przyglądają i oceniają.

Milczenie przedłużało się. Przez głowę Sol przemknęła myśl, że tu, w szczelinie, jest tak zacisznie.

- Bądź pozdrowiona, córo Ludzi Lodu!

Sol drgnęła. Przemówiła kobieta, która zauważyła ją pierwsza i nie wstała wraz z pozostałymi. Głos miała zachrypnięty.

89

- A więc znacie mnie? Znacie Ludzi Lodu?

Kobieta poprosiła ją, by spoczęła; pozostali także usiedli.

- Nie, nie znam cię - uśmiechnęła się staruszka. - Ale imię Ludzi Lodu głośnie jest w naszych kręgach. Nie można nie rozpoznać waszych oczu. Ale, o ile wiem, mieszkali w Trondelag aż do czasu, gdy zostali zgładzeni jakieś piętnaście lat temu. Jak to się stało, że jesteś tutaj?

- To długa historia - odparła Sol. - Dowiedziałam się o czarownicach z Brosarps Backar od mojej starej krewniaczki Hanny, a ponieważ jestem chyba jedyną spośród prawdziwych Ludzi Lodu, tęskniłam za spotkaniem z wami przez całe swoje życie.

- Hanna? - powtórzyła stara kobieta, ubrana w ciemne szaty i szal, zakrywający nawet jej twarz. - Hanna? Matka mojego ojca słyszała o pewnej Hannie z rodu Ludzi Lodu, która miała niezwykle zdolności. Ale czy to może być ona?

- To bardzo prawdopodobne. Nauczyłam się od niej wszystkiego, co potrafię.

- Jak dostałaś się tu z Brosarp? - zapytała druga kobieta.

Sol uśmiechnęła się.

- Jeśli ma się w życiu tylko jedno marzenie, robi się wszystko, by je spełnić. Pomogła mi para staruszków. Zrobili to, ponieważ zrozumieli, kim jestem. Ale żołnierze wójta napotkają u nich na mur

milczenia.

- To dobrze - rzekła kobieta.

Sol była szczęśliwa niemal do szaleństwa. Zaproсили ją na prosty posiłek. Teraz, odpowiadając na rozliczne pytania, mogła przyjrzeć się im uważniej.

W wyglądzie staruszki zdumiewał kontrast między skórą, delikatną i gładką jak u młodej dziewczyny, a siwymi włosami i bezzębnymi szczękami. Druga, kobieta w średnim wieku, była wyniszczona chorobą. Miała przerzedzone, zmatowiałe włosy i zbyt wczesnie zwiędłą skórę. Była chuda i blada; ani chusty, ani ciepło ogniska nie były w stanie już jej rozgrzać.

Nieustannie zanosila się suchym, męczącym kaszlem. Sol nie mogła wyzbyć się obawy, że kobieta, goniąc resztkami sił, za chwilę upadnie.

Mężczyzna był przedziwnym, trudnym do opisanego, milczącym typem. Bardzo wysoki i chudy, sprawiał wrażenie, jakby jego członki zostały ze sobą połączone przypadkowo. W

podłużnej twarzy osadzone były smutne oczy. Nadgarstki nosiły głębokie ślady po kajdanach wójta.

Wizyta Sol wyraźnie ich ożywiła.

90

Kiedy opowiedziała o swoich przeżyciach, chciała dowiedzieć się czegoś o nich. Usłyszała gorzkie opowieści o nędznym życiu w ciągłym strachu i przerażeniu.

Księżyc zniknął z ich pola widzenia. Noc wokół była ciemna, a im, którzy siedzieli przy świetle ogniska, wydawała się jeszcze ciemniejsza.

- Zostało nas już niewiele - westchnęła staruszka. - Nic dziwnego, skoro kościół i władze tak się rozbestwiły. Kiedy nie mogą znaleźć nas, łapią kogo popadnie. Wiesz pewnie, dziewczyno, że nie obchodzi ich, kogo biorą. Zwykle, dobre kobiety, które z czarami nic wspólnego nie mają, więzione są na podstawie bezzasadnych pomówień złych sąsiadów.

Moje serce często płacze nad tymi nieszczęśnikami. My, mający niechętnie widziane zdolności, które mimo wszystko tak bardzo kochamy; musimy być po trzykroć bardziej ostrożni. Pięćdziesiąt lat temu było nas w Danii dużo, teraz została tylko garstka. Większość z nas jest dziś tutaj.

To bardzo niewiele, pomyślała Sol. Obie kobiety pewnie nie przeżyją zimy, a i mężczyzna nie wydawał się okazem zdrowia. Jemu także nie było sądzone długie życie. A potem? Co będzie potem? Świat pełen pustki.

- Jestem prawdopodobnie jedyna w Norwegii - powiedziała Sol. - Oprócz brata mej matki, ale to odszczepieniec. Używa swej mocy tylko do leczenia i pielęgnacji chorych.

Kobieta popatrzyła na nią mądrymi oczyma.

- Nie, nie jesteś jedyna, moje dziecko. Masz towarzyszy.

- Jest nas więcej? Kto? Gdzie?

Staruszka przytaknęła.

- Są to Finowie przybyli ze wschodu do Szwecji, do lasów w okolicach Angermansland, Dalarna i Varmland. Stamtąd ciągną na zachód, do głębokich lasów Solor w Norwegii. Tam możesz ich szukać. Sposobią sobie ziemię, wypalają lasy i sieją. Wśród nich są mężczyźni i kobiety, które wiele potrafią.

Sol załśniły oczy.

- Muszę tam kiedyś pojechać! Uwierzcie mi, moje życie było takie samotne, chociaż otaczała mnie troskliwa rodzina, którą kochałam.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Znamy twoją samotność. My także ją odczuwamy.

Popatrzyła na jego nadgarstki.

91

- Byłeś w szponach wójta?

- Tak. Długo siedziałem w ciemnicy. Nie wiesz, jak tam jest, dziecko. Strzeż się, by cię nie pojмали. Zdarza się, że „zapominają” o więźniach miesiącami. Widziałem kobiety prowadzone na stos w odzieniu tak przegniłym, że z nich spadało.

- W jaki sposób się wydostałeś?

Uśmiechnął się, pokazując długie końskie zęby.

- Z pomocą czarów pokierowałem wolą strażników.

- Wspaniale! - powiedziała Sol z podziwem.

- Ale to zabrało trochę czasu. Potem, kiedy odzyskałem wolność, byłem tak wycieńczony po tygodniu natężania woli, że spałem przez wiele dni. Nigdy nie pozwolę, by mnie znów schwymano.

- Rozumiem. Och, jakże szczęśliwa jestem z wami! Chcę tu zostać jak najdłużej!

- Nie - powiedziała młodsza kobieta. Mówiła po duńsku, podczas gdy pozostali najwyraźniej pochodzili ze Skanii. - Nie. Moją najmocniejszą stroną jest przepowiadanie przyszłości.

Musisz wracać do domu. Natychmiast! Ktoś cię potrzebuje.

- Mnie? Kto?

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że ktoś, kogo bardzo kochasz, cierpi. I tylko ty możesz temu zaradzić.

Sol spoważniała.

- W jaki sposób mogę pomóc?

- Nie przebieraj w środkach. Wiem, że jeśli o to chodzi, nie masz specjalnych wątpliwości.

- Dużo wiesz - powiedziała Sol powoli, odganiając zbłąkaną ómę, która właśnie miała zamiar zakończyć żywot, gdyż skusił ją blask ognia.

- Tak, wiem o tobie wiele. Przed chwilą wzięłam cię za rękę, pamiętasz? Ujrzałam wiele rzeczy, które sprawiłyby, że wójt otworzyłby szeroko oczy ze zdziwienia, a kat chwycił za topór. Jesteś naprawdę wyjątkowa. Jesteś jedną z nas! Jedź do domu, Sol! Bardzo chcielibyśmy, żebyś tu została, wlała w nas nowe siły. Ale twoje miejsce jest teraz tam.

Sol pokiwała głową.

- Tak! Jeżeli ktoś cierpi, muszę jechać. Tak szybko jak się da.

92

- Twierdzisz, że kochasz swą rodzinę? - zapytała nagle staruszka. - Trudno w to uwierzyć.

- Dlaczego?

- Nie wiesz, dlaczego zwą was Ludźmi Lodu?

- Wiem, ponieważ nasza dolina była ukryta. Dostać się do niej można było tylko tajemną drogą pod lodowcem.

- Mylisz się. Nazywacie się tak dlatego, że rodzicie się z lodem w sercu. Ty nigdy nikogo nie pokochasz. Mężczyźni mogą mieć twoje ciało, ale nigdy nie zdobędą twojej miłości, bowiem ty, która jesteś prawdziwym dzieckiem Ludzi Lodu, nie masz w sobie miłości.

To pomyłka, myślała Sol zrozpaczona. A może jednak?

Lubić? Tak. Ale kochać...

A Tengel? Jeżeli on nie kochał Silje, to znaczy, że nie ma w ogóle miłości na ziemi! Ale Tengel właściwie nie jest prawdziwym dzieckiem Ludzi Lodu. Tengel to mieszanina tego, co w ludziach najlepsze, i złych prądów, które niosła ze sobą krew Ludzi Lodu.

A ona sama... Kim była właściwie? I co znaczyło dla niej słowo „kochać”?

Smutnymi oczyma wpatrywała się w las za nimi. Czowała się tak, jakby lodowaty wiatr przeszył jej ciało na wskroś, aż do głębi duszy.

Jej towarzysze siedzieli w milczeniu, bacznie ją obserwując.

Sol nie chciała więcej o tym myśleć. Gorączkowo zmieniła temat.

- Czy możecie mi pomóc znaleźć belladonnę?

Uśmiechnęli się, z pewnością wiedzieli, do czego jej potrzebna.

- Pokażemy ci miejsce, gdzie rośnie. To przy strumieniu, który mijająś - powiedziała staruszka. - Ale wcześniej dostaniesz trochę ode mnie. Jagody są oczywiście suszone, ale zachowały swą moc.

Sol wzięła je i podziękowała.

Chcieli zobaczyć, co potrafi. Jej zdolności wzbudziły podziw. Potem sami pokazali, z czego są znani. Uczyli się od siebie, wieczór upływał szybko. Sol zaraziła ich swoją radością i zapałem. Ona, mistrzyni w leczeniu ziołami, podarowała chorej kobiecie sporo ze swych zapasów. Zdawała sobie sprawę, że ta pomoc jest spóźniona, ale kobieta i tak była jej głęboko wdzięczna.

93

Ogromne zainteresowanie wzbudził korzeń mandragory, który miała Sol. Widziała z ich spojrzeń, że sprzedaliby duszę, byle tylko móc go kupić. Mandragory nie sprzedaje się jednak w zwykły sposób. Za każdym razem należy zapłacić za nią mniej, niż zapłacił

poprzedni właściciel. W końcu osiąga cenę tak niską, że ten, do którego należy, już nie może jej sprzedać, a wtedy jego dusza przechodzi na własność Szatana. Znane są historie o korzeniach mandragory, za które ostatni nabywca płacił ziarnkiem piasku podniesionym z drogi, a cóż może być jeszcze mniejszego? Kupujący nie mógł się więc jej pozbyć, a zatem czekała go prosta droga do piekła.

Nikt nie wiedział, ile warta jest mandragora Sol. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że nigdy nie zechce jej sprzedać. Opowiedziała im już o swej tęsknocie do królestwa otchłani.

- A teraz, Sol, weźmiesz udział w czymś, co na pewno nie jest ci znane - powiedziała młodsza z kobiet. - Zwróciłaś uwagę na garnek nad ogniem?

- Tak. Czy to strawę gotujecie?

Roześmiali się.

- To środek odurzający - powiedział mężczyzna. - Przyrządzamy go, by się zabawić. Zioła, których używamy, są tajemnicą. Postawimy teraz garnek między nami; doświadczysz czegoś, czego nigdy jeszcze nie przeżyłaś.

- Czy to będzie coś niezwykłego?

- Tak - powiedziała chora kobieta. - Coś bardzo niezwykłego.

- Lot na Blokksberg?

- O nie, coś zupełnie innego. Na Blokksberg musisz udać się w zupełnej samotności i poświęcić na to sporo czasu. To jest środek, który pobudza do życia uśpione zdolności.

Drzemią one w każdym człowieku, ale zapomnieliśmy, że je posiadamy.

Sol kiwnęła głową.

- Podajcie garnek!

Zapadła cisza. Ognisko z wolna dogasało, ale noc była jeszcze ciepła. Usadowili się wokół naczyń i nakrywając głowy kocem, wdychali wydobywające się z niego opary.

Sol zakręciło się w głowie, przed oczami przelatywały jej rozmaite obrazy, niewyraźne, zamglone. Nie zdążyła zauważyć, co przedstawiają. Być może nie była w stanie zebrać myśli ze szczęścia, że przebywa z ludźmi, którzy ją rozumieją.

Nagle mężczyzna odrzucił przykrycie i odsunął garnek. Sol zrozumiała, że wszyscy osiągnęli już żądane stadium transu.

94

Bezwolnie przechyliła się w tył i oparła o porośniętą trawą zbocze. Stara kobieta zrobiła to samo, młodsza, chora, opadła do tyłu na trawę. Mężczyzna pochylił się do przodu.

Sol była tak oszołomiona, że cała rozpadlina wirowała wraz z nią. Zamknęła oczy.

Wizje się uspokoiły, stały się wyraźniejsze.

Świecił księżyc, ale działo się to innej nocy, w jakimś innym czasie. Klęczała, tarmosząc i potrząsając leżącą na ziemi kobietę. Było zimno, ona sama musiała być bardzo nieduża, jej dłonie wydawały się takie maleńkie w porównaniu z ciałem kobiety. Kiedy uniosła głowę, usłyszała głos młodej dziewczyny: „Chodź! Twoja matka nie żyje.” Tą dziewczyną musiała być Silje. Taka młoda, prawie dziecko jeszcze!

Wizja skończyła się, zastąpiła ją inna. Sol siedziała u kogoś na kolanach. Tak, to kobieta, którą przed chwilą widziała martwą. Jej matka Sunniva. Jakże piękna! Miała ciemne, smutne oczy. Był tam też mężczyzna, prawdopodobnie jej ojciec, ale jego sylwetki nie dostrzegła wyraźnie.

Obraz zmienił się gwałtownie. Pojawiła się nowa twarz. Hanna! Sol wstała z jękiem, chciała z nią porozmawiać, ale Hanna już zniknęła. Z nieznanego głębi mózgu dziewczyny wyłoniły się nowe,

powykrzywiane twarze. Twarze, które miały ze sobą coś wspólnego. Wszystkie nosiły piętno zła, samotności i smutku. Brzydkie, a czasami ładne, i choć Sol nie wiedziała dlaczego, była pewna, że nie są sobie współczesne.

Cofała się w czasie! Postacie, które widziała, to przeklęci z rodu Ludzi Lodu. Jej własne korzenie, jej przodkowie.

Choć Hanna nie była jej najbliższą krewną, nie było nic dziwnego w tym, że Sol ujrzała właśnie ją - znała ją przecież dobrze ze swego prawdziwego życia. Teraz natomiast miała przed oczami ludzi dawno zmarłych, prawdopodobnie tych, od których wywodziła się w prostej linii.

Odetchnęła głęboko. Znajdowała się w stanie oszołomienia. Była spięta, ciekawa, choć pojawił się lęk, uczucie dotychczas jej nieznanne.

Zapadła w trans jeszcze głębiej. Nie zdawała sobie sprawy, że widziane przez nią obrazy to tylko sen. Sylwetki wydawały się jej rzeczywiste.

Dostrzegała jakieś szczegóły z otoczenia, były jednak bardziej niewyraźne od ludzi. Były to raczej wrażenia. Niewypowiedziane gorzka walka o przeżycie w niegościnniej Dolinie Ludzi Lodu. Bieda, smutek, beznadziejność i rozpaczliwa tęsknota.

A więc Silje i Tengel nie byli jedynymi, którym tęskno było do normalnego świata.

Niesamowite wydały się jej te bezimienne sylwetki z minionych epok. Nie było ich wiele; osoby o szczególnych cechach pojawiały się rzadko. Tengel powiedział jej, że przeciętnie 95

jedna w każdym pokoleniu. Widziała też miłych, dobrych ludzi, ale ich wizerunki znikwały tak szybko, jak gdyby ona dostrzec miała jedynie tych ze swego rodu, którzy zostali dotknięci. A może sama tak chciała?

Nagle pojawił się przed nią bardzo przystojny mężczyzna. Dostrzegła, że coś niósł.

Pomyślała, że dobrze dać odpocząć oczom i popatrzeć na kogoś ładnego. Ale on również miał żółte oczy i tak złośliwy uśmiech, że Sol aż drgnęła, chociaż potrafiła znieść naprawdę wiele.

To mógłby być mężczyzna dla mnie, pomyślała. Gdybym spotkała kogoś takiego, może potrafiłabym się zakochać?

Nie była tego pewna. Może właśnie w tej chwili odczuła, jak bardzo jest rozdarta? Jak ciężko żyć, mając w sobie ludzkie przymioty wymieszane z dziedzictwem złego rodu? Piękny, niezwykle fascynujący mężczyzna, któremu spoglądała w oczy, to jeden z niewielu jej przodków, któremu się naprawdę poszczęściło. Był na wskroś zły! Zrozumiała teraz, jaką straszliwą tragedię przeżywać musieli wszyscy z jej rodu, Tengel może najbardziej. Miał

jednak dość sił, by opowiedzieć się po jednej stronie. Hanna także, choć wybrała przeciwną.

Ale czy Hanna naprawdę miała w sobie wyłącznie zło?

W momencie gdy mężczyzna zniknął z jej pola widzenia, Sol zauważyła, co trzyma w ręku.

Była to głowa kobiety; wpatrująca się przed siebie martwymi oczyma. Sol wiedziała, że to on zabił tę kobietę.

Pojawiła się następna para; okropne postaci z minionych czasów. Byli to kobieta i mężczyzna, odziani w proste kaftany i miękkie buty z długimi noskami, jakich Sol nigdy dotąd nie widziała.

Nagle zadrżała. Instynktownie zacisnęła z całej siły dłonie na kępkach trawy.

Coś wynurzało się z ciemności... Coś, przed czym uciekały wszystkie inne zjawy. W Sol wpatrywała się para wytrzeszczonych, pełnych nienawiści oczu.

Miała uczucie, że tonie, że nie wytrzyma już więcej. Zaczęła mrugać, by odpędzić tę wizję, ale nie pomagało. Obrazy pochodziły z niej samej, z małej komórki w mózgu, w której przechowywane były przez całe pokolenia i nigdy nie wywoływane. Z trudem chwyciła powietrze, wydając z siebie dźwięki takie, jakby się dusiła.

Wszyscy w szczelinie ją słyszeli, lecz byli zbyt zamroczeni, by jej pomóc. Zresztą oni także nie mogli nic zrobić, wszystko musiało iść swoim torem.

Rozumieli jednak, że dziewczyna napotkała większe trudności niż to zazwyczaj bywało. Im również objawiali się przodkowie. Nie nauczyli się komunikować z nimi bezpośrednio, ale czerpali siły i natchnienie z ich istnienia.

96

Ale Sol pochodziła z rodu Ludzi Lodu! Niech się strzeże ten, kto odważy się spojrzeć w jego przeszłość!

Gdyby wiedziała, co sprawi wywar, być może by odmówiła. A może nie, może ciekawość wzięłaby górę?

Było jej słabo. Popadła w stan odrętwienia. Nie poddawała się, cofała się odruchowo, ale straszliwe monstrum podchodziło coraz bliżej i bliżej.

To mógł być tylko zły duch Ludzi Lodu. Tengel Zły - to ni człowiek, ni zwierzę - to potwór.

Niewykluczone, że kiedyś był jednym z ludzi, ale teraz nie sposób nawet sobie tego wyobrazić. Niski, skurczony, dużo mniejszy od Sol, miał tak płaską głowę, że wydawało się, jakby uszy leżały na jednej linii z potylicą. A do tego jeszcze te podstępne oczy i haczykowaty nos, do złudzenia przypominający dziób! Gdy otworzył usta w grymasie dzikiego zwierza, Sol zobaczyła krótkie, ostre zęby. Na szczęście jego ciało okrywał szeroki płaszcz. Spod obszernego okrycia wystawała tylko jedna ręka, długa, koścista jak szpon.

Najgorsze jednak było zło, które otaczało go jak gęsta mgła.

Sol nawet przez moment nie wątpiła, że jest to stwór, który zaprzedał duszę Diabłu. Żaden człowiek nie był stworzony w ten sposób. Musiały go ulepić najczarniejsze moce z piekielnych otchłani.

Pragnęła wyrwać się z transu, uciec przed tym potworem. Czego chciał od niej? Dlaczego patrzył z taką nienawiścią? Czy zamierzał jej coś powiedzieć?

Nagle doznała olśnienia. Widziała go już kiedyś!

Bardzo dawno temu. Ale gdzie?

To dlatego tak mnie nienawidzi, pomyślała zrozpaczona. Bał się, bał się właśnie jej! Ale dlaczego?

Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć!

Zaczęła krzyczeć, błagać, by zniknął, ale wizja uparcie trwała. Już bardziej cofnąć się w czasie nie mogła.

Najwyraźniej zobaczyć miała tylko Ludzi Lodu, a ich historia zaczynała się od Tengela Złego.

Wszystko, co było wcześniej, zniknęło na zawsze.

Sol wiła się w trawie jak wąż. Nie należała do strachliwych, ale wizja była zbyt okropna.

Mężczyzna i chora kobieta niezwykłym wysiłkiem woli zdołali przyczołgać się do niej na kolanach. Byli tylko na wpół świadomi tego, co robią, ale usiłowali ją obudzić. Oczy Sol dziko wpatrywały się w czerń nocy, a zduszony krzyk zagłuszał ich głosy.

97

- Ojczy! - wołała. - Ojczy! Ojczy!

W domu w Lipowej Alei Tengel obudził się ze snu.

- Sol - szepnął. Silje usiadła na łożu. - Sol ma kłopoty - powiedział przerażony. - Wzywaj mojej pomocy.

- Jak to?

- Nie wiem. Nigdy dotąd to się nie zdarzyło. Nie wiedziałem, że potrafi porozumiewać się ze mną i że ja umiem odebrać jej sygnał. O mój Boże, co mam zrobić? Sol, Sol - szeptał.

- Czy jej życie jest w niebezpieczeństwie? - spytała Silje przerażona.

- Nie, takiego wrażenia nie mam. To co innego. Muszę spróbować nawiązać z nią kontakt.

Silje położyła dłoń na jego ramieniu.

- Przekaż jej także moją miłość!

- Dobrze - powiedział ciepło. - Postaraj się leżeć jak najspokojniej, to spróbuję... Nie wiem, czy potrafię...

Silje nawet nie drgnęła. Leżąc wpatrywała się w Tengela, który siedział z nogami podciągniętymi pod brodę, z twarzą ukrytą na kolanach. Jej dłoń nadal spoczywała na ramieniu męża.

Czas płynął. Choć Silje wiedziała, że jej wysiłek to zbyt mało, myślała o Sol jak najintensywniej, starając się przesłać jej całą swoją miłość. Silje była jak niewyczerpane naczynie bez dna, pełne miłości. Miała nadzieję, że to, co robi, ma swój sens.

Zauważyła, że Tengel oblał się potem z nadludzkiego wysiłku, niezbędnego do takiej koncentracji. Raz zadrżał, nie wyjaśnił jednak, dlaczego.

Silje wydawało się, że to pełne trwogi napięcie trwa już całą wieczność, gdy w końcu podniósł głowę i otarł pot z czoła.

- Trafiłaś w samo sedno, Silje - powiedział zmęczonym głosem. - Potrzebowała właśnie miłości - dodał wyjaśniająco.

- Ale co to było?

- Nie jestem pewien. Mój Boże, nie wiem, w co ona się teraz wplątała. To coś pozaziemskiego. Strach tak wielki, że nie można go opisać. Zło, Silje, zło i nienawiść, skierowane przeciwko naszej małej Sol. A mimo wszystko to nie było rzeczywiste. Dziwię się, nie mogła chyba... Nie mam pojęcia, co to było.

98

- Czy już minęło?

- Tak, tak sędzę. Nagle się uspokoiło, złagodniało. Zniknął sprzeciw.

- Sprzeciw?

- Tak, jakaś moc, straszliwa siła, z którą ona walczyła. Myślę, że Sol znów eksperymentowała z czymś nad wyraz niebezpiecznym.

- Uczeń czarnoksiężnika - szepnęła Silje. - Mówiłam jej wiele lat temu, że musi być ostrożna.

Tengel położył się.

- Sol nigdy nie była ostrożna. Ale teraz się bała, była śmiertelnie przerażona. Ona! Nigdy bym się tego nie spodziewał.

- Ty wiesz, co ona zrobiła - powiedziała Silje zamyślona. - Ja to czuję.

Podsunał jej ramię pod głowę.

- Nie wiem. Mam za ledwie pewne przypuszczenia.

- Jakie?

- Istnieje formuła magiczna, słyszałem o niej tylko w niejasnych opowieściach. O wywarze, który przyrządza się z magicznych ziół, wywołujących widzenia. W ten sposób można ujrzeć swoich przodków.

Silje odwróciła głowę i spojrzała na męża.

- Myślisz, że widziała Ludzi Lodu?

- Nie, oczywiście nie widziała ich naprawdę, ale była nastawiona na to, że ich ujrzy, i sama stworzyła ich obrazy. To tylko jej wyobraźnia. A Sol, jak wiesz, ma bardzo żywą fantazję.

Silje milczała przez chwilę.

- Duchy z wyobraźni mogą przestraszyć tak samo jak prawdziwe, dobrze to wiem. Ale dlaczego uważasz, że właśnie to przeżyła?

Tengel ociągał się z odpowiedzią.

- Ponieważ słabe odbicie jej wizji zostało przekazane mnie. Właściwie jeden obraz. Ta dziewczyna ma makabryczną wyobraźnię.

- W pewnej chwili zadrżałeś.

99

- Naprawdę? Właściwie nic dziwnego, nigdy nie widziałem większego koszmaru. On jej nienawidził, Silje, śmiercionośną nienawiścią.

- Tengel Zły?

Drgnął.

- Nie wymawiaj tego imienia!

- Ale to ona wyobraziła sobie, że on jej nienawidzi?

- Tak musiało być. Nie ma innego wytłumaczenia.

Zapadła cisza. Tengel mocniej przytulił Silje.

- Dziękuję, że mi pomogłaś.

- Poczujesz to? - zapytała zdziwiona.

- Jeszcze jak! Myślę, że wspólnie pomogliśmy Sol.

To całkowicie zaskoczyło Silje. A więc i ona... Westchnęła głęboko, niemal w uniesieniu.

Sol poczuła, że wraca spokój. Mężczyzna i kobieta ułożyli ją na trawie, wciąż przerażeni tym, czego świadkami byli przed chwilą. Staruszka ciągle leżała, przeżywając własne wizje, oni, na wpół uśpieni, powrócili do swoich.

Straszliwa postać zniknęła w ciemności. Obrazy pojawiały się nadal. Sol była jednak już tak wyczerpana, że straciła możliwość ich rozróżniania. Stawały się coraz bardziej zamglone, aby w końcu zniknąć zupełnie.

Udało się jej dostrzec kilka postaci sprzed czasów Tengela Złego. Miały obcy wygląd, raz widziała ludzi wędrujących przez obszary pokryte śniegiem. Coś jej mówiło, że jej praprzodkowie, zanim na dobre osiedli w Norwegii, musieli przybyć z daleka.

Przypomniała sobie słowa staruszki o Finach ze wschodu.

Przodkowie złego Tengela mogli pochodzić z jakiegoś już wymarłego, obdarzonego nadnaturalnymi zdolnościami plemienia, gdzieś z dalekiego wschodu. Z plemienia, z którego została tylko Sol i jej rodzina.

Liv, Are i ona sama. Tylko oni mogli zapewnić ciągłość rodu.

Ja zrobię, co będę mogła, pomyślała. Obiecałam to Hannie. Nie ma jednak pośpiechu, najpierw muszę trochę pożyć!

100

Ludzie Lodu? Czy istniało inne jeszcze wyjaśnienie tej nazwy? Czy chodziło o ludzi, którzy przywędrowali tu przez lody i śniegi wiele, wiele setek lat temu?

To wcale nie było wykluczone.

Nagle zorientowała się, że nie śpi już od dobrej chwili. Że siedzi sama w lesie przy dogasającym ognisku. Tak, sama, bo siedzącej obok trójki, zapatrzonej w swe własne wizje, nie można było nazwać towarzystwem.

Sol obiecała sobie, że nigdy już nie weźmie udziału w tego rodzaju próbie. Twarze pozostałych miały spokojny wyraz, z pewnością ich przodkowie byli dobrzy, nieszkodliwi.

Ona widziała powykęcane, ohydne straszdyła. Zobaczyła je raz i wystarczy.

Znów ciarki przebiegły jej po krzyżu. Ponowne spotkanie ze złym duchem Ludzi Lodu byłoby samoudręczeniem. Nigdy już się na to nie odważy!

Usiadła, dołożyła chrustu do ogniska.

Co ją uratowało? Czyja zbawienna siła odsunęła to upiorne zjawisko?

Starła się wrócić myślą do tego momentu, ale wszystko było zamazane.

Ktoś nią potrząsał, przemawiał do niej, ale to wcale nie skutkowało.

Nie, to co innego.

Czy mógł to zrobić Tengel? Wołała go w potrzebie, ale on chyba nie...

Ale czy przypadkiem nie było właśnie tak? Nie zdoła sobie przypomnieć. Miłość? Czy nie otoczyła jej nagle ciepła, szczerą miłość, która ułożyła się wokół niej niby ochronna zasłona?

Tengel... i Silje...

Silje? Nie, to niemożliwe. Silje nie posiadała żadnych nadzwyczajnych mocy.

Ale wrażenie bezkresnej miłości jej przybranych rodziców zapadło w nią głęboko.

Poczuła, jak napływają ciepłe łzy wzruszenia.

101

ROZDZIAŁ VIII

Kiedy wszystkim wróciła świadomość, usiedli i rozmawiali aż do rana. W końcu ciemność musiała ustąpić przed świtem, rosa opadła na trawę, a ptaki znów rozpoczęły swe trele.

Sol planowała zostać z nimi przez kilka dni, ale to, co usłyszała o konieczności powrotu do Norwegii, obudziło w niej niepokój.

Czekała też na nią Meta. Niemal o niej zapomniała. Musi znaleźć dla tego dziecka jakieś bezpieczne miejsce, najchętniej w Fulltofta.

A potem znów spotka Jacoba Skillego; bardzo się z tego cieszyła.

Przede wszystkim musiała jednak udać się w podróż na Blokksberg, o której marzyła od chwili wyjazdu z Norwegii. Zebrała już wszystkie zioła niezbędne do przygotowania maści, która wyprawić ją miała w daleką drogę nad górami i dolinami. Uważała, że nie może dłużej z tym zwlekać; taka szansa się nie powtórzy. Wkrótce będzie z nią Meta, potem spotka się z Jacobem. To oznacza rezygnację z marzeń aż do powrotu do Norwegii. Przecież musi być przy tym całkiem sama, nikt nie może jej przeszkadzać. Teraz właśnie nadarza się ku temu okazja.

Meta może jeszcze trochę poczekać. Sol powiedziała, że nie będzie jej ze dwa, trzy dni.

Akurat tyle miała czasu.

Właściwie powinna odczuwać wyrzuty sumienia, że zostawiła zgwałconą dziewczynkę bez jakiegokolwiek opieki, ale przecież Meta była sama już od śmierci matki, z pewnością więc jest do tego przyzwyczajona, myślała Sol beztrąsko.

Serdecznie pożegnała swoich nowych przyjaciół i wróciła do miejsca, w którym stał uwiązany koń.

Było to niezwykle odosobnione miejsce na szczycie Linderodsasen. Sol widziała stąd całą okolicę. Gdzieś w oddali dostrzegła kilka domów, ale poza tym rozciągało się przed nią pustkowie. Jej towarzysze wyruszyli na południe, tam bowiem mieszkała staruszka. Mieli zabawić u niej przez parę dni. Gdzieś w bezkresnej dali widziała poruszające się trzy małe punkciki.

Pytali, czy nie chciałyby pojechać z nimi. Kiedy jednak Sol wyjaśniła, że chciałyby wypróbować belladonnę, zrozumieli, że wołałyby zostać sama.

- Będziesz miała dość sił po tym, co przeszłaś tej nocy? - zapytał mężczyzna.

- Nic gorszego nie może mnie już spotkać - odpowiedziała Sol.

- Nie, gorzej nie będzie na pewno - roześmiała się chora kobieta. - Wprost przeciwnie.

Naprawdę nigdy tam jeszcze nie byłaś? Masz się na co cieszyć!

102

- Wypocznij najpierw - poradziła stara. - Potem możesz wyruszyć. Ale pamiętaj, bywa, że wyprawa na Blokksberg zajmuje sporo czasu.

- Jak długo może potrwać?

- To zależy. Niektórzy robią tylko krótki wypad, inni zostają dłużej.

Śledziła oczyma punkciki, aż zniknęły zupełnie. Z ukłuciem żalu godziła się z myślą, że widzi ich po raz ostatni. Wszyscy troje nosili znamię śmierci i choć zapraszali ją na przyszły rok, przeczuwali, że Szczelina Ansgara będzie pusta.

Sol została sama, tylko ona i koń. Przed południem spała kilka godzin i teraz nareszcie mogła zacząć.

Wspomnienia przerażających wizji w stanie oszołomienia nie wydawały się już straszniejsze od zwykłych koszmarów sennych. Sol czuła teraz narastające podniecenie.

Czekała na to już od czasu, gdy Hanna opowiedziała jej o swoich lotach na Blokksberg. O orgiach, o rozkoszy...

Drżącymi rękami przyrządziła maść. Tłuszcz barani przechowywała w pudełeczku już od tak dawna,

że zdążył stwardnieć. Udało się go zmiękczyć, mieszając i podgrzewając. Następnie dodała magicznych ziół: lulka czarnego, szczwołu plamistego albo pietrasznika, jak nazywała go Hanna, i belladonny.

Kiedy maść stała się już wystarczająco miękka, Sol rozebrała się i ułożyła pod drzewem, które przysłoniło ją gałęziami. Ziemia była tam ciepła i sucha, podłożyła sobie jednak pled.

Posmarowała się maścią pod pachami i w innych miejscach na ciele, gdzie skóra była cienka i delikatna. Nasmarowała również kij, do którego przywiązała wcześniej włosy rozbójnika, i mocno przycisnęła go do siebie. To on właśnie miał ją zawieźć na Blokksberg.

Z całej siły chwyciła rękami za kij, rozluźniła się i czekając na skutek, z radością myślała o belladonnie. Otrzymała szczegółowe informacje, gdzie może znaleźć jej więcej. Miała zamiar zabrać ze sobą spory zapas, który wystarczyłby jej na przyszłe lata, jeśli ten lot by się powiódł.

Poczuła senność. Nie zauważyła, kiedy zapadła w sen.

Świat przybrał zachwycającą szatę. Kolory stały się intensywne, rozszczepiały się w świetle.

Leciała już nad ziemią, żeglowała nad piękną okolicą, jakby unosząc się na rozhuśtanych falach. Tam było Glimmingehus. Skierowała się w dół, do zamku, chcąc wypatrzeć Jacoba, nigdzie jednak nie było widać ludzi. Tylko bociany pozdrowiły ją klekotem.

Jak wspaniale móc latać! Wznosiła się i opadała, jak gdyby wzorując się na pofałdowanym krajobrazie, zielonym i ukwieconym, przypominającym nieco Osterlen, przez który przejeżdżała.

103

Już tutaj powinno zacząć się morze, nigdzie go jednak nie widać. Przedziwne!

Raptem kij, na którym leciała, runął w dół i omal nie spadła. Przestraszyła się; poczuła, że dłonie robią się gorące, mocniej pochwyciła swego „konia”.

Nagle powietrze zaczęły ze świstem przecinać inne latające czarownice. Rozpoznała starą kobietę ze Szczeliny Ansgara; wesoło pomachały do siebie. A czy to przypadkiem nie była żona księdza z domu, z Grastensholm? Sol wiedziała, że schwytane czarownice zawsze oskarżały księżę żony, iż widziano je lecące na Blokksberg. Ale żona księdza z Grastensholm? Ona przecież była cnotliwa niczym jakaś święta! Ależ tak, to ona! Co tu robiła? Leciała na koźle, który wystawił całego swojego niewymawialnego. Sol zachichotała.

Będzie musiała opowiedzieć o tym w domu!

Daleko przed nią nieoczekiwanie wyrosła ciemnoniebieska góra, skąd na powitanie wyleciały do niej niewielkie stwory, małe demony.

Jeden z nich usiadł za Sol, uniósł ją lekko i wszedł w nią.

Sol doznała rozkoszy. A więc to tak powinno się odbywać! Coś zupełnie innego niż ziemskie pieszczoty Jacoba.

Dotarli na miejsce. Byli już tam mężczyźni i kobiety, znani i nieznani, przemieszani z diabłami najprzeróżniejszej maści.

Żona księdza stanęła na ziemi. Pochyliła się do przodu, uniosła suknię i pozwoliła posiąć się kozłu. Sol widziała jej odkrytą twarz, wyrażającą nieopisaną wprost rozkosz.

Demon, który siedział za Sol, zeskoczył. Jej najwyraźniej nie było przeznaczone przyłączyć się do kręgu postaci, szalejących w dzikim, rozpasanym tańcu wokół jakiegoś otworu w ziemi. Kij, na którego końcu powiewały siwe włosy, sam teraz wybierał drogę. Kiedy Sol zrozumiała, że leci wprost w dziurę, która okazała się dużo większa, niż przypuszczała, aż zaparło jej dech w piersiach. To była otchłań; pędziła prosto w czeluść, nie mogąc ani też nie chcąc zmniejszyć prędkości. Wszystko wokół niej umykało ze świstem. Spadała coraz niżej i niżej.

Znalazła się na samym dole w kolejnej roztańczonej gromadzie. Zeskoczyła ze swego „konia”. Wyciągnęli ręce z zaproszeniem, by do nich dołączyła, nagle jednak zapadła cisza.

Na środku pojawił się sam Zły.

Popatrzył wokół po tańczących. Zatrzymał wzrok na Sol. Wskazał na nią długim palcem.

Otoczające ich postaci nagle zniknęły. Sol znalazła się z nim sam na sam w niewielkiej grocie, z której buchał żar i gęsty zapach zmysłowej miłości.

104

Szatan popatrzył na nią i uśmiechnął się. A ponieważ jego wygląd inaczej odbija się w wyobraźni każdego człowieka, dla Sol był najpiękniejszym, najprzystojniejszym, najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał żółte oczy, takie jak ona, podłużne szczeliny ognia, pełne, nabrzmiałe usta z białymi, ostrymi zębami. I te włosy czarne jak węgiel, i ciemna skóra...

Sol zachłysnęła się z zachwytu. Rzuciła się w jego objęcia i przez następne chwile dała się ponieść najbardziej wyszukany przyjemnościom, całej ich gamie, i nigdy nie było jej dosyć.

Była równie nienasycona jak on.

Podróż powrotną pamiętała jak przez mgłę, nie wiedziała nawet, że unosi się w powietrzu.

Obudziła się pod drzewem. Wewnętrzzną stronę ud miała mokrą, a głowa ciążyła jej, jakby zgromadził się w niej ból z tego i nie z tego świata.

Nie mogła nią poruszać. Zauważyła, że jest późny wieczór. Kiedy tylko próbowała się podnieść, głowa jej niemal pękała. Dlatego długo leżała bez ruchu, odczuwając tępy ból podrażnionego podbrzusza i tęsknotę za tym, by móc doświadczyć szatańskiej rozkoszy raz jeszcze.

Na Boga, myślała. Mam co pokazać Jacobowi. To, co robiliśmy razem, to tylko dziecinne igraszki.

Och, gdyby tylko mogła jeszcze raz spotkać tego mężczyznę! Samego Diabła! Gdyby tylko mogła go spotkać tu, na ziemi!

Biedny Jacob wydał się jej nagle wyblakły i nudny.

Ale ona go nauczy! Pokaże mu, czego chce!

Ach, ten ból głowy jest okropny! Ale to z pewnością cena, którą należy zapłacić. Musi spróbować się go pozbyć.

Przeszukała dokładnie swoje rzeczy i znalazła środek nasenny, dzięki któremu przespała całą noc.

Następnego ranka znów czuła się dobrze. Nie była już taka pewna, czy chce od razu powtórki. W każdym razie przedtem musi znaleźć jakiś sposób, by ustrzec się dotkliwych następstw.

Biedna Meta czekała!

Pełna wyrzutów sumienia jechała Sol przez lasy Linderodsasen do owego pięknego miejsca przy strumieniu.

Nad strumieniem panowała grobowa cisza. Lustro wody było gładkie, tylko przy kamieniach szemrał małeńki wodospad. Wszystko leżało skąpane w słońcu.

105

Żadnego znaku życia.

Sol zmartwiała. A jeżeli w swoim samolubstwie zostawiła biedną dziewczynę na wrogim ludzom pustkowiu? Albo jeżeli naprawdę były tu dzikie zwierzęta?

- Meta? - zawołała tak głośno, jak tylko mogła. - Meto, to ja, Sol!

Coś poruszyło się na górze i od skalnego występu oderwała się mała sylwetka.

- O Boże, Meto, jakże mnie przeraziłaś! - Sol odetchnęła z ulgą. - Myślałam, że się wystraszyłaś i uciekłaś stąd.

To, że mała ukryła się tam wysoko, było całkiem rozsądne; trzymając w pogotowiu nóż i mając pod ręką kamienie, mogła bronić się przed ewentualnymi napastnikami.

Meta zeszła na dół.

- Witaj - powiedziała Sol, zeskakując z konia. - Mogłaś stamtąd spaść! Jak ci było?

Meta zbladła.

- Las był taki przerażający nocą. I księżyc gapił się na mnie.

- Jesteś chyba przyzwyczajona do samotności?

- Ale nie tak daleko od ludzi.

- Czy zostało ci trochę jedzenia? Jestem głodna jak wilk.

Dziewczynka spojrzała z miną winowajcy. Zjadła większość zapasów. Sol podzieliła resztki na połowę i kiedy się pożywiły, wyruszyły w drogę.

- Jak daleko jest do Fulltofta?

- O, to daleko. Trzeba jechać tędy.

- Tędy? Ależ to okrężna droga, nie mamy na to czasu - stwierdziła Sol przerażona. - Muszę spotkać... hm... moich towarzyszy podróży, a jestem już spóźniona. A Bosjokloster?

- W tym samym kierunku, tylko jeszcze dalej.

- Musimy więc jechać do Vittskovle.

Meta nie odpowiedziała. Siedziała na koniu za Sol, wolno jej było teraz, po odwszeniu. Kiedy Sol ją o coś pytała, odpowiadała tylko „tak” lub „nie”.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała w końcu Sol lekko zniecierpliwionym tonem.

106

Mała ociągała się z odpowiedzią.

- Mówią, że stara gospodyni z Vittskovle jest okropnie surowa dla dziewcząt. Boję się tam jechać, panienko.

- Co to za osoba?

- Nazywa się Gjorvel córka Faddera. Była trzykrotnie zamężna, teraz jest wdową po Brahem. Powiadają, że jest najbogatsza w całej Skanii. Ma ponad dziewięćdziesiąt lat, ale chodzi i dogląda wszystkiego, jakby nikomu nie ufała. Pozwólcie mi zostać waszą pokojówką, panienko! Obiecuję, że zrobię dla was wszystko!

- Moim czym? - zapytała Sol zaskoczona.

- Może się do tego nie nadaję? Może coś mniej ważnego? Służącą, kimkolwiek. Bylebym tylko mogła zostać z wami.

Sol roześmiała się serdecznie. Pokojówka! Co właściwie myśli sobie o niej to dziecko?

- Meto, posłuchał mnie. Jestem zwyczajną dziewczyną. - Uśmiechnęła się do siebie wypowiadając te słowa, ale w tym znaczeniu naprawdę była zwyczajna. - Nie jestem szlachcianką i nigdy nie siedzę w jednym miejscu na tyle długo, bym mogła się tobą zająć.

Ale dobrze, nie pojedziesz do Vittskovle. Znajdziemy dla ciebie jakieś inne miejsce.

- Nic nie szkodzi, że nie jesteście szlachcianką, nie proszę też o zapłatę. Gdybym tylko mogła dla was pracować, odwdzięczyłabym się za całą waszą dobroć...

Sol zirytowała się nagle, że dziewczynka nazywa ją dobrą. Czasem mogła to przyjąć, innym razem nie.

- Zrobiłam to, na co miałam ochotę - powiedziała niecierpliwie.

Przez długą chwilę panowało milczenie.

- Ja tak bardzo proszę - zawodziła Meta żałościwie.

Nagle Sol wpadł do głowy pewien pomysł. Silje, pomyślała. A może Charlotta? Są w domu cały czas, obie trzymają służbę.

Ale ciągnąć tego dzieciaka przez góry i lasy aż do Norwegii? Zabrać ją z rodzinnych stron, od bliskich...

No nie, rodziny przecież nie miała. Ale mimo wszystko... Nie, tak nie można!

- Zobaczymy - odpowiedziała.

107

Zadawała sobie po cichu pytanie, co powie na to Jacob. A ona sama, która tak bardzo cieszyła się na spotkanie z nim?

Kiedy dotarli do Havang nie opodal Brosarps Backar, Sol zauważyła jeźdźca, który zbliżał się do nich pędząc wzdłuż plaży. Wkrótce rozpoznała Jacoba Skillego.

Wstrzymał konia.

- Witaj - powiedziała Sol. - Skąd się tu wzięłeś?

- Nie mogłem się docze...

Zamilkł, napotkawszy przestraszane oczy Mety ukrytej za plecami Sol. Na jego twarzy malował się wyraz zawodu.

To jest Meta - powiedziała Sol pospiesznie. - Nie ma domu, chcę spróbować znaleźć dla niej

miejsce u jakichś dobrych ludzi.

Pokiwał głową bez słowa i zawrócił konia.

Jak pospolicie wygląda, pomyślała Sol. Owszem, jest silny i męski, ale w porównaniu z Księciem Ciemności wydaje się taki bezbronny; nijaki, po prostu żaden.

No, ale miło go znów zobaczyć. Tyle jeszcze mieli razem do zrobienia.

Wyjaśnił, że nie muszą jechać do Glimmingehus, jest krótsza droga, przecinająca Skanię.

- Ale musimy wstąpić po Jorgena?

- Oczywiście, zajedziemy tam.

Minęli po drodze kilka większych dworów, ale za każdym razem Meta wynajdywała tysiąc powodów, by nie starać się tam dla niej o pracę. Tu straszy. A tam nikt nie mieszka. I tak cały czas. Sol doskonale zdawała sobie sprawę, że dziewczyna zmyśla, zostawiła ją jednak w spokoju.

Nocowali w zagrodzie chłopskiej, w stodole tak oddalonej, że nikt nie mógł ich zobaczyć.

Meta okazała się kłopotliwa. Cały czas chciała trzymać Sol za rękę, bała się, że zniknie.

Jacob był bezgranicznie zirytowany i nie potrafił tego ukryć.

Siano szeleściło przy najlżejszym ruchu. W półmroku Jacob przysunął się do Sol i delikatnie gładził ją po policzku. Meta oddychała równo, głęboko.

- Tak bardzo do ciebie tęskniłem - szeptał jej do ucha.

108

- Cicho - odszepnęła Sol.

- Ona śpi. Wyjdźmy na zewnątrz.

Sol uniosła się, ale w tej samej chwili Meta odwróciła głowę.

- Co się stało? Dokąd idziecie, panienko?

- Nigdzie - odparła Sol zrezygowana. - Chciałam się tylko wygodniej ułożyć. - Uścisnęła rączkę dziecka. - Jestem tu cały czas.

Meta uspokoiła się.

- Tak bardzo czekałem na ten dzień, kiedy się spotkamy - szepnął Jacob, ogromnie zawiedziony.

- Ja też się na to cieszyłam - odszepnęła Sol.

- To nasza jedyna szansa. Jutro dołączymy do nas Jorgen i już nie będziemy mogli zostać sami.
- Jacobie, nie mogłam zrobić nic innego.
- Jeżeli będziesz zabierać po drodze wszystkie zebrzące dzieci...
- Z Metą wydarzyło się coś szczególnego. Nie mogę teraz o tym mówić. Spróbuj zasnąć!

Jutro czeka nas długa droga.

- Ale ja chcę zostać z tobą sam, Sol!
- Wiem, ja też tego chcę. Śpij dobrze!

Objął ją w pasie, ale odsunęła jego ramię, spokojnie, lecz zdecydowanie.

Usłyszała całą wiązaną przekleństw, po czym demonstracyjnie odwrócił się do niej plecami.

Sol obudziła się, kiedy jeszcze było szaro.

- Jacobie! Meta zniknęła!

Odwrócił się.

- Dzięki Bogu! Nareszcie zostaliśmy sami!
- Nie bądź taki samolubny. Muszę ją odnaleźć.
- Dlaczego? Jeżeli chce, to niech idzie! Takie jak ona zawsze spadają na cztery łapy.

109

- Nie Meta. Ona jest bezbronna jak niemowlę. Kiedy ją znalazłam, nosiła łańcuchy, nie jadła od tygodnia i tuzin silnych, dzielnych żołnierzy związawszy ją gwałcił od tyłu!
- Na Boga! Dlaczego tego nie powiedziałaś?
- Nie miałam kiedy, tak się do mnie lepiła. Dlatego nie godziłam się, żebyśmy robili to w nocy, tak jak chciałeś. Nie mogłam jej przypominać o żołnierzach.

Sol wstała.

- Spójrz, Jacobie! Dziecko położyło bukiet kwiatków na miejscu, gdzie spało. Biedna mała, na pewno chciała w ten sposób podziękować.
- Ale dlaczego poszła?
- Nie wiem, musimy ją znaleźć.

- Tak - powiedział Jacob. - Zgadzam się. Musimy też znaleźć dobrych ludzi, którzy się nią zaopiekują.

- Dziękuję, Jacobie!

Kiedy byli przy drzwiach stodoły, Sol przystanęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jesteś dobry - szepnęła i pocałowała go leciutko, a Jacob przycisnął ją do siebie i pocałował namiętnie, wyrażając w ten sposób całą swą tęsknotę.

Pospiesznie wyszli.

Zabrali wszystko ze stodoły i opuścili ją na dobre. Sol wetknęła bukiet za uzdę konia i popędzili przez pola i łąki tą samą drogą, którą przybyli. Uznali, że Meta podąży w kierunku przeciwnym niż ten, w którym mieli jechać oni.

Zdążyła zajść daleko, lecz w końcu ją odnaleźli. Mała, zrezygnowana osóbką dreptała przed siebie, zapłakana, na wpół oślepiona przez łzy.

Jacob zeskoczył z konia.

- Ależ, Meto - powiedziała Sol. - Dlaczego to zrobiłaś? - Dziewczynka odwróciła się. Płakała tak bardzo, że nie była w stanie odpowiedzieć. - Wystraszyłaś nas - dodała spokojnie. Jacob uniósł małą i posadził na koniu obok Sol, która zapytała: - Powiedz nam, dlaczego?

- Myślałam... że będzie najlepiej... jeżeli zostawię was samych - szlochała.

- Do diabła - szepnęła Sol, posyłając Jacobowi znaczące spojrzenie. Dziewczynka musiała słyszeć ich w nocy.

110

Jacob okazał się bardziej ludzki, niż przypuszczała.

- Źle nas rozumiałaś, Meto. Wcale nie chcieliśmy się ciebie pozbyć. Ja i Sol mamy do omówienia pewną bardzo ważną sprawę. To tajemnica, która dotyczy Danii. Ale może poczekać...

Ładnie, pomyślała Sol z uśmiechem, a więc nasze pieszczoty nagle nabrały wagi państwowej!

- Nie chciałem nazwać cię żebraczką - ciągnął Jacob - Byłem po prostu zły i zmęczony, w takich okolicznościach czasami mówi się rzeczy, których się nie myśli. Wiesz o tym, prawda?

Meta kiwnęła głową i odetchnęła głęboko.

- Widziałaś, Meto - wykrzyknęła Sol ze śmiechem - jak pięknie wygląda koń z kwiatkami za uchem? Na pewno uważa, że jest ładny.

Meta roześmiała się niepewnie, ostrożnie.

- To śliczny bukiet, Meto, kolory tak pięknie dobrane. Fiołki, dzikie róże i skalnica.

Przyszło jej do głowy, że Meta już dawno nauczyła się tej sztuki, by móc sprzedawać kwiaty na skraju drogi.

Trakt był teraz wystarczająco szeroki, by jechali obok siebie.

Sol posłała Jacobowi wymowne spojrzenie, a potem powiedziała:

- Posłuchaj, Meto, przekonałam się, że nie chcę się z tobą rozstawać. Tak bardzo nam cię brakowało. Zabiorę cię do Norwegii, do mojej matki. Co ty na to?

- Och, panienko! - uradowała się Meta, ściskając ją tak mocno, że Sol traciła oddech:

- Czy wiesz, gdzie leży Norwegia?

- Hm. Może za tym lasem?

- Można i tak powiedzieć. Za morzem, Meto! Musimy płynąć dzień i noc!

- O, to niebezpieczne!

- Jakie stwory czyhają tam na ciebie?

- Wielki wąż morski, panienko! Wywróci statek!

111

- Nie wtedy, gdy ja będę na pokładzie - uspokoiła ją Sol. - Ale dobrze, jeśli wolisz zostać w Skanii...

Meta przełknęła ślinę tak głośno, że aż Sol to usłyszała.

- Nie, panienko. Pojadę z wami.

Wkrótce Sol zauważyła, że mała jest już zupełnie spokojna. Usłyszała, jak szepcze:

„Dziękuję, panienko”.

Rzeczywiście stało się tak, jak przewidziała Sol. Jorgen nie mógł się oderwać od gospodarstwa albo raczej od córki gospodarzy. Ale powrócił już do zdrowia, był dość silny, więc Jacob Skille nie miał dla niego litości.

- Musisz wracać do domu, do Otylii - powiedział.

- Do jakiej Otylii? Ach, do tej lękliwej cnotki? No tak, boję się, że będę musiał jechać. Ale wrócę tu.

Dali mu krótką chwilę na pożegnanie z dziewczyną i podążyli dalej na wschód.

W Helsingborgu Jacob znalazł statek, który mógł zabrać dziewczęta do Norwegii. Sol zapłaciła kapitanowi za siebie i Metę i udali się do skromnej, znanej Jacobowi gospody, aby tam spędzić ostatnią noc.

- Można powiedzieć, że świetnie obliczyliśmy czas - powiedział z dumą. - Jeszcze dzień, a spóźniłybyście się na statek.

Jednak kiedy patrzył na Sol, jego oczy były poważne i pełne smutku.

Sol też starała się ukryć dziwny niepokój. Myślała o swym fantastycznym spotkaniu z Szatanem, chciała teraz przez chwilę побыć sama. Zauważyła, że gadanina przyjaciół coraz bardziej ją denerwuje, poczuła, że do nich nie należy. Pochłaniała ją tajemnica, którą nie mogła się z nikim podzielić.

Teraz już łatwiej było jej się oddalić. Meta uwierzyła, że jedzie do Norwegii.

Spała tak mocno, że Sol odważyła się wykraść.

Księżyc oświetlał wielką twierdzę z Karnan, z charakterystyczną wieżą. Był mniejszy niż w ostatni czwartek, ale jasno świecił nad kościołem Świętej Marii i nad całym miastem. Sol wiedziała, czego chce. Musiała udać się do swojego świata.

Jacob opowiedział jej o ruinach dawnego więzienia, gdzie nocą grasują bezbożne duchy.

Nie wiedział jednak dokładnie, gdzie to jest, ale Sol udało się zdobyć tę informację podczas 112

wieczery w gospodzie. Skierowała teraz swe kroki ku najbardziej oddalonej części twierdzy, minęła kościół i rynek. Nie zadbała o to, by sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi.

Ktoś jednak za nią szedł.

Sol gnała przez miasto ku prastarym ruinom. Zatrzymała się przy nich.

Niedługo znikną zupełnie, pomyślała. Znikną, zapadną się pod ziemię, zarośnie je trawa, może kiedyś staną na nich domy. Za sto lat nikt już nie będzie pamiętać, że było tu coś wcześniej.

Wejście kryło się wśród powykrzywianych wiatrem drzew. Sol wspięła się na jakiś murek, zarośnięty mchem i trawą. Znalazła otwór wejściowy. Musiały bawić się tu dzieci, świadczył

o tym porzucony, połamany drewniany konik.

Znalazła się w labiryncie korytarzy. Stała na chwilę, wczuwając się w nastrój miejsca, i bez wahania obrała kierunek.

Potykała się o kamienie, które odpadły od ścian, obchodziła dokoła kałuże powstałe pod wielkimi

dziurami w dachu.

W końcu znalazła się w pomieszczeniu przypominającym kryptę. W atmosferze gęstej od cierpień zmarłych ludzi.

Tu musiała być ciemnica.

Księżyc świecił przez otwór w dachu. Sol usadowiła się na porośniętym trawą wzgórku. W

kątach dostrzegała coś białego, z pewnością kości umarłych. Nikt tu nie przychodził, a w każdym razie nie dzieci.

Trwała tak nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Już po chwili rozróżniała głosy umarłych, szepczący chór minionych wieków. Było jej obojętne, czy przywołała je jej własna wyobraźnia, czy też słyszała naprawdę. Dla niej było to tak samo rzeczywiste.

Sol odpowiedziała na ich wołanie, spokojnie z nimi rozmawiała. Miała wrażenie, że obok usiadła jakaś niewidzialna postać, poczuła, że stanowi jedno z tymi wszystkimi nieszczęśnikami. Ona ich rozumiała, oni rozumieli ją. To nieważne, że mogli być tylko tworamii jej wyobraźni.

- Jestem samotna - szeptała. - Tak okropnie samotna wśród ludzi bez fantazji. Jak dobrze być tu z wami, którzy znacie już ten drugi świat.

Kolejno wyłaniały się z ciemności widma zamęczonych na śmierć dawno temu. Wrażliwi ludzie czasami potrafili dostrzec przez jedno mgnienie oka ich cienie.

113

To był świat Sol, do niego właśnie należała. Ona widziała i w pełni wyczuwała rozpacz, jaka była udziałem zamkniętych w tej dziurze skazańców, świadomych swego losu, pewnych, że ratunek nigdy nie nadejdzie, że jedyne, co ich czeka, to powolna śmierć w męczarniach.

Naraz wszystkie zjawy zniknęły. Usłyszała ciężkie kroki w korytarzu.

U wejścia stanął Jacob Skille.

- Jesteś tu? - zapytał szorstko.

Sol zawahała się tylko przez moment, zanim znalazła wyjaśnienie.

- Tak, słyszałam, że za mną idziesz. Przyszłam więc tu, gdzie na pewno nikt nam nie przeszkodzi.

On nie wyczuwał nastroju tego miejsca.

- Tak. Tutaj nikt nie przyjdzie.

Kochali się w blasku księżyca. Z rozpaczą, wymyślnie. Sol przekazała mu to, czego nauczyła się

podczas wyprawy na Blokkberg, a Jacob był zdolnym i chętnym uczniem.

Czuła, że z każdą chwilą staje się coraz bardziej pewny w roli kochanka.

Naturalnie nie dowiedział się, skąd wzięły się jej rozmaite pomysły, sądził, że to on zachęcił ją, by przeszła samą siebie.

Robił wszystko, o co go prosiła, spędzili w ten sposób fantastyczne chwile. Nie wiedział, że kocha się z kobietą w otoczeniu szczątków zmarłych.

Sol wróciła na miejsce noclegu w głębokiej rozpacz. Przeklinała cicho swoją bezsilność, płakała, nie roniąc łez.

To już nie to. Ziemskie erotyka przestała jej wystarczać. Potrzebowała o wiele silniejszych podnieć.

114

ROZDZIAŁ IX

Następnego dnia rano rozstały się z pogrążonym w smutku Jacobem. Podróż morską okazała się niezwykle męcząca, ale dotarli do Oslo pół dnia wcześniej niż Dag. Przyłączyli się do miasta przed południem.

Zatrzymały się w zajezdzie i tam Sol pozostawiła wycieńczoną Metę. Dziewczynka wprawdzie nie chorowała na morzu, ale podczas całej podróży nie zmrużyła oka. Przeprowa przez morze w takiej łupince orzecha - tak się jej wydawało - doprowadzała ją do szaleństwa. Kurczowo czepiała się Sol i zawzięcie pilnowała, by na jej ubóstwianą opiekunkę nie rzucił się wąż morski, kiedy ona choćby na moment spuści z niej oko.

W zajezdzie Sol nakazała jej zamknąć drzwi do sypialni i nie otwierać nikomu.

- Chcę tylko odwiedzić siostrę, która mieszka tu w mieście - wyjaśniła. - A ty nie możesz ze mną iść taka zmęczona. Zasypiasz na stojąco. Niedługo wrócę.

Meta usiłowała protestować, łóżko jednak było zbyt kuszące.

Sol usłyszała, że dziewczynka zamknęła drzwi od wewnątrz, a gwałtowny łomot wskazywał, że rzuciła się do łóżka w ubraniu.

Dobranoc, śpij dobrze, pomyślała Sol, udając się na poszukiwanie domu Bereniusów.

Wygląd Liv wstrząsnął nią do głębi. Przez chwilę siostra wpatrywała się w Sol, jakby nie pojmując, kogo widzi.

- Ależ, Liv - zaśmiała się Sol zmieszana. - To ja, Sol, twoja niemożliwa siostra.

- Sol? Ty... tutaj? W tym domu? Och, Sol!

Nareszcie zrozumiała, że ma gościa! Uszczęśliwiona przytuliła się do starszej siostry, jakby chciała zatrzymać ją na zawsze.

- Kochana moja! - powiedziała Sol zdumiona. - Jak ty wyglądasz? Gdyby nie kolor włosów, choć i one są matowe, bez dawnego połysku, nigdy bym cię nie poznała. Taka jesteś zmieniona!

Dłonie Liv drżały, kiedy pokazywała Sol swoje piękne komnaty. Raz po raz dotykała ze strachem włosów w obawie, że mąż może również uznać je za brzydkie.

- D-dlacz-czego z-z-zmieniona?

Sol na moment zaniemówiła. Liv nigdy dotąd się nie jąkała.

115

- Ważysz połowę tego, co kiedyś. W podkrążonych oczach czai się strach. Myślałam, że jesteś zdrowa, że wszystko układa się jak najlepiej. Tak pisali w listach z Lipowej Alei.

Wspaniały dom i... Jesteś tutaj sama?

- Teściowa ma dzisiaj swój dzień plotek, poszła do żony kupca bławatnego, Samuelsena.

Zostanie tam prawie przez cały dzień. Och, Sol, jak d-dobrze zoba-a-czyć kogoś ze swoich, m-mówić swobodnie, wiedzieć, że nie będziesz mnie strofować i poprawiać...

Wybuchnęła płaczem.

Sol objęła ją silnymi ramionami, z przerażeniem słuchając gwałtownych szlochów, które dławione przez długie tygodnie wybuchły teraz ze zdwojoną siłą.

Kiedy młodsza siostra nieco się uspokoiła, Sol usłyszała całą historię. Było to nieuniknione, Liv nie mogła utrzymać dłużej w tajemnicy swojej gehenny.

- Staralam się być lojalna, nie chcę mówić o swoim mężu za jego plecami, ale...

- Musisz to teraz powiedzieć! - orzekła Sol. - I ty, i ja dobrze wiemy, że trzeba o tym porozmawiać.

- On mnie zmienia, Sol! Według swoich marzeń o uległej, głupiej i służalczej żonie. Krytykuje wszystko, czego nauczyłam się w domu, i...

- Naprawdę? - wykrzyknęła Sol rozgniewana. - Na całym świecie nie ma lepszych rodziców od naszych!

- Ja też tak uważam, ale Berenius wyraża się o nich z pogardą.

- Nazywasz go Berenius? Przecież to śmieszne!

- Bogu dzięki, a więc ty też jesteś tego zdania? Sądziłam, że to tylko ja oszalałam. A jego matka...

Wyrzuciła z siebie wszystko jednym tchem. Sol słuchała, osłupiała z żalu i przerażenia. Nie móc przyjąć nikogo z rodziny ani pojechać do domu, nie móc rysować, nie móc okazać żadnego przejawu inteligencji. To było barbarzyńskie, nieludzkie!

Złamane lilie, pomyślała ze smutkiem. Ona, Sol, zuchwała i nienawykła do norm zwykłego, przyzwoitego życia musiała w ciągu tygodnia zaopiekować się aż dwiema młodymi dziewczętami, które potrzebowały jej pomocy! Tak jakby to ona właśnie była opoką!

Przedziwne!

- A jeśli chodzi o powinności mał... - zaczęła Liv, urwała jednak w pół słowa. - Och, nie, wybacz!

116

- Nie, powiedz mi o wszystkim!

- Nie, nie prosz mnie o to, Sol, chyba nie potrafię mówić o sprawach tak intymnych!

- Jak chcesz, nie będę cię zmuszać.

- Sol, jestem załamana. Czy rzeczywiście do niczego się nie nadaję? Tak usilnie się staram, ale cokolwiek zrobię, wszystko i tak jest źle.

- Ty niczego złego nie zrobiłaś. Cała wina leży po jego stronie.

Nareszcie padły wymarzone słowa! Teraz Liv nie była już w stanie niczego ukryć, musiała wyrzucić z siebie wszystko. Mówiła o bezustannym lęku, niepewności i samotności, które przeżywała w ciągu tych miesięcy.

Sol była wstrząśnięta.

A kiedy przypadkiem zobaczyła na ramieniu siostry ślady po uderzeniach szpicrutą, miarka się przebrała. Diabli wzięli dobre wychowanie. W straszliwym gniewie Sol wyrzuciła z siebie wiązanekę tak wymyślnych przekleństw, że rzuciłyby na kolana najbardziej zatwardziałyh bluźnierców.

Liv szeroko otworzyła usta, ze zdziwienia zaparło jej dech w piersiach.

Sol podniosła ją z sofy, na której siedziały.

- Chodź - powiedziała. - Przespacerujemy się do portu. Niedługo przybędzie statek Daga.

Wyjdziemy mu na spotkanie.

- Dag? Dag przyjeżdża?

- Tak, mamy się spotkać w Oslo.

- Dag... - powiedziała Liv cicho. - Czy przywiezie ze sobą pannę Trolle?

- Jaką pannę Trolle? Nigdy nie było żadnej panny Trolle.

- Myślałam...

- To tylko gadanie. Dag nie miał czasu na nic innego poza nauką. Czasami może jakiś salonowy flirt, ale tak robią wszyscy.

- Ale mnie nie wolno wychodzić.

117

- Nie wolno? W naszej rodzinie nie istnieją zakazy. Wszystkim wszystko wolno na własną odpowiedzialność. - Sol przez moment zastanowiła się, w jaki sposób wykorzystała swoją własną swobodę, ale to było teraz bez znaczenia. - Chodź, nie zniosę sprzeciwów.

Godzinę później przypatrywały się statkowi, który przybijał do portu. Rozmawiały o wszystkim, nie mówiąc już o smutnym losie Liv, i dziewczyna zaczęła uśmiechać się po raz pierwszy od kilku miesięcy.

Ciągle jednak drzeniem reagowała na każdy głośniejszy dźwięk, nieśmiało rozglądała się dookoła, jakby sprawdzając, czy nie jest obserwowana. W duchu cały czas zastanawiała się, co powie na to wszystko mąż i teściowa. „Złóż winę na mnie - mówiła Sol - ja to wytrzymam”.

Kiedy obserwowały pasażerów schodzących na ląd, Sol ukradkiem przyglądała się siostrze.

A więc to chodziło o Liv, pomyślała. „Ktoś, kogo bardzo kochasz, cierpi”, powiedziała jej kobieta w Szczelinie Ansgara.

Mózg Sol zaczął intensywnie pracować. Przymknęła powieki...

Z oddali pozdrawiał je wysoki, przystojny młodzieniec.

- To on! - zawołała Liv. - Och, Sol, co za wspaniały dzień! Spotkać was oboje jednocześnie!

Och, gdybym tylko mogła...

Umilkła.

- Pojechać z nami do domu?

- Nie, nie o tym myślałam. Wiem, że w małżeństwie najważniejsza jest lojalność, i wstyd mi, że

mówiąc dzisiaj tyle o mężu zawiodłam jego zaufanie.

- Szczęście, że wyrzuciłaś z siebie to wszystko! A lojalność? To chyba dotyczy obu stron, Liv?

- Ale on jest taki dobry, tyle mi daje. Nigdy mnie nie zdradził, choć, jak powiada, jako mężczyzna ma do tego pełne prawo. Nie powinnam była... Dag? Jak cudownie znów cię widzieć!

Dag po kolei uściskał siostry.

- A więc zdążyłaś przybyć tu przede mną, Sol. To dobrze. Mam moc pozdrowień od wszystkich, z którymi nie zdążyłaś się pożegnać. Tęsknię tam za tobą, siostrzyczko.

Najbardziej... hm... młodzi chłopcy. Witaj, kochana Liv, dawno cię nie widziałem! Ależ, moja droga, jaka ty jesteś chuda i blada! Czy mąż źle cię karmi? - roześmiał się Dag.

118

- Tutaj sprawy bardzo źle stoją, Dagu - mruknęła Sol.

- Sol! - wykrzyknęła Liv zrozpaczona. - Nie wolno ci!

- O nie, to nasza wspólna sprawa! Ten nędznik niemal na śmierć zamęczył naszą siostrę!

- Nie, Sol, nie powinnaś...

- Co to ma znaczyć? - spytał Dag z niepokojem. - Wyjaśnijcie mi.

W drodze z portu zaczerwieniona z gniewu Sol opowiedziała mu całą historię. Zdumiony przyglądał się obu siostrom.

- Liv? Najlepsza, najniewinniejsza z nas wszystkich? Znam ją lepiej niż inni i wiem, że nie ma szlachetniejszego od niej człowieka na ziemi. Kim jest ten mężczyzna, który ośmiela się traktować naszą siostrę w ten sposób?

Ani Sol, ani Dag, ani Liv nie byli prawdziwym rodzeństwem. Jeśli jednak któreś z nich znalazło się w tarapatach, wtedy widać było, że łączyły ich więzy silniejsze niż większość rodzonych braci i sióstr.

Liv była zasmucona i speszona.

- Nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Na pewno przesadziłam.

- Przesadziłaś? - wykrzyknęła Sol. - Spójrz na jej rękę, Dagu! I jeszcze ta teściowa! Zresztą wszystko sam słyszałeś.

- Musimy jechać do domu - powiedział Dag. - Tengel, Silje i Charlotta powinni się o tym dowiedzieć. Liv, ty zabierzesz się z nami.

- Nie, nie - prosiła błagalnie. - Nie mogę.

- Ależ tak. Zaraz znajdę powóz. Sol, czy jesteś gotowa do drogi?

- Nie, muszę zabrać moje rzeczy... O Boże, zapomniałam o Mecie!

- O Mecie? - zapytali, nic nie rozumiejąc.

- Tak, to jej wina. Doprawdy, jest stworzona do tego, by o niej zapominać - powiedziała Sol z wyrzutem.

Krótko przedstawiła im historię Mety.

Dag potrząsnął głową.

119

- Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Sol. Widziałem, jak z zimną krwią wykonywałaś najokrutniejsze zabiegi. Odcinałaś nogi nie zważając na jęki pacjentów Tengela, otwierałaś cuchnące rany, bez zmrużenia oka dotykałaś gnijących ciał. Byłaś jak kamień, a teraz zadziwiasz nas bohaterstwem w obronie małej dziewczynki i czułością wobec niej.

Oczywiście, zabierzemy tę bidulkę do Lipowej Alei lub Grastensholm. Postąpiłaś właściwie.

- No tak. Ale Liv trzeba przyznać rację; nie powinna teraz jechać do domu. To by tylko jeszcze bardziej rozsierdziło jej męża. Nie możemy pozwolić, by zakatował ją na śmierć.

- Ale poproszę tego pana o chwilę rozmowy - wtrącił Dag stanowczo.

- Nie, to najgorsze, co możesz zrobić - powiedziała Sol. - Pozwól mi się tym zająć! Liv, biegnij do domu, zanim ktoś przyjdzie. Jesteśmy już prawie na miejscu. Ty, Dag, znajdź

powóz, który zabierze nas do Lipowej Alei, a ja przyprowadzę tę nieszczęsną Metę. Do gospody, w której czeka, jest dość daleko.

Ostatnie słowa mijaly się z prawdą. Gospoda stała tuż za rogiem, ale Sol miała własne plany.

- Spotkamy się przy bramach miasta, Dag. Będzie ze mną to utrapienie.

- Jakie utrapienie?

- Meta, oczywiście. A ty, Liv, pamiętaj, wytrwaj jeszcze trochę, dopóki nie pomówimy z rodzicami! Bądź miła i łagodna jak baranek. Do zobaczenia!

Oddaliła się pospiesznie, wkrótce stracili ją z oczu.

Liv i Dag szli powoli, noga za nogą, tak aby przedłużyć wspólną przechadzkę. Liv całkiem

zapomniała, że powinna się spieszyć.

- Matka i ojciec niewiele będą mogli zrobić - powiedziała cicho.

- To prawda, ale musi dostać nauczkę.

- W końcu i tak wszystko na mnie się skrupi - westchnęła Liv.

- No tak, obawiam się, że tak.

Odruchowo wzięli się za ręce, tak jak to dawniej bywało. Dag opowiadał o swoim życiu w Kopenhadze, starając się zachować wesoły ton. Ale serce przepełniała mu tępa, bezradna rozpacz. Mąż miał wszystkie prawa po swej stronie. Czy to właśnie Liv, mała siostrzyczka, która chodziła za Dagiem jak cień przez cały okres ich wspólnego dorastania, czy ze wszystkich akurat ona musi tak cierpieć przez całe życie?

Jednocześnie miał niejasne wrażenie, że on sam ponosi część winy za los, który ją spotkał.

120

- Gdzie jest jego kantor? - zapytał po chwili milczenia.

Liv przystanęła.

- Nie wolno ci tam iść, Dag, nie wolno!

- Ale chciałbym powiedzieć mu kilka słów prawdy, a właściwie, żeby być całkiem szczerym, spuścić mu porządne lanie.

- Dag, proszę cię!

Objął dłońmi jej twarz.

- Nie zrobię tego - obiecał. - Zobaczymy, co zaproponuje Sol. Jest taka pomysłowa - dodał naiwnie.

Długo patrzył Liv w oczy; gdy się żegnali, na twarzach obojga malował się smutek. Dag przyrzekł, że siostra niedługo otrzyma wiadomości z domu, i rozstali się.

Patrzyła za nim, aż zniknął zupełnie. Dopiero wtedy wróciła do swego pięknego domu, ożywiona spotkaniem z rodzeństwem, lecz jednocześnie śmiertelnie przerażona czekającą ją karą, gdyby mąż dowiedział się, że wychodziła.

Sol podjęła błyskawiczną decyzję. Odnalazła najelegantszy powóz, jaki był w Oslo, i poprosiła woźnicę, by zawiózł ją do domu Samuelsena. Siedząc w powozie, udrapowała suknię tak, by wyglądać jak najbardziej dostojnie. Nie było to takie trudne, ponieważ miała na sobie

najwytworniejszą z sukien od hrabiny Strahlenhelm, bardzo modną jak na norweskie warunki. Odszukała coś w swoim sekretnym zawiniątku i przełożyła do kieszeni.

Kiedy dotarli na miejsce, poprosiła, by woźnica zaanonsował hrabinę Thott z Kopenhagi.

Thottów było tak wielu, że trudno się było w nich połapać.

Woźnica wszedł po schodach i już wkrótce „hrabina” została serdecznie zaproszona. Sol zgarnęła dłonią fałdy sukni i dostojnie wpłynęła do środka, trzymając w ręku kapelusz, który był ostatnim krzykiem mody w Kopenhadze.

Żona kupca bławatnego, pulchna pani Samuelsen, kłaniała się i kłaniała, prosząc szacownego gościa o wejście w skromne progi jej kupieckiego domu, gdzie akurat zebrały się przyjaciółki. Jednocześnie rozpaczliwie starała się odgadnąć przyczynę niezwykłych odwiedzin.

Sol wkroczyła do salonu. Wyprostowana, z przyjaznym, choć odrobinę pogardliwym uśmiechem, omiotła wzrokiem zebrane damy. W swej najlepszej duńszczyźnie poprosiła gospodynię, by przedstawiła ją owym sympatycznym paniom.

Jej duńskiemu daleko było do doskonałości, nikt jednak tego nie zauważył.

121

Pani Samuelsen zrobiła, o co ją poproszono, i Sol zanotowała sobie w pamięci panią Berenius, teściową Liv. Sol nie była na ślubie siostry, nie spotkały się więc nigdy dotąd. To jęzda, pomyślała sobie. A więc to ona tak bezwzględnie poczyna sobie z najlepszą dziewczyną w całej Norwegii! Ta góra tłuszczu ze skrzeczącym głosem! Biedna Liv, tyle musiała znieść.

Sol zwróciła się do gospodyni.

- Moja droga pani Samuelsen, przybywam prosto z królewskiego dworu... - oświadczyła z namaszczeniem, osiągając zamierzony efekt. Panie były poruszone i zaintrygowane w najwyższym stopniu. - Rozmawiałam tam z przyjacielem, starym hrabią Lowenbrander, który prosił bym przekazała wam, pani, pozdrowienia... - Mogła fantazjować bez obawy, bowiem hrabia o takim nazwisku nigdy nie istniał. - Opowiadał mi, że w młodości był w was do szaleństwa zakochany, ale nie mógł się z wami ożenić ze względu na rodzinę. Nigdy was nie zapomniał, pani Samuelsen. Czy to nie romantyczna historia, moje panie?

I Sol uśmiechnęła się promiennie.

Pani Samuelsen była zupełnie zdezorientowana.

- Ach, och, któż to może być? Hrabia Lowenbrander? Nie mogę sobie przypomnieć...

- Nie, oczywiście, że nie. Rozumiecie chyba, że nie używał wówczas swego szlacheckiego nazwiska. Nie śmiał też wyrazić swego podziwu dla was. Z pewnością wiecie jednak, o kogo chodzi, prawda?

Dama zmusiła się do uśmiechu, który pokrył jej zmieszanie. Sol zauważyła, że cały czas intensywnie myślała nad jej słowami. Na pewno jednak była nad wyraz zadowolona, zwłaszcza że przyjaciółkom oczy prawie wychodziły z orbit.

Sol usiadła tuż obok teściowej Liv. Kiedy podczas rozmowy skierowała uwagę dam na wiszący na ścianie obraz, jej dłonie szybko jak skrzydła ptaka mignęły nad stołem.

Gospodyni zaproponowała poczęstunek, ale Sol wymówiła się, wyjaśniając, że jej powóz czeka przed domem, a ona bardzo się spieszy.

Opuściła dom równie dwornie jak weszła, uśmiechając się do siebie na myśl o pełnych podziwu i zachwytu spojrzeniach dam.

Sol i Meta przybyły do bram miasta nieco spóźnione. Dag czekał już na nie w całkiem zwyczajnym powozie.

Pół godziny później, po nader przekonującym ataku serca, teściowa Liv wydała swe ostatnie tchnienie. Nikt nie połączył tego z winem, które piła wcześniej, a tym bardziej z wizytą dostojnej damy z Kopenhagi. Ponieważ wypadek nie zdarzył się w domu, nikt nie mógł

122

obwiniać Liv o śmierć teściowej. Tak właśnie miało być, zgodnie z wolą Sol. Zawsze wszystko toczyło się wedle jej woli...

Pierwsze kroki Dag skierował do Grastensholm. Tam był jego dom, tam w samotności żyła jego matka.

Charlotta cieszyła się z powrotu swego pięknego syna. Na przemian śmiała się i ocierała łzy.

- Spodziewaliśmy się was dopiero za kilka dni. Chcieliśmy jechać do Oslo i powitać was w porcie. Jak poszło? - zapytała ciekawa, kiedy już usiedli na sofie.

- Ale co?

- Egzaminy, oczywiście.

Egzaminy? Całkiem o nich zapomniał.

- Dziękuję, bardzo dobrze. Mam teraz wykształcenie prawnicze najwyższego stopnia, mogę wybierać i przebierać w urzędach. Nie chcę się chwalić, ale byłem najlepszy.

- Wiedziałaś! - rozpromieniła się Charlotta. Nie mogła się na niego napatrzeć. Tak zmężniał

i wydorósł! - Znałam twoje możliwości. Ja sama nie należę do najgłupszych, masz więc do kogo być podobny - powiedziała, śmiejąc się serdecznie.

- Wiem. To przecież właśnie ty, mammo Charlotta, uczyłaś nas wszystkich, to głównie twoja zasługa, matko. Ale lata spędzone na uniwersytecie były ciężkie. Student nic nie znaczy, zwłaszcza gdy jest na jednym z mniej znaczących fakultetów. Wydaje się, że tylko księża mogą cieszyć się szacunkiem w tym świecie. My musieliśmy zbierać się podczas rozmaitych pogrzebów, tworząc swego rodzaju straż honorową. Uważa się, że im liczniejsza straż, tym większym poważaniem za życia cieszył się zmarły. Te ceremonie zajmowały bardzo dużo czasu, który powinniśmy poświęcić na naukę. Ale wszystko dobrze się skończyło.

Dag umilkł. Pogrzeżył się w myślach, odpowiadając zdawkowo, kiedy Charlotta mówiła o życiu w Grastensholm.

Nachyliła się do syna.

- Co się dzieje, Dagu? Wyglądasz na strapionego.

Wyprostował się i westchnął głęboko.

- Tak, mammo. Boję się, że w najlepszej wierze spowodowaliśmy straszliwą tragedię.

Na twarz Charlotty wystąpił rumieniec.

- Naprawdę? Co masz na myśli?

123

- Opowiedziałaś kiedyś w Lipowej Alei o tej pannie Trolle, którą wspominałem przelotnie w liście, prawda?

- Tak - odparła zmieszana. - Jak to się dalej potoczyło?

- Nijak. Nigdy nie było nic poza tym, że uważałem ją za ładną dziewczynę. imponowało mi, że chce ze mną rozmawiać. To był też mój błąd, nigdy nie powinienem jej wspominać.

- Błąd? Nie rozumiem.

- To w tym czasie Berenius starał się o Liv, prawda? Przedstawiono go jej tu, w Grastensholm, czyż nie tak?

Charlotta zamyśliła się.

- Tak, chyba tak. A dlaczego pytasz?

Dag wstał i chodził po pokoju tam i z powrotem.

- I ja dowiedziałem się, że Liv ma zamiar go poślubić. Że już wyraziła zgodę.

Matka była coraz bardziej zakłopotana.

- Tak, to była naprawdę świetna partia dla małej Liv.

W tej samej chwili spojrzała w twarz Daga, zdjętą smutkiem, i zaniepokoiła się poważnie.

- Liv wyszła za mąż za dręczyciela, matko! Za prawdziwego domowego tyrana!

Wstrząśnięta Charlotta zaniemówiła.

Zatrzymał się i uderzył pięścią w parapet.

- Och, matko! Gdybyś ją widziała! To mały, migotliwy cień! Teściowa komenderuje nią od rana do wieczora. Nie wolno jej spotykać nikogo z rodziny, mąż nieustannie ją poucza, poprawia we wszystkim, czego nauczyła się w domu, i bije, kiedy tylko wyrwie jej się coś, co zdradza, że jest od niego mądrzejsza.

- Co ty mówisz, chłopcze? - zawołała zrozpaczona Charlotta. - Co my zrobimy? O Boże, co my zrobimy? Tengel...

- Nie, nie Tengel. On zabije Laurentsa, nie możemy do tego dopuścić. Ze względu na Tengela! Musimy to omówić, Silje, Sol i my dwoje. Coś trzeba zrobić! Sol prosiła mnie, bym zaczekał, ale musiałem o tym pomówić z tobą, matko.

124

- O mój Boże! Co ja zrobiłam? Ale skąd mogłam wiedzieć? Och, nasza dziewczynka! Nikt na ziemi nie zasługuje na tyle miłości co Liv!

- Właśnie. Ale na razie nie mów nic w Lipowej Alei. Pozwól zająć się tym mnie i Sol. Liv tak bardzo boi się awantury.

- Obiecuję.

Długo siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

- Jak ułożyło się Sol w Kopenhadze? - spytała w końcu Charlotta.

- Sol? Ona jest jak kot, zawsze spada na cztery łapy.

- A więc wplątała się w coś?

- Oczywiście, choć dzięki swemu urokowi zawsze się ze wszystkiego wykręci. Ona jest diabelnie nieostrożna!

- Nie przeklinaj, synku.

- Ha, powinnaś posłuchać Sol, kiedy się rozgniewa!

- Tak, nietrudno mi to sobie wyobrazić - odparła Charlotta matowym głosem.

W Lipowej Alei przyjęto Sol z otwartymi ramionami.

- Och, Silje! Musisz skończyć z jedzeniem ciasteczek na miodzie!

Tengel objął Silje w pasie.

- Do twarzy jej z tym.

- Na razie tak, zgadzam się. Ale dość się napatrzyłam na spalone matrony. Nie chcę mieć jeszcze jednej w domu.

- To nie takie proste - zaśmiała się Silje zawstydzona. - Ale masz rację, za dobrze mi tutaj.

Tengel, jeśli zobaczysz, że sięgam po jeszcze jedno ciastko, zabierz mi je i oddaj biednym!

Co to za dziewczynka jest z tobą, Sol?

Silje boleśnie odczuła niedyplomatyczną krytykę Sol i obiecała sobie, że nie da powodów do dalszych przytyków. Właściwie więc dziewczyna zrobiła dobry uczynek.

Sol przedstawiła płonąca ze wstydu Metę i w krótkich słowach opowiedziała jej historię. Ze względu na dziewczynkę pominęła najbardziej drastyczne szczegóły.

Silje i Tengel gorąco współczuli biednemu dziecku i natychmiast obiecali przyjąć ją do siebie.

125

Meta zdobyła się na odwagę i poprosiła o pracę w oborze, jeżeli tylko mogłaby się tam na coś przydać. Uważała, że dom jest dla niej zbyt wspaniały.

- Ale co ty robiłaś w Skanii, Sol? - spytał Tengel z ojcowskim niepokojem.

Odwiedziłam znajomych odpowiedziała lekko.

- Ach tak? Chyba nie w Brosarps Backar?

Do pioruna, pomyślała Sol. A więc on także zna miejsce spotkań czarownic?

- Nie, skąd ci to przyszło do głowy? Dokładnie było to w okolicach Tollarp.

- Miałaś jakieś kłopoty, Sol?

- Kłopoty? A dlaczego pytasz?

- Wzywałaś mnie. Silje i ja próbowaliśmy ci pomóc.

Sol nagle schyliła się i zaczęła gwałtownie grzebać w swoim kufierku podróżnym.

- I to wam się udało - szepnęła Sol. - Dziękuję, bardzo dziękuję.

Tengel i Silje wymienili spojrzenia.

- Nie chcesz o tym mówić? - zapytał Tengel.

- Nie - odparła Sol. - Zrobiłam coś bardzo niemądrego i nigdy już tego nie uczynię, to pewne.

- Może kiedyś mi o tym opowiesz? - powiedział Tengel cicho. - Bo jestem bardzo ciekaw.

Odniosłem wrażenie, że widzę... kogoś, kogo nie chciałbym wymieniać z imienia.

Sol długo patrzyła mu w oczy. Poczuli, jak bardzo są sobie bliscy w tym, czego nie można opisać, czego inni nie mogą pojąć. Skinęła głową.

- Kiedyś ci opowiem. Na razie wszystko jest jeszcze zbyt świeże.

- O, nadchodzi Are - powiedziała Silje, kierując rozmowę na inny tor. - Are! Zobacz, kto przyjechał! A to Meta, zamieszka z nami. Meto, jeżeli chcesz dowiedzieć się czegoś o pracy w oborze, możesz zapytać Arego. To jego dziedzina.

Meta nieśmiało zerknęła na rosnącego, silnego chłopaka, bardzo podobnego do Tengela, pozbawionego jednak jego demonicznych cech.

- Kiedy mogę zacząć? - zapytała. - Chcę naprawdę ciężko pracować.

Are wpatrywał się w nią wystraszony.

126

- Co ona mówi? Nie rozumiem ani słowa!

- Nie rozumiecie mnie, panie? - szepnęła Meta przygnębiona.

- Panie?! Mam dopiero czternaście lat? Ona nie potrafi dobrze mówić!

- Ależ Are! - wtrąciła Sol. - Ona mówi po skańsku. To odrębny dialekt, podobny i do szwedzkiego, i do duńskiego. Wkrótce się go nauczysz.

- Ja? Nigdy w życiu! Niech ona się nauczy!

- Zabierz ją do obory i pokaż swoje królestwo - powiedziała Silje. - Zachowuj się po ludzku!

Musimy porozmawiać z Sol na osobności.

- Dlaczego nie mogę zostać?

- Bo jesteś jeszcze za młody.

- Traktujecie mnie jak dziecko!

- Czego ty właściwie chcesz? - uśmiechnęła się Silje miękko. - Nie chcesz być panem, ale też nie chcesz być dzieckiem. Zabierz dziewczynkę ze sobą.

Mrucząc coś pod nosem, zniknął ze spłoszoną Metą depczącą mu po piętach.

- Na miłość boską! - powiedziała Sol zdumiona. - To zupełnie do niego niepodobne. To była chodząca życzliwość.

Silje roześmiała się.

- Nie pamiętasz, jak tobie samej było trudno w tym wieku? Jedną nogą w dzieciństwie, a drugą już w świecie dorosłych. Ja w każdym razie pamiętam, jakie to może być kłopotliwe.

Naprawdę nie byłaś wtedy aniołem.

Czternaście lat? Klaus, kościelny, pan Johan...

- Ja nigdy nie byłam aniołem - zachichotała Sol. - Na pewno mu to przejdzie. No, ale nie zagrzeję tu długo miejsca. Już jutro rano muszę wybrać się do Tonsberg z posłaniem od pewnej duńskiej rodziny szlacheckiej.

- Nie możesz przecież jechać sama - wtrąciła Silje.

- Kochana Silje! Podróż w jedną stronę zajmie mi mniej niż jeden dzień. Przenocuję u nich i już następnego dnia będę z powrotem w domu. Cóż złego może mi się przydarzyć, kiedy będę siedziała na końskim grzbiecie?

127

- Niech jedzie - orzekł Tengel. - Sol da sobie radę.

- Ale czy nie możesz poczekać kilka dni? - prosiła Silje. - Mała Meta będzie bardzo nieszczęśliwa, jeżeli znikniesz, zanim się ze wszystkim oswoi.

Sol pomyślała chwilę i przyznała rację Silje.

- Zaczekam - zgodziła się.

- Wspaniale! Dobrze, że zajęłaś się tą dziewczynką, Sol.

- Gdybyście wiedzieli, przez co ona przeszła! Sądzę jednak, że ze względu na nią powinnam to przemilczeć.

Przygnębiony Are oprowadzał Metę po oborze. Biedna dziewczyna dreptała za nim, kiwając głową, gdy jej coś wyjaśniał. Tylko oczy były pełne podziwu, ale nie odezwała się ani jednym słowem.

- Czy nie potrafisz nawet odpowiadać na pytania? - wybuchnął w końcu Are.

Zadrżała i z oczu trysnęły jej łzy.

- Nie śmiem. Nie podoba wam się przecież moja mowa, panie.

- Panie! O jezu, dajże mi cierpliwość!

Spełniając prośbę Sol, Charlotta i Dag nie opowiadali w Lipowej Alei o losie nieszczęsnej Liv. Istniało ryzyko, że Tengel wybuchnie niepohamowaną złością. To zniweczyłoby plany dziewczyny.

W domu Sol powiedziała, że udaje się do Tonsberg, jednak wcale tak nie było. Po kilku godzinach jazdy znalazła się w Oslo, w okolicach portu, z dala od miejsca, w którym mieszkała Liv wraz z mężem. Ukryła się między domami naprzeciwko kantoru handlowego Bereniusa.

Nie spieszyła się. Przez cały dzień dokładnie obserwowała wszystko, co dzieje się przed budynkiem. Kilkakrotnie widziała młodego mężczyznę, w którym bezbłędnie rozpoznała Laurentsa. Przystojny, ale zbyt ulizany i pewny siebie jak na gust Sol. Oczywiście ceniła sobie autorytety, ale nie tego rodzaju. Chciała kogoś naprawdę silnego od urodzenia, ale nie robiącego wokół siebie hałasu i nie nadrabiającego miną. Mężczyznę, wokół którego unosiłaby się aura zniewalającej władzy.

Nie dociekała, czym handlował Berenius. Musiało to być drzewo albo coś takiego.

Koncentrowała się wyłącznie na ludziach.

128

Dom stał boczną ścianą do ulicy. Na samej jego górze znajdował się otwór, przez który widać było ciężkie worki, w każdej chwili gotowe do spuszczenia na dół.

Otwór znajdował się tuż nad bramą wejściową, gdzie często zatrzymywał się Laurents, rozmawiając z klientami.

Następnego dnia Sol wróciła w to samo miejsce i ustawiła się w wąskim przejściu między domami. Rósł tam krzak, który świetnie ukrywał ją przed wzrokiem przechodniów.

Mogłaby zwyczajnie dostać się do domu i załatwić wszystko w prosty sposób, ważne jednak było, by nikt jej nie widział. Nikt nie powinien w żaden sposób łączyć jej planów z osobą Liv.

To było najważniejsze przesłanie Sol.

Przez wiele lat ćwiczyła przesuwanie przedmiotów za pomocą myśli.

Tego ranka pracowała z takim wysiłkiem, że włosy lepiły się jej do spoconych skroni, a serce waliło

dwa razy szybciej. Usiłowała przesunąć jeden z worków na samą krawędź. Nie miała pojęcia, co mogło w nim być, żywiła jedynie nadzieję, że kryło się w nim coś naprawdę ciężkiego.

Nigdy nie próbowała przesuwać wielkich przedmiotów, i to z tak dużej odległości. Potrafiła przemieszczać małe pudełeczka na stole, ale to?

W końcu musiała pogodzić się z faktem, że nie da rady. To był wyjątek. Poddała się po raz pierwszy. Jednak nie zrezygnowała. Musi dostać się do środka. Ale jak?

Zauważyła, że w tym samym kwartale mieści się skład węgla. Z tyłu było podwórze, pełne worków i innych rupieci. Żadnych okien...

Pół godziny później do składu Bereniusa wszedł młody chłopak z ciężkim workiem na plecach. Na czoło naciągniętą miał wysmoloną czapkę. Gołe nogi i ręce były tak brudne, że nie dawało się rozróżnić koloru skóry.

Zuchwale wślizgnął się do środka podczas największego ruchu i pomaszerował schodami do góry.

Dopiero na górze, upewniwszy się, że nikogo nie ma, Sol zrzuciła ciężar z ramion. Wspięła się jeszcze wyżej, na strych, i tam skuliła się za workami stojącymi przy otworze.

Zajęła się obserwacją strychu. Dach podtrzymywały grube krzyżujące się belki. W środku było ciemno i wilgotno, ale na drugim końcu dostrzegła otwarte okienko. Ostrożnie przedostała się na tamtą stronę.

Na zewnątrz, trochę niżej, był jakiś daszek. Gdyby dało się przebiec po nim kawałeczek, można by przeskoczyć na dach sąsiedniego domu, a stamtąd niedaleko już na ziemię.

129

Sol usłyszała kroki na schodach i pospiesznie ukryła się za workami. Nie śmiała wychylić nosa, ale po chwili ten ktoś odszedł i została sama. Z piętra pod nią dobiegały głosy.

Jednak Laurents Berenius nie pokazał się przez cały dzień.

Sol zmartwiała. A jeżeli to dzień pochówku jego matki? Wszak miała powody, by przewidywać uroczystości pogrzebowe. Oficjalnie nie słyszała nic na ten temat. Nie miała prawa wiedzieć, bo list w tej sprawie był dopiero w drodze do Lipowej Alei. Zgodnie z poleceniem Bereniusa Liv przekazała swej rodzinie pisemną wiadomość, iż nie ma potrzeby, by ktoś z nich wziął udział w obrzędzie pogrzebowym. Liv nie mogła napisać, że Laurents wstydzi się jej krewniaków, że nawet Charlotta i Dag nie zostali przez niego zaakceptowani.

Laurents był jednym z tych, którzy nie mogli pojąć, w jaki sposób taki bękart jak Dag otrzymał zgodę na używanie tytułu barona. Nie widział żadnego związku między własnymi licznymi romansami przed spotkaniem Liv a posiadaniem pozamałżeńskich dzieci. Cóż za godna pogardy kobieta! mówił o Charlotcie.

Sol leżała ukryta za workami i niecierpliwie zerkała na ulicę.

Nareszcie późnym popołudniem Laurents Berenius pojawił się przed domem handlowym.

Przyjechał powozem, pospiesznie wszedł do środka.

Teraz chodziło tylko o to, by stanął przy bramie.

Sol musiała długo czekać. Nie mogła pozwolić sobie na spędzenie jeszcze jednego dnia poza domem. Rodzice zaczęliby się niepokoić. Nie powinni też powziąć żadnych podejrzeń.

Wreszcie wyszedł. Cofnęła nieco głowę. Och, zatrzymaj się teraz!

Ale nie, poszedł dalej, w stronę portu.

Sol nie mogła go dostrzec ze swego miejsca, nie wiedziała, gdzie jest i co robi. Nagle zauważyła, że tak mocno zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły się jej w dłonie.

Wrócił. Stań pod otworem, stań tutaj!

Zatrzymał się, ale we właściwym miejscu przystanął ktoś obcy.

Znów musiała czekać.

Z góry widziała ich łysiny. Bereniusowi najwyraźniej zaczynają już rzednieć włosy, pomyślała.

Mężczyźni rozmawiali przez dłuższą chwilę, gwałtownie gestykulując i przesuważąc się to w przód, to w tył.

130

Nareszcie! Nie udało jej się myśłą przesunąć worka, ale może uda się jej sprawić, by mężczyźni ulegli sile jej woli?

Stój nieruchomo, Laurentsie Bereniusie!

Przesunęła worek na samą krawędź otworu, tak że zaczął się chwiać. Przeważył i runął.

Laurents obrócił się. Sol wstała, nie mając odwagi zostać tam dłużej. Wskoczyła przez okno i pobięła w kierunku dachu sąsiedniego domu.

Wkrótce znalazła się na ulicy. Zanim zniknęła za rogiem, rzuciła okiem na zbiegowisko przed bramą.

Worek okazał się ciężki, dużo cięższy, niż przypuszczała.

Kiedy doleciał do ziemi, niewiele pozostało z Laurentsa Bereniusa.

131

ROZDZIAŁ X

Dotarła do domu o zmroku. - Sol! Dobrze, że już jesteś - powiedziała Silje wzburzona. - Są tutaj Charlotta i Dag. Dostaliśmy list od Liv. Píše, że jej teściowa nie żyje. To był atak serca.

Liv prosi, byśmy nie przyjeżdżali na pogrzeb. Ale ja uważam, że powinniśmy jechać. Jak sądzisz?

Sol nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy wtrącił się Dag:

- To na pewno mąż kazał jej tak napisać.

Silje zdumiona odwróciła się w jego stronę.

- Dlaczego? Czemu tak mówisz?

- Kiedy odbędzie się pogrzeb? - wtrąciła Sol błyskawicznie.

- Pojutrze.

Liv jest teraz sama, pomyślała Sol. Nikogo nie ma w domu oprócz zmarłych.

- Myślę, że Liv nas potrzebuje - powiedziała spokojnie. - Jedźmy; wszyscy, którzy mogą.

Tak też postanowiono.

Nie zdążyli jednak wyruszyć do Oslo, gdy konny posłaniec przywiózł nową pilną wiadomość.

Przybył w chwili, gdy omawiali wraz z Dagiem i Charlottą plan jutrzejszej podróży.

Okazało się, że Laurents również nie żyje. Tragiczny wypadek w miejscu pracy; pogrzeb matki zostaje odłożony, tak by oboje mogli zostać pochowani jednocześnie.

- O, biedna Liv - uzalila się Silje. - W tak krótkim czasie stracić wspaniałego męża!

Dag, Sol i Charlotta wymienili spojrzenia.

- To najlepsze, co mogło się zdarzyć - powiedział Dag.

I opowiedzieli o nieszczęsnym małżeństwie Liv.

Tengel robił się coraz bledszy.

- I nie powiedzieliście o tym ani słowa? O, moja mała dziewczynka!

- Sami wiemy o tym dopiero od tygodnia - odparł Dag.

Silje płakała.

- Tyle razy bolałam nad tym, że ona nie przyjeżdża do domu ani też nie chce, byśmy ją odwiedzili. Tak bardzo za nią tęskniłam! A jej po prostu tego zabraniano! Och, Liv, nasze kochane dziecko!

- Tak, ponosimy wielką winę za to małżeństwo - stwierdziła Charlotta. - Przekonaliśmy Liv do niego, wmówiliśmy jej, że Laurents jest jedynym odpowiednim kandydatem na męża.

- Jadę jutro rano - zdecydowała Silje. - Podtrzymam ją na duchu podczas pogrzebu, a potem przywiozę do domu.

- Ja też pojedę - powiedział Tengel.

- Tak, jedźcie - powiedziała Sol. - Ale teraz jestem głodna! Pójdę i poproszę o coś do zjedzenia. Jeżeli służba już się położyła, przygotuję sobie coś sama.

- O tej porze?

- A dlaczego nie? Czy zawsze trzeba jeść o wyznaczonych porach, przestrzegać przyjętych norm?

Zniknęła.

Zapanowała cisza.

- Sol jest wyjątkowa - uśmiechnął się Are. - Zawsze robiła to, co chciała. Przyniosła nam wiele trosk...

Dag zapatrzył się przed siebie.

- Myślę, że jest wiele rzeczy, za które powinniśmy Sol dziękować - stwierdził lakonicznie.

Pozostali milczeli.

- Tak - powiedziała Charlotta, zatopiona we wspomnieniach. Gospoda w Dovre. Dwójka martwych napastników...

- Ona kocha swą rodzinę ponad wszystko - dodała Silje, przypominając sobie, jak dwuletnia Sol zmusiła niesfornego syna Abelone, by zaciął się nożem, po tym jak zbyt długo dokuczał

Silje. - Tak. Jest w stanie zrobić dla nas wszystko.

Tengel nic nie powiedział. Wyraz jego oczu świadczył, że jest gdzieś bardzo, bardzo daleko.

On wiedział więcej niż inni. Pamiętał, jak kościelny po spotkaniu Sol chwiejąc się podążył w stronę kościoła. Kościelny, który groził, że doniesie na Tengela za posługiwanie się czarami...

- Sol prosiła, byśmy poczekali kilka dni - mruknął Dag do siebie.

Nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy. Nikt nie spytał o wyjazd do Tonsberg.

Każde z nich wiedziało o niektórych sprawkach Sol. Ale całą prawdę znała tylko ona.

W kuchni ukroiła sobie solidną pajdę chleba. Jej myśli krążyły wokół tego samego tematu, co i reszty rodziny.

A więc wysłała kolejnego człowieka na tamten świat.

Wszystko zaczęło się od niesympatycznego towarzysza zabaw w Dolinie Ludzi Lodu. Syna Abelone w ogóle nie brała pod uwagę, traktowała to wyłącznie jako wprawkę. O malcu nie wiedział nikt. Dokuczał bardzo Liv i Dagowi. Wszyscy byli przekonani, że zmarł śmiercią naturalną.

Tak, bezustannie musiała czuwać, by nikt nie krzywdził i nie mówił źle o jej najbliższych. Gdy chodziło o zło panujące na świecie, byli jak dzieci, bezbronni i naiwni. To ona musiała ich chronić, pilnować, by mogli żyć w spokoju. Czasami gniewała ją ich bezradność!

Potem byli rozbójnicy w zajeździe w Dovre. Ci, którzy chcieli skrzywdzić ciotkę Charlotte, dobrą wróżkę rodziny.

Kościelny... Wtedy zabawiła się naprawdę!

Pan Johan... Trochę było jej go żal, ale uznała to za sprawę wyższej, najwyższej konieczności.

I jeszcze kilku trudniejszych pacjentów Tengela. Ich jednak nie warto liczyć, i tak stali już jedną nogą w grobie.

A jak było w Kopenhadze? Nie, tam nad sobą panowała.

Potem jeszcze dwóch rozbójników w Skanii. Samoobrona bez żadnej finezji, ale miała zbyt mało czasu.

Następnie teściowa Liv. Z tej rozprawy była o wiele bardziej zadowolona. Inteligentnie i metodycznie zaplanowana. A teraz Laurents. Tu również jej się udało.

Długa lista... Ostatnio wydłużała się w zawrotnym tempie, ale to nie był koniec.

Najważniejsza ofiara nadal jeszcze czekała. O tym jednak nie wiedziała nawet Sol.

* * *

W Oslo w pięknym salonie stała rozdygotana Liv. Ścisnęła dłonie, aby nie trzęsły się jej tak mocno. Nie potrafiła jednak opanować drżenia całego ciała.

On nie żyje, myślała. Nie żyje i nigdy już tu nie przyjdzie.

Może dobrze się stało, że napięte do granic wytrzymałości nerwy Liv odmawiały posłuszeństwa. Mogła tylko drzeć. W jej skołatanej głowie snuły się już natrętne myśli, których nie byłaby w stanie wytrzymać. Niedobre myśli, jakie owładnęły jej umysłem w chwili, gdy dowiedziała się o śmierci teściowej, były ciężarem nie do udźwignięcia. Nie wolno mi odczuwać ulgi, powtarzała sobie, ja... Nie, nie chciałam jej śmierci! Nie chciałam! Niech Bóg zmiłuje się nade mną!

A teraz Laurents.

Nie myśleć, nie myśleć, moje sumienie tego nie zniesie. Pogrzeb, jak przez to przejdę? Czy nikt nie pomoże mi w załatwieniu praktycznych spraw? Żebym mogła choć przez moment pomyśleć o czymś innym! Burza, która wzbiera we mnie, rozsadzi mnie na kawałki, zmiecie z powierzchni...

Ktoś nadchodzi. Znajome głosy. Znane, kochane głosy.

Do pokoju wsunęła się Sol, zaraz za nią inni. Liv widziała wokół siebie pełne niepokoju twarze i ramiona, gotowe do serdecznych objęć. Była wśród nich matka, czuła, z oczami błyszczącymi od łez, powtarzająca raz po raz „chuda” i „ukochane dziecko”. I szczebiocząca Sol. Był też Dag i Charlotta. Wszyscy patrzyli na nią zatroskani. Ona jednak widziała ich jak przez mgłę.

W drzwiach stanął Tengel. Wpatrywał się w córkę, którą kołysał na rękach, kiedy przechodziła dziecięce choroby, którą trzymał na kolanach, gdy wymawiała pierwsze sylaby, która zawsze tak tkliwie i łagodnie uśmiechała się do całego świata. Nie poznawał jej.

Nieruchoma, wychudzona twarz z sinymi cieniami pod oczami, zmatowiałe włosy i ten otępieły wzrok...

Tengel odwrócił się i zasłonił twarz rękami. Wiedział teraz, czym jest nienawiść. Laurents Berenius i jego matka mogli być tylko wdzięczni losowi, że ich śmierć nastąpiła tak szybko i bezboleśnie.

Westchnął głęboko i otarł łzy. Silje i on tyle razy zamierzali przyjechać do niej w odwiedzin, mimo że Liv wyraźnie sprzeciwiała się ich wizycie. Delikatność brała górę, gdyż córka stale prosiła, by wstrzymali się trochę, wymawiając się, że dom nie jest jeszcze w pełni umeblowany lub że Laurents wyjechał, a bardzo chciałby spotkać się z nimi. Zawsze był

jakiś powód.

Teraz otaczało Liv wiele osób. Wszyscy chcieli ją uściskać i służyć pomocą. Jednak jej twarz nadal była nieruchoma. Tengela ogarniał lęk, straszliwy lęk!

Stała właśnie samotnie i spoglądała na niego. Tengel zbliżył się, a ona rzuciła się w mu objęcia. Nowe łzy popłynęły po jego policzkach, usłyszał zalękniony szept:

- Zabierz mnie do domu, ojczy!

- Tak - odszepnął. On także nie mógł mówić normalnie. - Pojedziesz do domu, najdroższa.

Wszyscy na ciebie czekamy.

Liv wróciła do domu, blada, zmęczona i żałośnie chuda. Cicho kręciła się po gospodarstwie.

Od czasu do czasu wybierała się na przechadzkę do Grastensholm, gdzie odbywała długie rozmowy z Dagem. Tych dwoje zawsze było ze sobą najbliżej. Charlotta trzymała się z boku, podsuwając im tylko przysmaki i troszcząc się, by niczego im nie brakowało.

Liv i Dag wędrowali przez łąki.

- Proszę cię, Liv! Dlaczego nie możesz powiedzieć, co cię gnębi? - W głosie Daga brzmiało rozpaczliwe błaganie. - Wiem, że jesteś głęboko zraniona - ciągnął. - Wszyscy to zauważyliśmy już wtedy, gdy przyjechaliśmy po ciebie. Nie uporasz się z tym, dopóki nie porozmawiasz z kimś szczerze. Oni oboje nie żyją, Liv! Czego się boisz?

Splatała i rozplatała palce.

- Nie śmiem tego powiedzieć głośno.

- Musisz! Inaczej nigdy z tego nie wyjdiesz.

Pokiwała głową. Przez chwilę milczała, w końcu zmusiła się do mówienia.

- Czuję się winna, Dagu!

Wziął ją za rękę i zauważył, że jest lodowato zimna.

- Co masz na myśli?

- Nie chcę powiedzieć, że wprost życzyłam sobie śmierci Laurentsa. Ale moje myśli stale krążyły wokół jednego: że nigdy nie zdołam wyrwać się z tego życia w poniżeniu. A to przecież oznacza to samo, co życzyć sobie, żeby on umarł, prawda?

- Nie, wcale tak nie uważam. To raczej była rezygnacja z twojej strony.

- Cóż, może i tak - powiedziała z wahaniem, ale ulżyło jej nieco.

Zatrzymali się.

- Liv, najmilsza przyjaciółko, postaraj się spojrzeć na to inaczej. Jak na doświadczenie, przez które musisz przejść. Wykorzystaj mnie jako kogoś, komu możesz się zwierzyć, kto zawsze będzie miał czas i cierpliwość, by cię wysłuchać. Tak bardzo chciałbym ci pomóc. Nie lękaj się powtarzania po wielekroć tego samego, jeżeli tego właśnie potrzebujesz. Musisz wszystko z siebie wyrzucić! Wtedy będziesz mogła zacząć od nowa.

- Och, Dag! - Przytuliła głowę do jego ramienia. - Nigdy nie będę mogła zacząć niczego od nowa. Jestem bardziej złamana niż ci się wydaje.

Objął ją.

- Czas to najlepszy lekarz dla ciebie. Głowa do góry!

Odsunął Liv odrobinę od siebie i czule spoglądał w jej pełne rozpaczycy oczy.

Nagle jego ciepły uśmiech zniknął. Zapadła cisza. Oczy Liv robiły się coraz większe, pojawiła się w nich bezradność.

Dag wstrzymał oddech. W tej chwili prawdy wypełnił ich oboje strach przed czymś niepojętym.

Liv żałośnie jęknęła i wyrwała się z jego objęć. Jak spłoszone zwierzątko pędziła przez łąki w kierunku Lipowej Alei.

Dag długo stał spoglądając za Liv, ale nie starał się jej zatrzymać. Przerażony i wstrząśnięty wrócił do Grastensholm.

Charlotte przycinała krzewy w ogrodzie różanym, który przed laty założyła jej matka pod oknami salonu.

- Wracasz sam? Myślałam, że Liv zje z nami.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w róże, ale ich nie dostrzegał.

Charlotte spojrzała na niego uważnie.

- Co się stało, Dag?

Chrząknął.

- Nie musisz nic mówić - powiedziała cicho, wracając do swoich róż. - Zrozumiałam to już w dniu twego powrotu do domu, kiedy wspomniałeś o nieporozumieniu z panną Trolle i natarczywych zalotach Laurentsa.

- Tak, myślę, że już wtedy tkwiło to w mojej podświadomości. W głębi duszy doskonale wiedziałem, jak bardzo mi na niej zależy. Nie pozwoliłem jednak tej myśli rozwinąć się do końca. Była przecież zamezną kobietą. Ale dzisiaj... Właśnie teraz... - Matka czekała, pozwalając mu wyrzucić z siebie gorzką prawdę. - Nie rozumiałem siebie do tej pory, zawsze byliśmy traktowani jak rodzeństwo - mówił wzburzony. - Ale nim nie jesteśmy. Myślę, że Liv odczuwa podobnie, choć i ona ogromnie się przeraziła.

Charlotte pokiwała głową.

- Rozumiem. Zasmuciła ją nowina o pannie Trolle i nie zdając sobie sprawy z prawdziwej przyczyny uległa presji i poślubiła Laurentsa Bereniusa. Liv jest przecież taka ustępliwa: A ty... w Kopenhadze... Wstrząsnęła tobą wiadomość, że wychodzi za mąż, prawda?

- Tak.

Odwrócił się gwałtownie, aż żwir zatrzeszczał mu pod stopami.

- Ale może ty nie zezwoliłabyś na małżeństwo między mną a Liv? - zapytał z nutą agresji w głosie. - Ona przecież nie jest szlachcianką.

- Dag, najdroższy, jak możesz tak mówić? Czy kiedykolwiek okazałam się snobką?

- Nie, dzięki Bogu, nigdy.

- Daj jej trochę czasu, synku. Myślę, że musisz postępować niezwykle delikatnie. Wszyscy wiemy, w jakim stanie jest Liv po tym koszmarnym małżeństwie.

- Mam pewne podejrzenia - westchnął. - Mam niejasne obawy, że to może potrwać nieskończenie długo. Być może nigdy nie uda mi się do niej dotrzeć.

- Wydaje się, że dręczą ją wyrzuty sumienia - przytaknęła Charlotta. - Jak gdyby ktoś wmówił w nią, że nigdy się od nich nie uwolni bez względu na to, czym i jak będzie się zajmowała. Sądzę też, że jeszcze bardziej przeraża ją myśl o miłości między dwojgiem ludzi, którzy wyrastali razem jako rodzeństwo. Biedna dziewczynka! Musimy jej dać całą naszą czułość, Dag.

Dag zgadzał się z tym bardziej, niż potrafił to okazać.

* * *

Pewnego dnia w Lipowej Alei podczas miłego śniadania odbyła się rodzinna narada. Sol zwróciła uwagę, że Silje dzielnie nie zbliża się do talerza z ciastkami, i uśmiechnęła się z lekką ironią. Tengel podjął temat, który, jak się spodziewała Liv pewnego dnia musiał

wypłynąć.

- Liv, wkrótce będziesz musiała zacząć myśleć o swojej przyszłości - powiedział, patrząc na nią z powagą - Zostałaś właścicielką dużej firmy zajmującej się handlem drzewem.

- Nie chcę jej - oświadczyła gniewnie.

- Będziesz więc musiała ją sprzedać - orzekł Tengel. - Nie możesz tak po prostu zostawić jej własnemu losowi.

- Sprzedać? To nierozsądne! - wtrącił się Are. - Jak wiesz, ojcze, mam zamiar wykorzystać tutejszy las. Omawiałem to z ciotką Charlottą. Co więc mogłoby być lepszego niż własna firma, która zajęłaby się wywozem drzewa?

- Wspaniały pomysł - włączył się Dag.

- Ale ja nie znam się na handlu - zaprotestowała Liv. - Nie chcę też mieszkać w tym okropnym domu wśród wspomnień. Chcę być tutaj!

- I zostaniesz - orzekł Dag zawiedziony, że dziewczyna unika jego wzroku. - A ja jestem prawnikiem i wiele będę mógł ci pomóc. Poza tym nie zapominaj, jak dobrze umiesz rachować. Rachunki możesz prowadzić tutaj. Nie wiem, co zrobimy z domem. Szkoda by było go sprzedawać...

- Dlaczego ja nie miałabym w nim zamieszkać? - zapytała Sol. - Udawać wielką damę, trzymać służbę i tak dalej. Zalotnicy cisnęliby się drzwiami i oknami, mieliby chrapkę na ten piękny dom. Przy okazji wzięliby i mnie.

- Nie opowiadaj głupstw - powiedział Tengel ostro. - Nie możesz tam mieszkać sama.

- Dlaczegoż by nie? To tylko doda mi tajemniczości. Ludzie będą umierać z ciekawości, kim jest ta piękna kobieta o smutnych oczach.

- Ty o smutnych oczach? - zaśmiał się Are. - W twoich oczach błyszczy żądza przygód.

Widać, że masz w sobie diabła.

- Are! - surowo skarciła syna Silje. - W tym domu się nie przeklina.

- Ja nie przeklinam, to tylko takie utarte powiedzenie.

Tengel westchnął, nie zdołał jednak ukryć uśmiechu.

- Kolejna rodzinna narada, która zamienia się w zabawę - stwierdził. - Musimy spróbować porozmawiać poważnie. Wszyscy, z wyjątkiem Arego, jesteście już dorośli, a tylko on ma zapewnioną przyszłość. Wy, duże dzieci, nie możecie dłużej nic nie robić! Dagu, skończyłeś studia, ale co masz zamiar począć ze swoim wykształceniem?

- Nie wiem tego jeszcze, ojcze. Otrzymałem dwie naprawdę dobre propozycje, mam też inne możliwości.

Dag nadal nazywał Tengela ojcem. Przyjaciele i znajomi Charlotty często kpili z niej z tego powodu.

- A więc siedzisz tylko i zbijasz baki. Liv odziedziczyła fortunę, ale nie ma sił, żeby się nią zająć. A Sol... Czy nie mogłabyś znów pomóc mi trochę przy chorych? Wszystkim ciebie brakowało, a mnie najbardziej - dodał.

- Chyba tak zrobię - powiedziała bez entuzjazmu, wspominając wolność, której dane jej było posmakować. Może trzeba by raczej powiedzieć: wszystko zmieniło się od czasu, gdy spotkała Księcia Ciemności. Nie mogło już być jak przedtem. - Tak, chyba tak. Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki nie postanowię, co chcę zrobić ze swoim życiem. Nie wygląda bowiem na to, bym była otoczona murem zalotników.

- Dobrze wiesz, że miałaś wielu starających - uśmiechnęła się Silje. - Mniej więcej połowa mężczyzn, twoich pacjentów, prosiła cię o rękę. Nie wydaje się, by któryś z nich przypadł ci do gustu.

- Nie znalazłam jeszcze tego jedyne - odparła beztrąsko. I znów rozmowa zeszła na inny tor.

Z czasem na obydwu dworach wszystko się jakoś ułożyło. Sol, łagodna, ale nieobecna duchem, pomagała chorym, niekiedy podając im bezwartościowe leki i obiecując poprawę, a następnie niebo. Czasami wszystko kończyło się dobrze, czasami nie, ale pacjenci i tak ją uwielbiali. Kilka razy wymknęła się do lasu i odbyła wyprawy na Blokksberg, ale ich skutki były tak straszliwe, że zdecydowała na jakiś czas zaprzestać tych praktyk. Przyszło jej to z trudem, tęskniła bowiem bardzo za fascynującym wcieleniem Szatana. Chociaż zmieniały się krajobraz i drobne epizody na Blokksberg, on ciągle pozostawał takim samym, ogromnie pociągającym mężczyznę, posiadającym wszystkie cechy, których poszukiwała Sol. Za każdym razem stawał się coraz piękniejszy i coraz bardziej zmysłowy. Przepaść między nim a zwykłymi śmiertelnikami była coraz głębsza. Spotkała go już trzykrotnie w oszalamiającej ekstazie, ale zawsze, gdy się budziła, uczucie pustki było coraz bardziej gorzkie. Płakała wówczas z bezsilności.

Wiedziała, że kolejne przeżycie potęguje ból rozdarcia. Otchłań była dla niej obszarem granicznym, dzielącym dwa światy. Nabierała coraz większej pewności, do którego z nich należy jej dusza, dokąd ulatują jej myśli.

Przerażało ją to bardziej, niż chciała przyznać sama przed sobą.

* * *

Liv powoli wracała do życia, ale do normalności było jej jeszcze daleko. Dag miał dla niej niewyczerpalne zasoby cierpliwości. Często myślał o tej fatalnej chwili, gdy oboje zdali sobie sprawę, że nie są rodzeństwem.

Pewnego dnia Liv poruszyła ten temat.

Siedzieli w Grastensholm na okiennym parapecie. Zapadał zmierzch. Rozmowa ucichła. Byli sami, Charlotta poszła do Lipowej Alei.

- Co z nami będzie, Dagu? - nieoczekiwanie westchnęła Liv.

Drgnął.

- O co ci chodzi?

- Wiesz dobrze, co mam na myśli.

- Tak - powiedział po chwili. - Nie śmiałem nazywać rzeczy po imieniu.

Liv czekała. Ona podjęła temat, teraz nadeszła jego kolej.

- Czy zechcesz, Liv? - zapytał cicho. - Czy zechcesz wyjść za mnie?

- To nie takie proste - szepnęła. - Chcieć to nie to samo co móc.

- Dlaczego nie?

Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie mogę o tym mówić, Dag. To zbyt... osobiste.

Popatrzył na nią badawczo, ale odwróciła twarz.

- Ale czy chcesz tego? - zapytał cicho. - Czy chcesz wyjść za mnie za męża?

Tym razem zdecydowanie przytaknęła ruchem głowy.

Dag nie męczył jej dłużej. Widział wyraźnie, że to dla niej zbyt trudne.

Zwrócił się z tym problemem do Sol. Szczerej, otwartej Sol, zawsze gotowej do pomocy.

Poprosił ją, by wyciągnęła od Liv, co stoi na przeszkodzie ich małżeństwu.

- Przede wszystkim jest nieprzyzwoicie wcześnie po zgonie męża - powiedziała nie namyślając się Sol.

- Wiem, ale mam dużo czasu, by na nią czekać.

Sol, która właśnie postanowiła skończyć z wyprawami na Blokksberg, rada była, że zajmie swoje myśli czymś nowym i ważniejszym.

- Oczywiście, zapytam ją, braciszku. Małżeństwo z tobą jest dla Liv jedynym ratunkiem.

Dlaczego nie odkryłeś tego już dawno temu, ty głuptasie?

- A ty?

- Szczерze mówiąc, ja też się nie zorientowałam. Zawsze traktowałam was wszystkich jak rodzeństwo.

- My też tak myśleliśmy, ale tak wcale nie jest, Sol.

- Nie, i dzięki Bogu, ze względu na Liv. Życzę wam wszystkiego dobrego, braciszku. Na pewno uda mi się wyciągnąć z niej prawdę.

Tak też się stało. Dziewczęta, tak jak w dzieciństwie, dzieliły sypialnię. Pewnego wieczora Sol uznała, że Liv dojrzała do rozmowy o swoim nieudanym małżeństwie.

W ciemności wsłuchiwała się w szept siostry.

- Nasza kochana mama poradziła mi dać mężowi całą swą miłość, pozwolić mu przychodzić do siebie i przyjmować z radością, pokazywać, że podzielam jego... żądze. Zrobiłam tak, Sol, i usłyszałam lodowate kazanie. Powiedział, że ujawnianie uczuć nie przystoi kobiecie i że w przyszłości mam pozostać bierna. To on miał być myśliwym, zdobywcą. Byłam tylko jego własnością, z której był dumny, z której mógł korzystać.

- Chyba wykorzystać - parsknęła ze złością Sol, aż Liv musiała ją uciszyć. - Nigdy nie słyszałam o kimś tak okropnym. I zakłamanym. Nie wolno ci w to wierzyć, Liv. Silje miała rację. Większość mężczyzn czeka na odpowiedź na swoje zaloty, chcą być kochani.

- Tak sądzisz? - zapytała siostra z odrobiną nadziei w głosie.

- Sądzę? Ja to wiem!

Liv była zbyt przybita, by zwrócić uwagę na wyraźne odwołanie się Sol do własnych doświadczeń.

- Gdybym miała wtedy dość sił, by nie dać się zbić z tropu. Ale byłam taka samotna, taka niepewna. Sądziłam, że to mój błąd, że on miał rację, przyrównując mnie do ladacznic. To mnie złamało, Sol. A to był tylko wstęp do ciągłych poniżeń, zniewag i moich wiecznych wyrzutów sumienia. On mnie zabijał, rozumiesz? I... Sol! Nie, tego nie mogę powiedzieć!

- Musisz wyznać teraz całą prawdę, inaczej nigdy nie pozbędziesz się tych myśli.

- Nie, dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

Sol czekała, Liv w końcu zebrała się na odwagę.

- Może to dziwaczna myśl, ale nie mogę się jej pozbyć... Za każdym razem, kiedy mnie zbił albo ukarał w jakiś inny sposób, stawał się potem przedziwnie czuły i chciał... Rozumiesz.

Sol usiadła na łóżku.

- Tfu! Tfu! Co za świnia! Co za ohydny... - Nie znalazła odpowiedniego słowa i położyła się znów. - Mogłabym go zabić! - mruzczała zawzięcie, jak gdyby tego nie zrobiła.

- Ale to nie było najważniejsze - powiedziała Liv przepraszająco. - Najgorsze było to codzienne śledzenie każdego gestu, słowa, kroku. Cały czas musiałam się pilnować, by zachowywać się bez zarzutu.

Długo milczała.

- Właśnie dlatego nie mogę wyjść za Daga - szepnęła przygnębiona. - Nie mam niczego, co mogłabym mu dać. Nie śmiem okazywać uczuć, bezustannie będę się lękać, czy nie zrobiłam czegoś, co mu się nie spodoba. Myśl o karze.. .

- Ze strony Daga?

- Wiesz przecież, że on zawsze był taki dokładny i pedantyczny. Nie lubi nieporządku, bałaganu.

- No tak, ale jaki to ma związek z miłością?

- Większy niż myślisz.

- Nie bądź głupia - powiedziała Sol.

Dyskutowały długo, ale Sol nie udało się do końca przekonać siostry.

Sol odbyła poważną rozmowę z Dagiem, powtórzyła mu wszystko.

- Wygląda na to, że twoje zamiłowanie do porządku zabija w niej resztki śmiałości, Dagu.

Tak nie może być!

Dag siedział przy oknie obserwując Liv, która pomagała Mecie przy kurach. Był wstrząśnięty tym, że Laurents do tego stopnia zdołał zniszczyć w żonie zdolność do radości i naturalności. Raptem odwrócił się do Sol.

- Ale mnie chyba zna? Mnie się chyba nie boi?! - wykrzyknął zdesperowany.

- Cóż, tak właśnie jest.

- Ale... ale... - nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Uderzał się dłonią w czoło. - Jak ona może przyrównywać mnie do tego potwora?

Sol powoli rzekła:

- Daleka droga przed tobą, braciszku.

143

ROZDZIAŁ XI

Pewnego dnia, kiedy całe rodzeństwo wraz z Metą pomagało Aremu na polu wrywać rzepe, na

horyzoncie ukazał się jeździec. Najwyraźniej zmierzał ku Lipowej Alei.

- Któż to może być? - zdziwiła się Liv.

Dag wyteńczył wzrok.

- Czy to nie kurier, który eskortował cię do Skanii, Sol?

- Tak, to on! - potwierdziła Meta.

- Do czorta! - syknęła Sol. - Przepraszam, nie chciałam przeklinać. Jacob Skille? Czego on tu szuka?

- Myślałam, że on się wam podoba, panienko - zdziwiła się Meta.

- Podoba? Tak - prychnęła Sol. - Może i tak, ale już z nim skończyłam.

Pozostali przyglądali się jej zdumieni.

Jeździec zatrzymał się na gościńcu, poprawiając coś przy jukach. Jeszcze ich nie zauważył.

Sol poczuła, że winna jest rodzeństwu wyjaśnienie.

- Mieliśmy w drodze małą przygodę, całkiem niewinną. Odrobinę romantyczną. Ale z tego powodu nie musi chyba tu przyjeżdżać! Dagu, czy będziesz aniołem i zaprosisz go do Grastensholm? Nie życzę sobie byłych wielbicieli kręcących się po domu.

- Oczywiście, możesz na mnie liczyć - powiedział Dag. Po zimie wspólnie spędzonej w Kopenhadze znał swoją przyszywaną siostrę lepiej niż inni.

Otarł dłonie o spodnie i ruszył w kierunku dworu.

- Wiesz co, poczekaj na mnie - zdecydowała Sol. - Najlepiej będzie, jak pójdziemy razem.

Stwierdziła, że nie warto ryzykować, by Jacob Skille powiedział coś kompromitującego przy rodzicach. Mam jeszcze trochę czasu, zanim Jacob dotrze na miejsce, pomyślała. Dag przystanął.

- Do pioruna - mruknęła do siebie, wrywając ostatnią rzepę i ciągnąc tak mocno, że aż runęła do tyłu. - Że też ludzie nie mogą pojąć, że kiedy koniec, to koniec.

Are jęknął.

144

- No nie, Meto, znów pomyliłaś stosy. Najlepsze miałaś kłaść tutaj, a te małe tam. Czy ty naprawdę nie widzisz różnicy?

- Przepraszam - bąknęła Meta.

Sol była rozszokowana wizytą Jacoba Skillego.

- Przestań bez ustanku drzeć się na to dziecko - warknęła do Arego. - Cały czas biega w kółko jak tresowane zwierzę, żeby ci sprawić przyjemność. Ale ty tego nie widzisz!

Zauważasz jedynie jej błędy.

- A czy ona robi coś innego? Sama zobacz, tylko płacze i maże się, a rzepę nadal źle układa.

- Denerwuje się przy tobie. Nigdy nie miała z tym do czynienia, nie pojmujesz?

- Nie. Nie można być aż tak niezdarnym.

Sol upuściła rzepę, którą trzymała w ręku, i przysunęła się do Arego. Musiała zadrzeć głowę, by móc spojrzeć w oczy młodszemu, ale rosztemu bratu.

- Jak sądzisz, jak byś się zachował, gdybyś urodził się we wszeteczeństwie i był nazywany przez wszystkich bękartem? Gdybyś od kołyski musiał towarzyszyć matce w jej poczynaniach z mężczyznami? Gdybyś był narażony na kuksańce i kopniaki, bo nie byłoby dla ciebie miejsca wśród prawowitych chrześcijan? Meta żyła w największym ubóstwie i poniżeniu, ponieważ nikt nie chciał przyjąć ich na służbę pod swój dach. Miała jedynie matkę, żyjącą w upodleniu, która mimo swej nędzy starała się uchronić dziewczynkę przed złem tego świata. Kiedy ją spotkałam, Meta była tak brudna, że widziałam łożące po niej wszy. Musiałam pochować jej zmarłą matkę, leżącą od trzech miesięcy w nędznym szałasie, który był ich domem. Po jej śmierci Meta została sama, zdana na pastwę losu. Kiedy ją znalazłam, stała przywiązana do płotu i zabawiał się z nią tuzin sprośnych żołnierzy. Sądząc po śladach, przybyłam i powstrzymałam ich zbyt późno. Większość zdążyła już zaspokoić swe żądze, wykorzystując ją, trzynastolatkę. Potem zabrałam Metę tutaj. Sądziłam, że w tym domu wszyscy bez wyjątku będą ją rozumieć. Ale wyraźnie się pomyliłam...

Are stał oniemiały i z powagą słuchał Sol.

Liv, wstrząśnięta słowami siostry, podeszła do Mety i przytuliła ją do siebie. Objęła za szyję i przycisnęła policzek do jej włosów. W tym momencie między obiema dziewczętami wytworzyła się głęboka więź. Na Liv dobrze to wpłynęło. Dostrzegła tragedię, która przesłoniła jej własną. Nareszcie był ktoś, kim należało się zająć i pocieszyć, zapominając o sobie. Widząc reakcję Liv, Sol i Dag bardzo się uradowali.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej? - zapytał Are półgłosem.

145

- Ponieważ Silje i Tengel przyjęli ją życzliwie, nie stawiając żadnych pytań. Chciałam, żeby Meta została tu ze względu na samą siebie, a nie dlatego, że ktoś jej współczuje. Uznałam też, że jesteś za młody, by słuchać takich brutalnych opowieści.

- Pomyliłaś się - odparł Are krótko i znów wziął się do pracy.

Sol oprzytomniała.

- Och, Dagu, musimy zdążyć przed Jacobem! Do czorta, jak można biec z kilkoma funtami gliny pod stopami!

Udało się im jednak zatrzymać Jacoba, zanim dotarł do dworu. Kiedy ich zobaczył, przystanął w alei tuż pod drzewem Sol.

Sol zmusiła się do ugrzecznionego uśmiechu na powitanie. Jacob jednak niczego nie zauważył, tak był szczęśliwy, że znów ją widzi. Z radością przyjął zaproszenie Daga do Grastensholm.

Kiedy już szli w stronę dworu, Sol ruchem ręki przekazała Dagowi prośbę, by usunął się na bok.

- Co tu robisz, miły? - zapytała Sol, starając się zachować przyjazny ton.

- Postarałem się o przeniesienie do Akershus - odparł z dumą. - Teraz możemy być razem, Sol. Tak bardzo za tobą tęskniłem. Nareszcie będę mógł pójść do twego ojca i uczynić z ciebie przyzwoitą kobietę.

Sol zorientowała się, że Jacob ma na sobie najlepsze ubranie, wypolerowaną do połysku zbroję i przystrojony piórami hełm. Wyraźnie przybył z poważnymi zamiarami!

- Nie waż się powiedzieć, że zrobiłeś ze mnie nieprzyzwoitą kobietę! - syknęła.

Ton jej głosu zatrwożył Jacoba.

- Sądziłem, że ty już wszystko opowiedziałaś. Czy nie mówiłaś nic o nas?

- Tak, ale nie wdawałam się w szczegóły. Moi rodzice są dobrymi ludźmi, bardzo by się zasmucili, gdyby się o tym dowiedzieli. Jacobie, bądź tak dobry i zaczekaj, nie prosz na razie o moją rękę. Nie czas teraz na to, są bardzo poruszeni tragedią mojej siostry. Opowiem ci o tym później. Zimą muszę też pomóc ojcu w pracy... - Doprawdy, praca z chorymi przydała się na coś, pomyślała. - Ale rodzice przyjmą cię serdecznie, opowiadałam im, jak dobry byłeś dla mnie w Skanii. Przez jakiś czas możemy trzymać naszą miłość w sekrecie, prawda? Powiem ci od razu, kiedy uznam, że nadszedł właściwy czas.

O, jakim wstrętem wypełniało ją użycie słowa „miłość” w tej sytuacji.

146

- Ale ja tak marzyłem o tym, by być z tobą - powiedział Jacob.

- Spotkajmy się jutro nad rzeką, koło lasku. Po obiedzie.

Jacob Skille wyraźnie nie był zachwycony koniecznością zmiany planów, ale nie widząc innego wyjścia przystał na to.

Sol dyskretnie przywołała Daga, który trzymał się z tyłu.

- Jak długo możesz zostać? - zapytała Jacoba.

- Mam przystąpić do nowej służby dopiero za trzy tygodnie - odparł.

Na Boga, trzy tygodnie? Jak ona zdoła utrzymać go na wodzy tak długo?

Rodzice, choć wcale nie słyszeli wiele o Jacobie Skillem, przyjęli go jednak życzliwie, dziękując za opiekę nad córką w Skanii. Na szczęście Dag zrozumiał, że Sol pali się grunt pod stopami, i szybko zabrał Jacoba do Grastensholm.

Sol odetchnęła z ulgą.

Kilka godzin później Sol wyjrzała przez okno. Zobaczyła, jak Meta wychodzi z obory, dźwigając ciężkie konwie z mlekiem. Na dziedzińcu spotkała Arego, który przystanął, by z nią porozmawiać. Sol nie słyszała, co mówił. Widziała tylko wystraszoną buzię Mety, która uniósłszy głowę spoglądała na niego. Sol zobaczyła, że Are uśmiechnął się do dziewczyny i pogładził ją po policzku. Wziął od niej konwie i razem podążyli dalej.

Sol odeszła od okna, uśmiechając się z zadowoleniem. Nareszcie zapanował w domu pokój.

Nie sądziła, by Are kierował się litością. Po prostu zrozumiał lekcję. W tym chłopcu kryło się dużo ciepła, choć przytłumionego teraz problemami dorastania.

Sol powtórzyła historię Mety rodzicom, a Dag przekazał ją Charlocie. Od tego dnia wszyscy dokładali jeszcze większych starań, by dziewczynka ze Skanii czuła się u nich jak najlepiej.

Nadal pracowała, uznano bowiem, że takie rozwiązanie będzie się dla niej najkorzystniejsze, ale teraz stała się bardziej ich dzieckiem niż obcą dziewczynką do pomocy.

Następnego dnia Sol spotkała się z Jacobem nad rzeką. Było to jej ulubione miejsce, gdzie niegdyś chadzała ze swym kotem.

Jacob ułożył się obok niej w miękkiej trawie.

- No i jak się miewasz? - zapytała.

- W Grastensholm? Dziękuję, wybornie. Matka Daga, to nadzwyczajny człowiek. Tak miło się z nią gawędzi.

147

- Oczywiście, ciotka Charlotta jest wyjątkowa. Wszyscy ją ubóstwiamy.

- Świetnie to rozumiem. Pomogłem jej trochę w tym wielkim domu. Jestem dość zręczny, a Dag na takiego nie wygląda.

- Nie, a poza tym ostatnio zajęty jest kłopotami naszej siostry. Stara się uporządkować sprawy związane ze spadkiem po jej mężu...

Sol mówiła gorączkowo, aby tylko uniknąć zalotów Jacoba. On jednak był bardzo zasmucony.

- Sol, dlaczego mnie unikasz?

- Unikam? - roześmiała się nerwowo. - Spotykam się z tobą potajemnie, a ty nazywasz to unikaniem?

- Może tak i nie jest, ale coś mnie niepokoi. Tyle śniłem o tobie, Sol.

- Och, Jacobie!

Zwróciła ku niemu twarz, pocałował ją pożądliwie, spragniony.

Kiedy w końcu udało jej się uwolnić, powiedziała:

- To prawda, że trochę się zmieniłam. W Skanii, daleko od domu, byliśmy tacy swobodni. Tu bardziej muszę się liczyć z wymaganiami moich rodziców. Jacobie, najmilszy, czy uznasz to za dziwne, jeżeli nie chciałabym... więcej... na razie? Czy zrozumiesz, że aż do czasu, gdy naprawdę będziemy do siebie należeć, chcę pozostać czysta, by nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia?

Wzruszył się.

- Oczywiście, że się podporządkuję. Mogę poczekać. Mogę czekać w nieskończoność, moja ukochana gołąbeczko.

Gołąbeczka? A cóż to za określenie? pomyślała Sol.

Wróciła do domu z niespokojnym sumieniem. W jaki sposób zdoła się wycofać z obietnicy?

Nigdy w świecie nie będzie miała odwagi powiedzieć Jacobowi, by zmykał tam gdzie pieprz rośnie. Jakiś jeden czuły punkt w jej duszy nie pozwalał zbyt boleśnie zranić Jacoba.

Cóż jednak miała zrobić?

Wracając do domu klęła głośno w rytm zamaszystych kroków:

- Do diabła, do diabła, do diabła...!

148

* * *

Dag stał w kantorze kupieckim Bereniusa w okolicach portu w Oslo i zdumiony wpatrywał się w wieśniaka który właśnie przybył z transportem drewnianych bali.

- Nie chcecie nic za drewno, człowieku? To po co je przywozicie?

Wieśniak miętosił czapkę w dłoniach.

- Kupiec Berenius kazał mi to dostarczyć. Powiedział że to dla jego wysokości króla.

- Co wy mówicie? Królowi należy się pewna część, zgoda, musimy płacić podatki, ale cały ładunek? Czy to zdarzało się już wcześniej?

- Dziesięć ładunków w roku, panie.

- Co? A inni chłopci?

- Tak samo, panie.

- Na miłość boską! Nic dziwnego, że Berenius tak się wzbogacił! A co z pozostałym drewnem, które przywozicie? Tym nie dla króla? Ile za nie dostajecie?

Wieśniak podał śmiesznie niską cenę.

- Nie, tak być nie może. Zbierzcie wszystkich chłopów, którzy dostarczali tu drewno w ciągu ostatniego roku, i przyjdźcie za tydzień od dzisiaj. Tu jest lista nazwisk. Należy wam się zapłata przynajmniej za to, coście dostarczyli w tym roku. A potem sporządzimy sprawiedliwą umowę, tak byście otrzymywali pieniądze za drewno i za waszą pracę. Czy jesteście zadowoleni?

Wieśniak stał z rozdziawioną gębą. Pokiwał tylko głową i w końcu wybiegł jak oparzony.

Dag zwrócił się do kompletnie oszołomionego zarządcy.

- A jak się sprawy mają z tutejszymi pracownikami? Jaką dostają zapłatę?

Zapłatę? Okazało się, że płaci się im w naturze, chlebem albo wódką. A na święta dostają talara. Dag zamknął oczy i westchnął.

- Przejrzę rachunki i zorientuję się, ile mogą dostać. Tak mi wstyd! Tak bardzo mi wstyd za Bereniusa.

Tragedia Mety przełamała ostatnie bariery w Liv. Nikt nie poświęcał biednemu dziecku tyle czasu co ona. Pewnego dnia dziewczęta wpadły do domu zataczając się ze śmiechu.

149

- Co się stało, Liv? - zapytała Silje zdumiona. - Ty się śmiejesz? To najwspanialsze, co mogło się zdarzyć!

- Tak naprawdę to nie wiem, czemu się śmieję - odparła Liv. - Może to dlatego, że Dag zrobił

coś przecudownego. Sprzedał ten dom duchów w Oslo i kupił inny. Będzie tam jego biuro, kiedy poważnie zacznie pracować, i dom całej rodziny, jeśli ktoś z nas zechce zatrzymać się w Oslo.

- Pięknie - powiedziała Silje. - Ale najważniejsze, że znów jesteś wesoła, kochane dziecko. I Meta także.

- Dag postanowił odmienić całą firmę. Dał zarządcy większą władzę i postarał się, by pracownicy otrzymali godziwą zapłatę. Ma bardzo dobre stosunki z właścicielami lasów, którzy go błogosławią. Jedynym minusem jest to, że królowi należy się tak bezwstydnie dużo drewna za darmo.

Tak było w istocie, ale prawnie królowi należał się jedynie ułamek tego, czego żądał

Laurents Berenius, który ogromną część zysków zgarniał do własnej kieszeni.

- Liv! - powiedziała Silje oburzona. - Nie wolno się tak wyrażać o jego wysokości!

- Ale czym on sobie zasłużył na całe to drewno?

- Liv, zabraniam ci krytykować króla.

Sol wybuchnęła śmiechem.

- Powinnaś zobaczyć swojego ulubionego króla na balu, na którym byłam na zamku w Kopenhadze! To bezwładny, tłusty odwłok! Wynosili go pijanego jak szewca. Trzeba było sześcioro chłopów, by go podnieść, mamrotał tylko coś niezrozumiałego. Powiadają, że z Christianem IV zwyciężył w picciu jedynie jego zmarły ojciec, Fryderyk II. Ale w obronie Christiana trzeba dodać, że ma tęgą głowę, bo już następnego dnia zabiera się do wypełniania swoich obowiązków. Nikt nie może narzekać na jego sposób rządzenia królestwem. Co prawda dziesięcinę, którą muszą płacić chłopcy, mógłby sobie darować, no i podatek od tego, co sprzeda Liv, rzecz jasna także. W tym roku ustanowił nowe cła. On w każdym razie na tym nie straci.

W spojrzeniu Silje, słuchającej słów Sol, wyczytać można było żal. Żal z powodu utraconych złudzeń.

- Nie musiałaś mówić tego wszystkiego, Sol - stwierdził Tengel. - Nasza Silje jest tak bardzo przywiązana do królewskiego majestatu. Staraliśmy się wychować was inaczej. Chcieliśmy, byście byli mądrzy, silni i umieli myśleć samodzielnie, a własną niezależność sądów łączyli z szacunkiem dla odmiennych poglądów innych ludzi. Rozumiesz to, Sol?

- Tak. Przepraszam.

150

- Król Christian jest dobrym władcą - ciągnął Tengel. - Najlepszy duński król, jakiego mieliśmy. Naprawdę interesuje się Norwegią. Jego ojciec nie był taki.

Te słowa Silje przyjęła z radością.

- Jest pewna sprawa, która mnie niepokoi - powiedział Are. - Niektórzy ludzie niechętnym okiem patrzą na to, że przestajemy z Duńczykami.

- Chodzi o Charlotte? - spytał Tengel. - Takich ludzi nie może być wielu.

- Nic takiego nie słyszałam - powiedziała Sol.

- Ja też nie - dodała Liv.

- A ja niestety tak - rzekła Silje. - Ale to wyjątki. Charlotta jest samotną kobietą. Tylko fanatycy mogą być przeciwko niej.

- Ciotka Charlotta jest powszechnie lubiana - dorzuciła Liv. - Dag jest z niej bardzo dumny.

- Większość ludzi pogodziła się z faktem, że w kraju są Duńczycy - powiedział Tengel. - Są też buntownicy, którym nie mogę odmówić sympatii. Zanim Norwegia dostała się pod panowanie duńskie, była mocarstwem. Pewnego dnia dojdzie do poważnych rozruchów, z pewnością jednak nie za Christiana.

- Po czyjej ty jesteś stronie? - zapytała Sol.

- Naturalnie, tak jak wszyscy chciałbym, by Norwegia była wolna - odpowiedział Tengel. - Ale Charlotta jest naszą najbliższą przyjaciółką i nie mam zamiaru odwracać się od niej plecami z powodu jej pochodzenia. Większość ludzi przestaje z Duńczykami. Nie przejmuj się wyjątkami, Are.

- Nie, to tylko paru chłopaków.

Tengel pokiwał głową.

- Przyszli buntownicy. Nam nie wolno się w to mieszać. Ze względu na Sol nie możemy wzbudzać zainteresowania.

- Ze względu na mnie? Ja sobie poradzę.

Tengel zapatrywał się na to inaczej.

- Musisz być bardzo ostrożna, Sol. Jeden nierozważny krok może ściągnąć nieszczęście na całą naszą rodzinę, a przede wszystkim na ciebie.

- Czy może nie byłam łagodna jak owieczka?

151

- Tak, tak. Ale ja znam cię dobrze. Znowu jesteś niespokojna. A dziś uciekłaś się do magicznych sztuczek: szewcowa nagle cudownie ozdrowiała. Nie wolno ci tak robić, Sol!

Trzymaj się ziół!

Sol skinęła głową i obiecała poprawę.

Teraz leżała w łóżku z rękami pod głową i wpatrywała się w sufit. Równy oddech Liv zdradzał, że siostra śpi.

Najwyższy czas zrobić coś z Jacobem. Nadal mieszkał w Grastensholm i za kilka dni miał wyjechać. Na szczęście już od tygodnia nie pokazywał się w Lipowej Alei. Z pewnością był załamany jej zachowaniem.

Sol znów nawiedzał ten sam niepokój, który poprzedzał jej wyprawy na Blokksberg, choć tak się wzbraniała i zarzekała, że nigdy tam nie poleci. Te wyprawy pogłębiały dysharmonię w niej samej, odsuwały od prawdziwego życia, narażały na cierpienia fizyczne. Nie, stanowczo nie chciała tam wracać. Nie znalazła nawet środka przeciw temu upiornemu bólowi głowy.

Przez wiele dni padało, ale teraz ziemia znów była już sucha. Czy ma zabrać Jacoba do lasu i tam go „uwieść”? Z pewnością ucieszy się z tego i nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że taki był jej cel od początku. Coś nieodparcie „pociągnie” nas ku sobie, pomyślała.

Zanim zasnęła, nakreśliła sobie krótki plan działania.

Następnego dnia przybyła do Grastensholm ubrana w lekką, mocno frywolną suknię.

Jak ładnie zrobiło się we dworze! Widać było, że Jacob przyłożył się do pracy. Na ścianach wisiały skóry, w rogu wymurowany został nowy kominek.

Usłyszała głosy dobiegające z salonu, a więc tam skierowała swe kroki.

Charlotta śmiała się wesoło, radośnie.

Sol zapukała i weszła.

Jacob Skille i Charlotta odskoczyli od siebie gwałtownie.

- Och, Sol, to ty? - powiedziała Charlotta z płonącym rumieńcem na policzkach. - Wejdz, proszę!

Oblicze Jacoba najpierw nie wyrażało niczego. Zaraz jednak w jego oczach pojawiło się rozpaczliwe ostrzeżenie, a zarazem prośba. Nie wspominaj nic o nas, błagał spojrzeniem.

Sol uspokoiła go wzrokiem. Wcale nie była zainteresowana zdradzeniem tajemnicy, wprost przeciwnie!

Nie pamiętała, o czym rozmawiali ani nawet co sama mówiła. Były to głównie błahostki.

Charlotta pokazała jej przemeblowane pokoje i wszystkie ulepszenia, bez końca podkreślając, jak dobrze jest mieć w domu mężczyznę. Sol pytała o Daga, choć świetnie wiedziała, że jest w Oslo.

Wkrótce oszołomiona opuściła dwór z ironicznym uśmiechem na twarzy.

A więc ona, niepokonana Sol, przegrała z wiekową już starą panną, którą trudno nazwać urodziwą! Ciekawe, czy Dag o tym wiedział?

Ale jakże radował ją ten romans Charlotty, której życie było dotychczas tak ubogie w podobne doświadczenia! Tych dwoje bardziej pasowało do siebie wiekiem niż Jacob i ona.

Naturalnie pociągali ją mężczyźni z autorytetem i doświadczeniem, ale z Jacoba z przyjemnością mogła zrezygnować.

Miała nadzieję, że ma on wobec Charlotty poważne zamiary! Nie można jeszcze raz jej zranić!

Ale ca stanie się z Dagiem? A jeśli Jacob Skille czyha jedynie na włości i majątek Charlotty?

Nie, to wykluczone, pomyślała Sol. A więc dlatego nie pokazywał się w Lipowej Alei!

Roześmiała się głośno.

Nie miała żadnych złudzeń. Miłość Jacoba do niej była jedynie fascynacją, a ona kierowała się głównie ciekawością i żądzą przygód. Jego uczucia do Charlotty były zupełnie inne, zauważyła to od razu, gdy przez chwilę rozmawiała z nimi w salonie.

Niespodziewanie ogarnął ją bezgraniczny smutek. Nie żałowała Jacoba, o nie, nie w tym rzecz. Ale cóż zostawało dla niej? Czy było możliwe, by ona kogoś pokochała i była kochana, miłością taką jak Tengela i Silje, czy taką, jaka coraz mocniej zawiązywała się między Dagiem i Liv, co już dla wszystkich było jasne jak słońce?

Czy nie może nikogo pokochać oprócz tego jednego: cienia? Czy ktoś obdarzy ją miłością dla niej samej, nie tylko dla jej fascynującego wyglądu i temperamentu?

Sol usłyszała nagle własny szloch. Niecierpliwie grzebała w zawieszanej u paska sakiewce, aż znalazła swe pudełeczko z maścią. Oślepią łzami, do których nie przywykła, zboczyła ze ścieżki i wbiegła w las, kierując się do sekretnego miejsca, którego nie znał nikt. Tam szybko rozebrała się, nasmarowała maścią i przycisnąwszy kij do ciała, wkrótce znalazła się w drodze ku otchłani, która bezustannie wzbudzała jej gorące nadzieje. Ach, jakże dawno już tam nie była! Jak bardzo tęskniła!

Znów spotkała Księcia Ciemności, jedyne, który naprawdę ją kochał i rozumiał. Wiedziała o tym, choć ich spotkania wypełnione były wyłącznie dziką zmysłowością.

153

Wiedziała, że żaden śmiertelnik nie potrafi tak rozpalić jej pożądania. Żadna inna forma miłości jej nie zaspokoi.

Stało się tak, jak przewidział Tengel. Sol nie mogła już dłużej usiedzieć w domu. Gnał ją niepokój.

W obu dworach wszystko układało się pomyślnie. Are wraz z innymi chłopami zajął się użytkowaniem lasu i spędzał tam całe dni. Charlotta była szczęśliwie zakochana, ale dla pewności sporządziła testament, na mocy którego wszystko dziedziczyć miał Dag. Zrobiła to na wypadek, gdyby kiedykolwiek przyszło jej do głowy wyjść za mąż. Chyba nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że jej, nieurodziwej Charlocie Meiden, dane będzie doznać takiego szczęścia... Jakże dziwne są koleje losu! Teraz jednak życie wydawało się jej wspaniałe.

Liv stopniowo wracały rumieńce. Często wybierała się z Dagiem na długie wędrówki, nigdy jednak nie odchodzili daleko od domu. Liv chciała, by wszystko toczyło się właściwym torem, tak krótko przecież była wdową. Nadal płochliwa jak łania, drżała przy każdym dotyku dłoni Daga. Jednak było z nią dużo lepiej. Wręcz niepojęte wydawały się zmiany w jej usposobieniu. O ile spokojniejsze stało się jej wejrzenie, o ile częściej się uśmiechała!

Mała Meta wesoło i swobodnie biegała między domostwem mieszkalnym a oborą, nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze w całym jej krótkim i pożałowania godnym życiu.

Sol czuła się zbędna.

Kiedy jesień wymalowała drzewa na żółto, czerwono i brązowo, poprosiła, by pozwolono jej pomieszkać jakiś czas w Oslo, „żeby pomóc Liv w urządzaniu nowego domu”, jak mówiła.

Tengel i Silje długo na ten temat rozmawiali. Znali swą córkę i w końcu wyrazili zgodę. Jak stwierdził Tengel, nie mogli jej trzymać przy sobie całe życie. Rozumieli głęboko zakorzenioną w niej potrzebę nieustannego ruchu i swobody aż do zachłyśnięcia się światem.

O dziwo, nie starali się wcale wydać jej za mąż, mimo że nietrudno było znaleźć kandydata.

Sama Sol nigdy nie podejmowała tego wątku.

Ze smutkiem w oczach spoglądał Tengel za piękną dziewczyną, mknącą konno przez oszałamiającą barwami lipową aleję. Ze smutkiem połączonym z głębokim lękiem.

Nie chciała, by ktoś jej towarzyszył. Stwierdziła, że sama chce decydować o tempie jazdy.

W drodze do Oslo wydarzyło się coś niezwykłego, co raptownie odmieniło całe jej życie.

Zatrzymała się w gospodzie, znanej z wyśmienitego jadła. Kiedy usiadła i właśnie ściągała rękawiczki, jej wzrok padł na mężczyznę przy sąsiednim stole.

154

Serce mocno zabiło jej w piersi. To nie może być prawda, chyba wzrok ją mylił. Krew zaczęła mocniej krążyć jej w żyłach, serce waliło jak młotem.

To on! pomyślała czując, że niemal traci przytomność. Książę Ciemności! Mężczyzna z wypraw na Blokksberg!

Nie, to nie może być on, nie może...

Ale tak, to on. Istnieje naprawdę! Przybył tu, do świata ludzi, by spotkać się ze mną!

Odmieniony, trochę starszy - mniej więcej w wieku Jacoba. I czuprynę miał jasną, podczas gdy włosy Szatana były czarne jak węgiel. Nie wyglądał tak demonicznie, był bardziej ludzki.

Mój Mistrz naturalnie musiał się przeistoczyć, by nie zostać rozpoznany przez ludzi, myślała podniecona. Ale i tak zdradzało go coś diabelskiego w twarzy.

Ubrany był strojnie, z przepychem, w aksamity i jedwabie.

Nareszcie ją zauważył. Jego oczy jarzyły się iskrami. Sol nie spuściła wzroku, patrzyła zuchwale, przecież się znali.

Siedział przy stole wraz z dwoma innymi mężczyznami, których widać nie mógł opuścić.

Kiedy jednak skierowali się do wyjścia, podszedł do niej.

- Zobaczymy się jeszcze, moja piękna - szepnął i pospiesznie opuścił gospodę.

Sol siedziała jak zaklęta. Nigdy nie spotkała tak urodziwego mężczyzny. Ale to był przecież władca nocy, jedyny, którego mogła pokochać.

Nigdy w życiu nie była tak przejęta. Kiedy postawiono przed nią jedzenie, ledwie co skubnęła. Miała uczucie, że całe jej ciało trawi gorączka.

Kiedy wyszła z gospody, mężczyzn nie było już widać. Sol jednak wiedziała, że ujrzy go znów. To dla niej przybył tu z Blokksberg.

155

ROZDZIAŁ XII

Niespokojna Sol przemierzała ulice Oslo w poszukiwaniu swego pana i mistrza z otchłani.

Nie starczało jej cierpliwości na spędzanie długich godzin w nowym domu Liv, chociaż urządzenie go i przystrajanie było naprawdę interesujące. Żyła nadzieją odnalezienia władcy swego serca.

Nigdy jednak go nie spotkała.

Nie spędziła jeszcze w Oslo pełnych trzech dni, kiedy już wpadła w tarapaty.

Wyszła po zakupy. Stała przy jednym z kramów z zamiarem kupienia pięknie garbowanej, zdobionej narzuty ze skóry, która doskonale pasowała na łożo w najmniejszej sypialni.

Większość mebli i drobiazgów pochodziła z Lipowej Alei, ale ciągle jeszcze w domu brakowało

różnych sprzętów. Garbarz właśnie wyłożył narzutę i Sol kiwnęła głową na znak, że ją bierze.

W tej samej chwili przez tłum przedarła się dama wysokiego rodu i chwyciła za narzutę.

- Jest moja, ja ją kupuję.

- Nie - protestowała głośno Sol. - Przecież...

Kupiec okazał się człowiekiem słabego charakteru, nie potrafiącym zająć stanowiska.

Wykonywał tylko polecenia osoby głośniej krzyczącej.

Sol wpadła w gniew tak gwałtowny, że całkiem się zapomniała. Zauważyła, że dama miała na sobie spódnicę, którą w talii przytrzymała tasiemka.

- Niechaj spadnie z ciebie spódnica, ty stara kobyło. Niech wszyscy ujrzą, że masz do pokazania jedynie zwały tłuszczu - syknęła przez zęby.

Myślała o tym tak intensywnie, że na oczach zbiegowiska rozsypały się węzły tasiemki i ciężka spódnica osunęła się na ziemię. Scena wzbudziła ogólną wesołość wszystkich obecnych.

Dama, usiłując ratować utraconą godność, wrzeszczała:

- Bierzcie ją! Chwytajcie tę czarownicę o złych oczach!

Sol nie brała tego do siebie. Była tak wzburzona, że prychała jak rozgniewana kotka i nie doceniając powagi sytuacji bez oporu dała się pojmać.

Dwóch silnych mężczyzn powiodło ją do położonej nieopodal siedziby burmistrza.

Postępował za nimi tłum.

156

Wszystko to jakby wcale nie obchodziło Sol. Ludzie - ograniczone prostaki! Ona miała dużo potężniejszego obrońcę, który posunął się do tego, że przybrał ludzką postać, by do niej przybyć.

Wprowadzono ją do wielkiej sali, w której rozmawiało kilku mężów.

Tłum musiał zostać za drzwiami. Dwaj mężczyźni, którzy ją prowadzili, skłonili się głęboko.

- Ta kobieta uprawiała czary w biały dzień na ulicy - powiedział jeden z nich. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Sol pojęła, że sam burmistrz był nieobecny, ale siedzący na sali byli jego najbliższymi współpracownikami.

Jeden z nich westchnął głośno.

- Och, dość już mam tego ciągłego marudzenia o czarownicach. To sprawa księdza, nie nasza!

- Hej, poczekaj no - powiedział drugi, mówiący z duńskim akcentem. - Już kiedyś widziałem tę kobietę! Na Boga, chyba tym razem naprawdę nam się udało!

Sol przyjrzała mu się uważnie, nie rozpoznała go jednak.

- To ta kobieta o żółtych, kocich oczach - ciągnął. - Ta, co bez śladu zniknęła z Kopenhagi po wywołaniu skandalu. Tak, moi panowie, należy jej dobrze pilnować. Ona potrafi więcej niż zwykły pacierz! Po Kopenhadze roznosiły się plotki, że umie zmusić ludzi, by pełzali po ziemi jak węże, i wiele jeszcze gorszych rzeczy! - Mężczyźni przeszły ciarki po grzbiecie. -

Nie, nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Powóz wojewody czeka gotowy do drogi. Wyślijcie ją do niego, on lepiej się na tym zna.

Tak też postanowiono. Wyznaczono człowieka do pilnowania Sol i wyprowadzono ją tylnym wyjściem.

Przeszła przez dziedziniec, zmierzając do powozu. Nareszcie zaczęła sobie zdawać sprawę, co się stało, i ogarnął ją strach. Nie o siebie, ale o rodzinę. Postanowiła, że nie zdradzi swego imienia...

Woźnica, który przygotowywał powóz, odwrócił się, chcąc zobaczyć, kogo przyjdzie mu wieźć tym razem. Był silnie zbudowanym, jasnowłosym mężczyzną, dość przystojnym, ale z wyrazem bezdennej pustki w oczach.

Sol usłyszała jego westchnienie. Spojrzała na niego raz jeszcze.

W ostatniej chwili opanowała się, by głośno nie krzyknąć.

157

Klaus! Jej pierwsza zdobycz!

Upłynęło siedem lat, ale w jego wejrzeniu mogła wyczytać, że nigdy jej nie zapomniał. No tak, zgadza się, miał przecież pracować w stajniach wojewody.

Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i wsiadła do prostego powozu. Żołnierz, który miał jej pilnować, szedł za nią. Miał ze sobą pismo, w którym na pewno znajdowało się wszystko na temat Sol.

Planowała przerwać podróż, nim dojadą do siedziby wojewody. Klaus jej w tym pomoże.

Żołnierz nie stanowił większego problemu. Trzeba tylko znaleźć odpowiednie miejsce...

Klaus wspiął się na kozioł. Powóz potoczył się przez podwórze i dalej boczną ulicą, na której nie czaił się żaden sensacyjny motłoch.

Żołnierz pochylił się ku woźnicy.

- Tym razem nam się powiodło - powiedział podniecony. - To podobno najgroźniejsza czarownica w całej Skandynawii.

- Ona? - Klaus rzucił Sol przerażone spojrzenie.

- Tak. Pójdzie prosto na męki, będą ją łamać kołem. A potem stos. Sądzę, że sam biskup będzie się przyglądał tej zabawie.

- Ależ oni nie mogą jej spalić! - Sol słyszała rozpacz w głosie Klausea.

- Rzeczywiście jest śliczna, z tym się zgadzam. Ale takie są najgorsze.

Klaus jęknął i jakby skurczył się w sobie.

Wjechali w las. Żołnierz, zanosząc się zwycięskim chichotem, przeszedł obok Sol i stanął z tyłu wozu na szeroko rozstawionych nogach.

To chyba niezłe miejsce, pomyślała Sol, przez cały czas zachowując zimną krew, jak gdyby to nie o nią chodziło.

Nieoczekiwanie wydała z siebie rozziewający krzyk. Zabrzmiało jak głos atakującego zdobycza drapieżnego ptaka. Jednocześnie z podłogi powozu podniosła zgrzebło i cisnęła w grzbiet konia tak mocno, że wbiło się ostrymi kolcami.

Koń zarżał spłoszony i mocno szarpnął do przodu. Żołnierz stracił równowagę i wypadł z odkrytego powozu. Zwierzę, dziko wierzgając, pędziło naprzód przez las. Klaus został

wyrzucony ze swego siedzenia i Sol musiała mu pomóc odzyskać kontrolę nad pojazdem.

158

- Jesteście szalona - wysapał, kiedy już wrócił na miejsce. - Jak myślicie, co powie na to wojewoda?

- A jak sądzisz, co on powie, jeżeli pozwolę się tam zawieźć? - odparła Sol szyderczo, przejmując od niego lejce. - Spali mnie żywcem, gdy tylko skończy torturować.

- Nie! Nie, tego nie wolno mu zrobić! Widziałem, co robią z czarownicami! To okropne!

- Więc dobrze, wypuść mnie tutaj. Sam możesz wracać do swojej stajni - powiedziała Sol, podnosząc pismo do wojewody, które zostało w powozie.

- Nie mogę tam wrócić bez więźnia, zrozumcie! Pojadę z wami!

- A więc pospiesz się, zanim ktoś nadejdzie!

- A koń i powóz?

- Powozu zabrać nie możemy, a konia wyprząc nie zdążymy. Nie wiem, co stało się z żołnierzem, może nadbiec w każdej chwili.

- O nie, z pewnością nie - powiedział Klaus ze smutkiem, zeskakując z kozła. - On już nigdy nie będzie biegał.

Klaus poklepał konia po grzbiecie.

- Do domu! Wracaj do domu! - zawołał do niego przyjaźnie.

Zwierzę znikło za drzewami, z łomotem ciągnąc za sobą powóz. Długo jeszcze mieli w uszach ten dźwięk.

Sami zbiegli z drogi w głąb lasu. Z początku biegli co sił w nogach po głębokich mchach wśród nagich skał, w końcu zwolnili.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała Sol, z trudem chwyając oddech. Zatrzymała się na szczycie wzgórza, wokół nich rozciągały się lasy, wszędzie lasy. Gdzieś daleko na południu lśniła woda Oslofjordu.

- Nie wiem - odparł Klaus, któremu aż świszczało w płucach. - W każdym razie na północ od twierdzy Akershus.

No tak, tyle to i ona wiedziała.

Przyglądała mu się ukradkiem. Był naiwny i bezradny. Mogła jednak zrozumieć siebie jako czternastolatkę. Pociągał ją swoją toporną budową, prostą mimiką i promieniującą wprost męskością. Uśmiechnęła się.

159

Wyglądał na bardzo zakłopotanego.

- Ciągniecie za sobą nieszczęście, panienko. Powiedzcie, chyba nie jesteście czarownicą?

- Kim chciałbyś, żebym była?

Klaus wpatrywał się w mech pod nogami.

- Moją dziewczyną - powiedział cicho.

- A więc nią jestem - odparła Sol niespodziewanie miękko. - Ale co my teraz pocniemy?

Nie tak łatwo przychodziło Klausowi układanie zawiłych planów. Czubkiem buta dłużył w mchu i nie odpowiadał.

- Nie mogę wrócić do domu, do Lipowej Alei - stwierdziła Sol. - Chociaż władze nie znają mego imienia, nie chcę narażać rodziny. Nie mogę też wrócić do Oslo. Od razu mnie złapią.

Rozpoznają mnie po oczach.

- Ja też nie mogę wrócić do stajni wojewody - powiedział Klaus. - Poza tym nie chcę. Wcale nie było mi tam dobrze.

Sol zauważyła szramy na jego policzkach, które najpewniej pochodziły od uderzeń batem.

- Jedyne miejsce, gdzie było mi dobrze, było Grastensholm - powiedział rozmarzony. -

Gdybym tylko mógł tam wrócić!

- Tego nie da się zrobić. Dużo później dowiedziałam się, że przeniesiono cię, by nas rozdzielić.

Z wysokiej sosny rozległ się krzyk kani. Sol popatrzyła w górę.

- Ale to im się nie udało - mruknęła. - Mieliśmy siebie wtedy.

Klaus westchnął na samo wspomnienie.

- Od tego czasu śniłem tylko o jednym: by przeżyć to jeszcze raz.

- Ależ, mój drogi, nie miałeś innych dziewcząt?

- Miałem, ale one nie były nic warte. Jak zdechłe krowy.

Duma Sol była mile połechtana.

- Zobaczymy, co będzie. Ale dokąd teraz pójdziemy?

Klaus wgapiał się w chmury.

160

- Myślałem...

Brawo, uśmiechnęła się w duchu, nic jednak nie powiedziała.

- Moglibyśmy pójść do mojego domu.

- Do stajni wojewody? Nie sądzę, by był to mądry pomysł.

- Nie, do domu.

No tak, Klaus też musiał skądś pochodzić. Dla niej był zawsze tylko odmieńcem, duchem, który nagle pojawił się na zaczarowanych mokradłach i teraz błąkał się wśród ludzi.

- Ale co powie na to twoja rodzina?

- Nie mam rodziny. O ile wiem, tam nikt nie mieszka.

Sol rozjaśniła się.

- Na co więc czekamy? Czy to daleko?

- Kawałek.

W istocie był to kawał, i w dodatku z hakiem. Dopiero następnego wieczora dotarli do nędznego domku, położonego wysoko na stromym zboczu. Sol koniecznie chciała wiedzieć, w jakiej części Norwegii się znajdują, ale tego sam Klaus nie wiedział. Swój dom znał tylko jako „Miejsce”. Sol dowiedziała się jedynie, że leży na północny zachód od Oslo i Lipowej Alei.

Dom trzymał się jednak całkiem dobrze, od razu zaczęli sprzątać i rozpalili ogień.

Tego wieczora spełniły się marzenia Klause. Znów leżał w ramionach Sol. Ukradkiem ocierał łzy szczęścia.

A Sol? Ona też była wzruszona. Klaus był w niej rozkochany, prostoduszny, niczego od niej nie żądał, godził się na wszystko, co robiła, a poza tym był szczerze obdarzony przez naturę. Jeżeli chodził po tej ziemi mężczyzna, który mógłby kochać Sol dla niej samej, to był

nim właśnie Klaus. Czy może jego też interesowała wyłącznie jej uroda? Nie, nie wolno jej wątpić, nie w niego!

Czasami tylko zakłula ją tęsknota za mężczyzną, którego spotkała w gospodzie, za kochankiem z marzeń, księciem podziemnego świata.

Sol była jednak głęboko przekonana, że pewnego dnia spotka go znów.

161

W domu w Lipowej Alei nikt nie wiedział, co zdarzyło się Sol. Po prostu nagle zniknęła z nowego domu. Służąca powiedziała, że wyszła po zakupy i już więcej nie wróciła.

- No cóż, Sol to Sol - rzekł Tengel z udawaną wesołością po paru dniach, w ciągu których zamartwiali się do szaleństwa. - Po prostu znów bez zastanowienia zdecydowała się wyjechać.

- Z pewnością - zgodził się Dag, który przybył akurat z wizytą wraz z matką i Jacobem Skille.

- To do niej podobne.

Nikt więcej się nie odezwał.

Liv ukradkiem przyglądała się Dagowi. Pozornie wydawało się, że zdołała wyrwać się z depresji. Jednak w jej podświadomości nadal tkwiło ogromne poczucie winy, które długo wpajali jej Laurents i jego matka.

Nieudane małżeństwo zawsze jest klęską, również dla strony, która nie zawiniła. Liv była jedną z niewielu religijnych osób w rodzinie i chociaż znów potrafiła się śmiać i uśmiechać, w głębi duszy nadal przeżywała swoje niepowodzenie.

- Brakuje mi Sol - odezwała się nieoczekiwanie - Dobrze było, kiedy mogłam dzielić z nią sypialnię. Zachowywała się tak wspaniale, kiedy miałam złe sny. Czasami pocieszała mnie, tak jak matka pociesza dziecko, czasami łajała mnie za to, że jestem głupia i wierzę we wszystkie złośliwe kłamstwa. Teraz nie mam u kogo szukać pocieszenia. Czasami chciałabym umrzeć.

Cała rodzina wpatrywała się w nią zdumiona.

- Miewasz złe sny? - spytała Silje zatroskana.

Wydawało się, że Liv rozmawiała sama ze sobą. Teraz nagle oprzytomniała.

- Co? Tak, mam. Potem nie mogę już zasnąć, bo nie ma Sol.

- Tak przecież być nie może! - wykrzyknęła Charlotta wzburzona. - Kochana Liv, wybacz, że wtrącam się w twe osobiste sprawy, ale wiem, że Dag niczego nie pragnie bardziej, niż pojąć cię za żonę. Dlaczego nie miałyby to nastąpić teraz?

- Teraz? - Liv otworzyła szeroko oczy. - Jeszcze za wcześnie!

- Ale ty tak bardzo potrzebujesz kogoś, kto by się tobą zajął.

Liv spuściła wzrok.

- Albo kogoś, kim ja mogłabym się zająć - dodała nieśmiało. - Tak, bym mogła zapomnieć o sobie.

162

- Bardzo chciałabym, żebyś zajęła się mną - uśmiechnął się Dag.

- Ale czy naprawdę tak można? - wtrąciła się Silje, najbardziej z nich wszystkich dbająca o konwenanse. - Chodzi mi o to, czy ludzie nie będą na nas krzywo patrzeć? Od śmierci Laurentsa upłynęło dopiero kilka miesięcy.

Charlotta włożyła całą swą duszę w przekonywanie rodziny.

- Gadanie i plotki nigdy zbytnio mnie nie pociągały. Ale tym razem zajmę się tym gorliwie.

Zaleję sąsiadów i znajomych potokiem opowieści o złym Laurentsie i jego niedobrej matce.

Zdziwieni i wstrząśnięci, będą uważać się nad losem Liv. Tak zresztą powinno być! Opowiem im o jej nocnych koszmarach i o tym, jak mocno kocha ją Dag.

- Niektórzy i tak będą gadać, ale większość jakoś to przyjmie. Ale ksiądz... - zastanowiła się Silje.

- Z księdzem jestem w dobrych stosunkach - odparła Charlotta. - Od czasu gdy podarowałam kościołowi te piękne świeczniki. Niech tylko odważy się protestować? Zabiorę je z powrotem.

- Mamo, jesteś wspaniała - uśmiechnął się Dag.

- Nie będziemy wyprawiać dużego wesela - orzekła Silje.

- Czy musicie wszystko ustalać za mnie? - szepnęła Liv z rozpaczą. - Już nigdy nie będę mogła wyjść za mąż. Jestem bezwartościowa, do niczego się nie nadaję i nie jestem godna niczyjej miłości. Nie mogę nawet mieć dzieci.

- Cicho, cicho - uspokajał ją Tengel. - O tym ostatnim nic nie wiesz. Równie dobrze wina mogła być po stronie Laurentsa.

- Wiesz dobrze, że nikt z nas nie uważa cię za nic nie wartą i do niczego nie przydatną -

podjął Dag.

- Nie ma drugiej osoby, która byłaby tak wszechstronna jak ty, Liv - powiedziała Charlotta. -

Doskonale zajmujesz się domem, masz artystyczne uzdolnienia, jesteś inteligentna i świetna w rachunkach.

- I tyle masz w sobie miłości do wszystkiego, co żyje - dokończył Tengel. - Zawsze niosłaś ze sobą tyle słońca! Liv, to my wpędziliśmy cię w to okropne małżeństwo. Czy możesz nam wybaczyć?

Liv patrzyła na nich oczami pełnymi smutku.

- Wszystko mi jedno, co mówicie. Ja po prostu nie mogę wyjść za mąż - powtórzyła z uporem.

163

Dag zasmucił się.

- Nie chcesz mnie, Liv? Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Doprowadzona do ostateczności wybuchnęła płaczem.

- Nie ma chyba nic na świecie... czego bym bardziej pragnęła... Ale on... mnie zabił. Zabił we mnie... wszystko.

Dag objął ją.

- Chodź, Liv - powiedział łagodnie. Odwrócił się do pozostałych. - Chciałbym porozmawiać z Liv na osobności.

Pokiwali głowami.

Liv i Dag przeszli do sąsiedniego pokoju.

- Sol opowiedziała mi, co zrobił z tobą Laurents. Zniszczył twą zdolność odwzajemniania zmysłowej miłości. Przyjmuję to, Liv. Przyjmuję, że być może będziesz się temu sprzeciwiać albo pozostaniesz całkowicie obojętna.

Nadal była niezmiernie poruszona.

- Ale to nie w porządku wobec ciebie, Dag.

Uśmiechnął się czule.

- Powiedzmy, że potraktuję to jako wyzwanie. Wiem, ile masz w sobie ciepła i żaru. Daj mi szansę, Liv, pozwól znów wyciągnąć na powierzchnię skarby twojego ducha i ciała. Wierzę, że nam się to uda, nawet jeśli miałyby potrwać wiele lat.

Roześmiała się przez łzy i przytuliła czoło do jego policzka.

- Nie mam już sił zostawać dłużej sam na sam z myślami. Bezgranicznie potrzebuję twojej bliskości.

- To właśnie wszyscy od dłuższego czasu próbujemy ci wytłumaczyć.

- Ale nie mogę być przecież taką egoistką! A jeśli nigdy nie będę taka jak dawniej?

- Liv, posłuchaj mnie...

W bawialni Silje westchnęła.

- Jestem bliska obłądu. Dlaczego obydwu naszym dziewczynkom tak źle układa się życie?

Dlaczego nie znajduję rady?

164

Are wziął głęboki oddech i gwałtownie wstał.

- Jutro pojedę do Oslo i spróbuję odszukać Sol.

- Nie, ty nie - zaprzeczył Tengel. - Potrzebny jesteś tutaj. Właśnie miałem powiedzieć to samo. Ja pojedę.

Trzymając się za ręce weszli Liv i Dag.

- Spróbujemy! - powiedział Dag.

Liv nie odezwała się ani słowem, ale ku radości wszystkich w jej oczach zapaliło się małe, nieśmiałe światełko.

Tengel nie natrafił na najmniejszy nawet ślad Sol. Dopiero przypadkiem usłyszał o czarownicy o kocich oczach, o tym, jak uciekła podczas podróży, która powinna być ostatnią w jej grzesznym życiu, prowadząc prosto na stos.

W Tengelu aż wrzało, lecz przezornie nie rozpytywał za wiele. Wiadomo było, że czarownicy udało się zbiec i od tej chwili jakby zapadła się pod ziemię. Tyle musiało mu wystarczyć.

Nie były to zbyt szczegółowe informacje, ale kogóż innego mogły dotyczyć, jeśli nie Sol.

Tengel z całego serca życzył jej powodzenia.

Wrócił do domu, do trosk, które i tam nie dawały mu spokoju.

Kłopoty miał przede wszystkim Dag. Nie wiodło mu się w handlu drewnem. Gorzko zawiódł się na wszystkim i wszystkich.

Chciał tak dobrze, zaoferował świetne warunki i pracownikom, i dostawcom drewna. Cóż jednak się stało? Inni chłopci, dowiedziawszy się o tym, zaczęli masowo zjeżdżać z ładunkami drewna, by otrzymać za nie przyzwoitą cenę. Nie mógł ich wszystkich przyjąć, musieli więc zwrócić się do swych dawnych kupców, którzy sprzysięgli się przeciw Dagowi.

Tłoczyli się pracownicy, by zdobyć u niego zatrudnienie, władze nie chciały słuchać tego, co mówił o zbyt wysokich podatkach.

Młody Dag boleśnie odczuł na własnej skórze, że niełatwo jest zrobić coś dla maluczkich.

W domu, w Lipowej Alei, Meta chodziła za Arem jak wierny psiak. Towarzyszyła mu w jesiennej orce, przy cieleniu, grabiła razem z nim liście na podwórzu z takim zapalem, jakby to były cenne kurczęta.

Are często kwitował westchnieniem tę nieustanną gotowość do współpracy. Nigdy jednak na nią nie krzyczał.

165

* * *

Przez pewien czas Sol bardzo bawiło mieszkanie w prymitywnym domu Klausowi. Niewiele mieli ze sobą wspólnego oprócz nocy, ale Sol cieszyło porządkowanie starych rupieci i uprzyjemnianie życia Klausowi.

W ciągu dnia chłopak wychodził łowić ryby i zbierać zmarznięte borówki. Nie bardzo mieli z czego żyć, ale jakoś dawali sobie radę.

Sol wiedziała jednak, że nie potrwa to długo. Klaus był teraz szczęśliwy, ale wkrótce nieuchronnie pojawi się żal i troska o przyszłość. Sol też nie należała do najcierpliwszych.

Niedługo niepokój pogna ją znów. Właściwie z Klausem już skończyła, nic więcej nie miał jej do zaoferowania, ale jakaś czułość dla niego nie pozwalała jej odejść.

Doszło do tego jeszcze jedno zmartwienie. Kiedy po raz pierwszy ujrzała Klause nagiego, przeraziła się. Ileż razy musiał przetrzymać ten chłopak! Najgorzej wyglądała brzydka, jątrząca się rana na udzie. Skóra wokół niej była zaczerwieniona i opuchnięta. Powiedział, że to od uderzeń bata. Musiał rozebrać się i w najbardziej poniżający sposób ponieść karę za to, że dał choremu koniowi za dużo paszy. Nie miało znaczenia, że koń wyzdrowiał.

Najważniejsza była oszczędność.

Sol opatrzyła nogę najlepiej jak umiała. Rana była jednak głęboka, ciągle sączyła się z niej ropa. Zapasy Sol, ta resztkę leków jakie miała ze sobą, były na wyczerpaniu.

Pewnego dnia Klaus nie miał siły wstać. Płonął od gorączki, a noga była tak spuchnięta, że nie mógł jej zgiąć;

Ze wszystkiego, co jej pozostało, Sol przyrządziła prawdziwie czarodziejski wywar. Ulżyła mu trochę, ale nie wyleczyła całkiem choroby.

Spadł śnieg.

Kiedy rano wyjrzała z domu, ziemia pokryta była puchem tak białym, że niemal ją oślepiło.

Żywność skończyła się dwa dni wcześniej. Myślała, że zostawi Klause na parę godzin i pójdzie łowić ryby w jeziorze, ale musiała z tego zrezygnować.

Klaus był prawie nieprzytomny.

Długo patrzyła na niego zamyślona.

Miała jeszcze mikstury, które zakończyłyby jego cierpienia i całe pożałowania godne życie.

Nic już dla niej nie znaczył, nigdy nie był nikim więcej jak towarzyszem cielesnych igraszek.

A nawet w tym nie miał aż tak wielkiego znaczenia, jako że tak naprawdę był tylko jeden, który mógł obudzić jej żądze...

Przez jakiś czas jednak był zabawny - dziki i prymitywny, silny, i kochał ją. To na krótką metę

wystarczało Sol.

Był też bezbronną, niewinną istotą w tym bezlitosnym świecie.

Uniósłszy głowę, rozejrzała się po izbie, w której było niewiele więcej niż cztery ściany i sufit.

Mężczyzna z gospody... Dlaczego nie przybywa?

Nie, skąd mógł wiedzieć, że ona jest tutaj, na tym pustkowiu? Może gdzieś czeka na nią niecierpliwie?

Ale jeżeli to naprawdę Księżę Otchłani, który przybył na ziemię, by się z nią spotkać, musiał wiedzieć, gdzie ona jest! To przecież jasne!

Dlaczego więc nie przychodzi?

W oczach Sol pojawił się cień niepokoju. Co ona tu robi z tym żalonym Klausem? Dlaczego nie pójdzie w świat? Wyjęła woreczek z resztkami ziół i długo patrzyła raz na woreczek, raz na jęczącego chorego Klausa.

Wkrótce schodziła po zboczu góry, kierując się do ludzkich siedzib.

Nie była sama.

Ścieżka opadała w dół prawie pionowo. Drzewa rosły tu z rzadka, z trudem trzymając się ziemi przypominającymi szpony korzeniami.

Z braku sanek Sol przewróciła do góry nogami dość szeroką ławę i ułożyła na niej Klausa.

Ciągnęła teraz te prymitywne sanki z nieruchomą, nie dającą oznak życia postacią w kierunku stromizny.

Nie podała mu niczego, co przyspieszyłoby jego śmierć. To było zbędne, wszystko i tak niechybnie zmierzało w tę stronę. Nie chciała jednak zostawić go tam na górze. Nawet jeżeli miałyby to być jego ostatnia droga, zasłużył sobie przynajmniej na chrześcijański pogrzeb.

Wiedziała, że żarliwie wierzył w Boga.

Nadal nie była pewna, czy wiezie go do grobu, czy jeszcze nie.

Wyglądał przerażająco. Jad rozlał się po całym ciele, tylko twarz pozostawała gładka i piękna. Głupkowaty zwykle wyraz twarzy miał w sobie teraz niemal coś anielskiego. Sol przyszedł na myśl fragment Biblii:

„Błogosławieni niech będą prości, oni bowiem ujrzą Boga.”

Albo coś w tym rodzaju; cytaty z Biblii nigdy nie były jej mocną stroną.

167

Pragnęła tylko jednego - dowieźć Klausa do Tengela, zanim będzie za późno. Tengel posiadał leki silniejsze od tych, które ona miała przy sobie, gdy ją pojmano.

Lipowa Aleja! Poczowała ukłucie w sercu. Dlaczego nie mogła tam osiąść? Co gnało ją ciągle dalej i dalej? Nigdy już nie będzie mogła tam zamieszkać. Nie miała do tego prawa, jej rodzina musi żyć w spokoju.

Męczyła się, szarpiąc „sanie”, ściągając je w dół tak, by Klaus jak najmniej ucierpiał.

Odpychała się nogami i ześlizgiwała na piętach, przeklinając drzewa i kamienie które stawały jej na drodze.

W pewnym momencie łąwa się wywróciła i Klaus wypadł. Leżał odwrócony twarzą do śniegu.

- Dlaczego nie możesz uleżeć na swoim miejscu, ty piekielna niezdaro - mruknęła, mozolnie ciągnąc go za ręce i nogi, aż na powrót położyła go na ławie. - Leż spokojnie, gamoniu...

Wędrówka trwała. Chwilami posuwali się tylko o krok naprzód, chwilami tak szybko, że Sol nie nadążała za łąwą. Gdy dotarli do kolejnego bardzo stromego odcinka, Sol usiadła na ławie, trzymając Klausa w objęciach. Zjechali szybko w dół, aż śnieg tryskał jej w twarz, ale na samym końcu obydwójce wpadli w zaspę i znów Sol musiała solidnie się namęczyć.

Klaus był cały czas nieprzytomny, może już nie żył.

Makabryczna jest ta jego ostatnia podróż, myślała z goryczą, kolejny raz wciągając go na ławę. Ścieżkę zgubiła już dawno, teraz po prostu kierowała się w dół.

Znaleźli się wreszcie w miejscu, którego nie dało się uniknąć. Tu zaczynała się największa stromizna.

Sama mogła poradzić sobie z zejściem, czepiając się korzeni kolejnych drzew. Ale sanki?

Długo stała powątpiewając.

W końcu zdecydowała - wóz albo przewóz. W każdym razie on znajdzie się na dole, pomyślała. Leciutka pchnęła łąwę, która od razu zaczęła ześlizgiwać się po śniegu i lodzie.

Jeżeli tylko będzie zjeżdżać prosto w dół, to może się uda, myślała. Ale jeżeli obróci się w poprzek...

Ława pędziła w dół. Sol, nie zdając sobie z tego sprawy, stała mocno zaciskając pięści.

Leż na miejscu! błagała w myślach. Leż na miejscu, inaczej potoczysz się po śniegu i być może już

cię nie odnajdę.

168

Wypadł. Ale stało się to już na bardziej płaskim terenie, łatwo mogła tam dotrzeć. Ława zjechała kawałek dalej, aż zatrzymała się na jednym z drzew.

- Hura! - zawołała Sol z góry, podnosząc ręce w triumfalnym geście. - Udało nam się zejść, Klausie! Może nie najbardziej stylowo, ale zeszliśmy!

O zmroku znalazła się już niedaleko domu, w którym nie była od tak dawna. Wiedziała jednak, że nie zdąży tam przed nocą. Zaczęło się robić bardzo zimno.

Zabrała ze sobą sznur, by ciągnąć ławę. Był jednak stary i często się rwał. Teraz już nie mógł być krótszy, bo składał się niemal wyłącznie z węzłów.

Chwilami popychała swój ładunek. Była już bardzo wycieńczona, dawał się jej we znaki głód; od kilku dni nic nie jadła.

Klaus w ogóle się nie poruszał. Owinęła go tak starannie, że nie mogła dojrzeć jego twarzy.

Nie chciała też jej oglądać.

Sol wyprostowała się. Wiedziała, gdzie jest.

Długo stała w miejscu. Jeżeli mieli przeżyć, musieli znaleźć jakieś schronienie, i to jak najszybciej. Ale kto zechce ich przyjąć? Jak daleko rozniosła się wieść o czarownicy o żółtych oczach? Mogli sprowadzić na siebie nieszczęście.

Nagle jej oczy rozbłysły. Był ktoś, kto udzieli jej pomocy i z pewnością jej nie wyda. Czy zdobędzie się na to? Czy wejdzie prosto w paszczę lwa?

Ciarki przeszły jej po plecach. Wiedziała, gdzie on mieszka. Człowiek, z którym nikt nie rozmawia, przed którym wszyscy uciekają, który nie ma żadnych przyjaciół.

Nie było do niego daleko.

Pewnego wieczoru przybył do Lipowej Alei. Stał w cieniu do chwili, gdy wszyscy pacjenci Tengela otrzymali pomoc i opuścili dwór.

Dopiero wtedy się ukazał. Ciemna, ponura sylwetka w skórzanej kapturze.

Kat.

Zranił się w rękę, Tengel i Sol pielęgowali ranę. Następnego wieczoru wrócił, i jeszcze następnego. Płonącymi oczami wpatrywał się w Sol, gdy zmieniała mu opatrunek. Kiedy ona spojrzała na niego, spuścił wzrok.

Nigdy więcej nie przyszedł.

169

Kat... On najprędzej powinien na nią donieść. Byłaby wtedy jego zdobyczą.

Sol jednak sądziła, że tego nie zrobi. Była pewna, że da sobie z nim radę.

Z głębokim westchnieniem znów chwyciła za nogi ławy i mocno zaczęła ją pchać przed sobą.

170

ROZDZIAŁ XIII

Odnalazła chatę ukrytą głęboko w lesie. W pobliżu nie było innych zagród.

Zapukała zdrętwiałymi z zimna palcami.

- Otwórzcie, mistrzu! - zawołała. - To ja, Sol, przybrana córka Tengela, która kiedyś leczyła twoją ranę. Teraz znalazłam się w potrzebie. Mój przyjaciel jest ranny, nie mamy gdzie nocować. Czy możemy wejść?

Długo musiała czekać, nim drzwi uchyliły się lekko. Płonąca smolna szczapa oświetliła twarz Sol, całkiem ją przy tym oślepiając.

- Czy możesz mi pomóc? Mój przyjaciel leży tam, na sankach. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

Olbrzymi mężczyzna bez słowa chwycił Klausa i wciągnął go do wewnątrz. Ułożył go na podłodze i zamknął drzwi.

- Czy to twój ukochany? - spytał zachrypniętym głosem.

- Ukochany? - powtórzyła Sol. - Nigdy kogoś takiego nie miałam, to nie dla mnie. To drogi przyjaciel, wiele dla mnie poświęcił. Chcę w zamian coś dla niego zrobić.

Kat pokiwał głową. Miał surową, zastygłą twarz o ciemnych, świdrujących oczach. Jak zawsze był w kapturze, spadającym aż na plecy i zakrywającym większą część oblicza.

Odziany był w szeroką, spiętą pasem koszulę i obcisłe spodnie. Nie był ani młody, ani stary, jakby istniał od początku świata i nigdy się nie zmieniał.

Ułożyli Klausa niedaleko ognia, by odtajał, a kat wystawił chleb i piwo dla Sol.

Posilali się przez chwilę, wreszcie Sol przerwała milczenie.

- Ile o mnie wiecie, mistrzu?

Odpowiedział, nie patrząc na nią.

- Więcej niż inni. Wiem, kim jest czarownica o kocich oczach, której szukają władze. Nie zdradziłem jednak twojego imienia.

- Dziękuję - powiedziała Sol.

- Twój przybrany ojciec to szlachetny człowiek. Pomogliście mi kiedyś, nie odrzuciliście, nie usłyszałem słów pogardy.

Więcej nic już nie powiedział.

171

W milczeniu przygotowali posłanie dla Klause. Kołatała w nim jeszcze resztkę życia. Kat wskazał jej łóżko w maleńkiej izbie, jedyne, jakie znajdowało się w chacie. Sol wsunęła się pod okrycie, pólżywa ze zmęczenia, z obolałymi członkami.

Mistrz przyszedł do niej. Przyjęła go obojętnie. Parokrotnie w ciągu nocy czuła, że ją bierze, ale była zbyt zmęczona, by protestować. Unosiły się nad nim męskie wonie, ale nie budziły jej odrazy. Pozwalała mu. Był samotnym człowiekiem i pomógł jej. Niech to będzie zapłata.

Dostała od mistrza sanki, na których mogła wieźć Klause. On otrzymał w zamian zupełnie dobrą ławę. Odprowadził ją ciągnąc sanki tak daleko, jak tylko się dało. Nie zostało powiedziane nic poza tym, co absolutnie konieczne.

Pożegnali się kilkoma prostymi słowami.

- Dziękuję - powiedziała Sol.

- To ja dziękuję - odparł.

Długo stał, patrząc w ślad za nimi.

Było ciemno, gdy szła wzdłuż lipowej alei do domu Tengela i Silje.

Napotkała nieoczekiwane trudności. W ciągu dnia śnieg, który tu, na nizinie, nie był tak głęboki, stopniał. Musiała ciągnąć sanki po trawie, piasku i kamieniach. Za każdym razem, gdy płozy trafiały na przeszkodę, serce zamierało jej ze strachu.

Klaus nadal leżał nieruchomo, trupio blady.

W całym domu było ciemno, wyglądał na opustoszały. Ale też i było już późno.

Najpierw spróbowała zapukać w okno Liv, do jej własnej dawnej sypialni. Liv jednak nie odpowiadała.

Zaniepokoiła się. Co mogło się stać, podczas gdy jej nie było? A jeżeli...?

Stukanie w okno Arego odniosło skutek. Wpuścił ją do sieni.

- Sol! - szepnął młodszy brat. - To naprawdę ty?

- Tak, kochany Are, jak dobrze znów cię widzieć! Czy możesz sprowadzić Tengela? Mam ze sobą chorego. Jeżeli ci się uda, nie budź Silje.

Wkrótce w słabo oświetlonej sieni stanął na wpół ubrany Tengel.

- Sol! Najdroższe dziecko! Witaj!

172

Uściskał ją. Opowiedziała o Klausie.

Mężczyźni szybko wyciągnęli go z sań i wnieśli do domu.

- Na Boga! - powiedział Tengel swym spokojnym głosem za którym tak bardzo tęskniła, - To nie wygląda dobrze!

- Czy on żyje?

- Jeszcze nie wiem. Zaraz się nim zajmę. Idź się położyć, wyglądasz na straszliwie wyczerpaną.

- Bo jestem. Ale nie mogę odpoczywać teraz, kiedy nareszcie dobrnęłam do domu.

Ze schodów, człapiąc, zeszła Silje. Wymieniły uściski, uroniły łzy.

- Czy dużo będzie znaczyć dla ciebie, jeśli ten mężczyzna przeżyje? - zapytał Tengel.

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie tak, jak myślisz. Ale to ważne. Był dla mnie dobry. I wiele wycierpiał od złych ludzi.

- Zrobię, co tylko będę mógł. W tym przypadku naprawdę muszę wyżyć wszystkie siły.

Silje przyjrzała się twarzy Klausa.

- Mój Boże! Przecież to parobek, który wiele lat temu służył w Grastensholm!

- Tak - odpowiedziała Sol. - Chcieliście nas rozdzielić. Ale życie toczy się własnymi drogami.

Silje nie pytała o nic więcej. Nie śmiała...

Sol dostała jedzenie w przytulnej, zacisznej kuchni. Silje i Are wypytywali ją o wszystko.

Tengel został sam z Klausem w pomieszczeniu, gdzie zwykle zajmował się chorymi.

Silje chciała wiedzieć dokładnie, gdzie podziewała się Sol. Nie otrzymała jednak szczegółowych wyjaśnień. Sol umiejętnie zmieniała temat.

- Gdzie jest Liv?

- Nie wiesz? No, oczywiście, że nie. Liv i Dag pobrali się, mieszkają teraz w Grastensholm!

- Naprawdę? Bardzo szybko poszło. Ale to najlepsze, co mogło się stać.

- To jedyna szansa dla Liv. Była bliska załamania. Ten podły Laurents pozbawił ją całej wiary w siebie. Dzięki Bogu, że umarł... Och, nie, nie chciałam tego powiedzieć.

173

A więc nie żyłam na próżno, pomyślała Sol, głośno zaś powiedziała:

- A jak miewa się Liv?

- Z każdym dniem lepiej. Myślę, że zaczyna sobie dawać radę z... no wiesz...

- Chodzi ci o to, że nie czuła nic, kochając się z mężczyznami?

Silje była wzburzona.

- Ależ, Sol!

- Kochana Silje, przecież to ty mi wszystko powiedziałaś! Czasami zastanawiam się, czy twoich dzieci nie przyniósł bocian?

- Zareagowałam tak, ponieważ powiedziałaś „z mężczyznami”. Nasza kochana Liv? Ale ty jesteś przecież zmęczona, kochanie. Musisz się teraz wyspać.

- Chętnie. Ale potem znów muszę wyruszyć.

- Ależ, kochane dziecko, nie zostaniesz z nami?

Sol, słysząc te pełne troski słowa, poczuła wzruszenie. Pragnę, by z nimi została!

- Nie. Prędzej czy później któremuś z pacjentów Tengela ktoś zada pytanie o czarownicę z kocimi oczami i wy będziecie mieć kłopoty. Mam przyjaciół, Silje, dam sobie radę.

Tengel, który właśnie wszedł, usłyszał jej ostatnie słowa.

- Ludzie wójta już tu byli, Sol. Powiedzieliśmy, zgodnie z prawdą, że nie widzieliśmy cię od dawna.

- Muszę więc jechać już dziś w nocy.

Tengel potrząsnął głową.

- Połóż się i śpij; śpij tyle, ile potrzebujesz. Nikt nie pojma cię w moim domu.

Nie protestowała już więcej, z wdzięcznością przyjmując ich troskę.

Sol spała całą noc i większą część następnego dnia. Po południu spotkała się z Liv i Dagiem, którzy wraz z Charlottą i Jacobem przybyli z Grastensholm. Dzień jej powrotu do domu zamienił się w święto.

Sol gładziła Liv po policzku.

- Chyba zawsze się będę spóźniać na twoje śluby. Już dwa mi przeszły koło nosa!

174

Mała Meta wprost promieniała radością na jej widok.

Charlotta i Jacob planowali małżeństwo. Sol bardzo się tym radowała. Dag również; wiedział, jak bardzo samotna była matka i jak samotna może być, jeśli on przyjmie proponowane mu stanowisko asesora w Akershus. Jacob starał się o zwolnienie ze służby, by móc zająć się Grastensholm. Doskonale radził sobie na gospodarstwie. Sol spędziła z rodziną niezapomniany wieczór. Klaus ciągle jeszcze żył. Nadal był nieprzytomny, ale jego stan przynajmniej się nie pogarszał. Sol zwróciła się do Charlotty.

- Jeżeli wyzdrowieje... Czy będzie mógł u was pracować? Tak ciepło wspominał krótki czas, jaki spędził w Grastensholm, jedynym miejscu, gdzie zetknął się z ludzką życzliwością.

- Oczywiście, że tak, prawda?

Zarówno Dag, jak i Jacob wyrazili zgodę.

- Czy on nie jest także poszukiwany? - zapytała Liv. - Opowiadałaś, że pomógł ci zbiec.

- Myślę, że za bardzo go nie szukają. Musi gdzieś przecież mieszkać, a u wojewody tyle wycierpiał. Na wszelki wypadek może się ukryć, gdyby pojawili się żołnierze.

To był rozsądny pomysł.

- Czy nie możesz zostać do Świąt, Sol? - prosiła Silje.

Sol tylko potrząsnęła głową. Wszyscy wiedzieli, że to niewykonalne.

Raniutko następnego ranka Tengel, tak jak postanowiono, obudził Sol. Usiedli w kuchni.

Musiała zjeść ostatni przed podróżą posiłek.

- Dokąd zamierzasz się udać? - zapytał cicho.

- Do Finów. To ludzie nam podobni, ojcie. Wśród nich będę bezpieczna.

Ale jak długo? pomyślał z goryczą. Twoja niespokojna natura znów pogna cię w świat.

- Czego właściwie szukasz, Sol?

- Nie wiedziałam tego przedtem, ale teraz już wiem. Jest pewien mężczyzna... Widziałam go jeden jedyny raz. Ma w sobie jakąś cząstkę mnie. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Sądzisz, że twoje poszukiwania ustaną z chwilą, gdy go spotkasz?

- Tak.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Nagle Sol ciężko westchnęła.

175

- Co się dzieje? - zapytał.

Drgnęła.

- Zaczynam tracić kontrolę, ojcie.

Tengel usiadł obok niej na ławie i przytulił mocno. - O co ci chodzi?

- Przedtem wszystko było takie zabawne. Miałam w sobie tyle radości. Robiłam dokładnie to, na co miałam ochotę. Nadal tak jest, ale teraz mam wrażenie, że wpadłam w grząskie bagno.

- Tak już jest - powiedział tkliwie. - Nikt nie może żyć dokładnie tak, jak by chciał.

Popatrzyła na niego.

- Dlaczego nie ma nikogo takiego jak ty, dla mnie, w moim wieku?

- Nawet gdyby znalazł się ktoś taki, niewiele by ci to pomogło, dziecko. Jesteś zbyt ciężko dotknięta.

- Tak - szepnęła. - Tak. Jestem rozdwojona.

- Widziałem ludzi z naszego rodu, schwytych w sidła własnego zła - powiedział Tengel z ogromnym smutkiem. - Ty wpadłaś w sidła swej podwójnej natury. Nie widzisz tego sama, Sol, ale zewnątrz bardzo się zmieniłaś.

- Jak to? - zapytała szybko.

- Jesteś równie piękna jak kiedyś. Ale twoje oczy są dzikie, jak zaczarowane.

Wyprostowała się.

- Pozostaje mi tylko jedno: odnaleźć tego człowieka. On jeden może nade mną zapanować.

- Skąd to wiesz?

- Ponieważ... - Nie, nie może mu powiedzieć o swoich wyprawach na Blokksberg.

Posunęłaby się za daleko. - Po prostu wiem.

- Jedź do Finów, Sol! A jeżeli tam ci się nie powiedzie, spróbuj w Szwecji. Tam cię nie znają.

- Tak, ale jak długo? Wkrótce diabeł we mnie znów się odezwie i pošle kogoś do piekła. Albo do nieba, jeśli tak mu sędzone.

Tengel potrząsnął nią delikatnie.

176

- Z tym musisz skończyć, Sol! Staraj się opanować. Spróbuj najpierw pomyśleć!

- Właśnie o to chodzi, że straciłam kontrolę. Zobojętniałam. Zatraciłam się, ojczu, bardziej niż przypuszczasz.

Uśmiechnął się do niej.

- I mimo to przyjeżdżasz do domu z biednymi nieszczęśnikami, którym chcesz pomóc? Nie rozumiem, co się w tobie dzieje, Sol. Gdybym tylko potrafił ci pomóc... Obiecuj mi jedno: że wrócisz do domu, kiedy ludzie zapomną i będziesz bezpieczna, kiedy osiągniesz spokój duszy.

- Obiecuję. I... potrzebuję pieniędzy, ojczu.

Obydwoje poczuli ulgę, że rozmowa zesłała na sprawy bardziej przyziemne.

- Dostaniesz.

Pogoda się zmieniła. Kiedy konno wyruszyła z domu, powietrze stało się łagodne, było prawie ciepło. Skierowała się na wschód, ku Solor. Podróż obliczyła na trzy dni. Nie miała pojęcia, jak dotrzeć do Finów, mieszkających w głębokich lasach. Przypuszczała, że się dopyta o drogę. Jeżeli będzie kogo...

Kiedy minęła obrzeża Oslo i zaczęła posuwać się w górę rzeki Glommy, poczuła się bezpieczniej. Tu raczej nie dotarły wieści o niej.

Drugiego dnia wieczorem odważyła się wstąpić do gospody. Przenocowała tam i zjadła śniadanie.

Inaczej niż w ostatnich miesiącach, kiedy to chodziła głównie w łachmanach, teraz znów była ubrana wytwornie. Kiedy chciała, naprawdę potrafiła wyglądać jak dama.

Pomimo że jechała sama - dość niezwykle jak na damę - gospodarz przyjął ją jak należy i uraczył wybornym śniadaniem. Po wypiciu kwaterki wina jaśniej spojrzała na życie. Zaczęła odzyskiwać pewność siebie.

Mimo wszystko świat ją pociągał. Czekają ją mnóstwo interesujących przygód.

Nagle zerwała się od stołu i wyrzała przez drzwi.

Przed gospodą zatrzymał się jeździec, właśnie zsiadł z konia. Uwiązał go i sprawdził, czy wszystko jest w porządku, a następnie skierował się ku gospodzie.

To był on! Mężczyzna, którego szukała tak długo. A więc Księżę Ciemności znów się zmaterializował, by ją spotkać? Zawsze w gospodzie! Dlaczego wcześniej nie wstąpiła do jakiejś gospody, uniknęłaby tego nieznośnego czekania.

177

Tym razem nie był tak elegancko ubrany, ale mimo to wyglądał wspaniale w długich butach, szerokim koronkowym kołnierzu i sznurowanej kamizelce z łosiej skóry. Miał gołą głowę, piękne włosy widać było w pełnej krasie.

Przebrany! Szatan przecież jest czarny jak noc. Ale i tu go poznała! Poznała bohatera swoich marzeń. Rysy twarzy, ten diabelski błysk w oku! Nie, nie mogła się mylić.

Wszedł do środka, ale Sol nie spojrzała więcej w jego kierunku. Udawała, że bardzo zajmuje ją szklanka wina. Przypatrywała się złocistemu płynowi, obserwując załamujące się w nim promienie światła.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła cień padający na stół przy którym siedziała.

- Wiedziałem, że jeszcze się spotkamy - zabrzmiał niski, wiele obiecujący głos.

Sol, zmieszana, uniosła wzrok. Z początku udawała, że nic nie rozumie, wkrótce jednak zaczęła się uśmiechać.

- Tak, czy myśmy się już gdzieś nie widzieli?

Uczynił dłonią pytający gest, wskazując na krzesło naprzeciw niej. Łaskawie skinęła głową.

Podszedł gospodarz, przybysz zamówił jedzenie i wino, nawet przez chwilę nie spuszczał oczu z Sol.

Kiedy zostali sami, zapytał:

- Jak się nazywacie, moja piękna pani? Albo nie, nie mówcie! Od czasu gdy was poprzednio ujrzałem, myślałem o was jako o bogini księżyca. Pozwólcie mi tak się do was zwracać!

Sol wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. To przecież zupełnie szaleństwo! Bogini księżycy!

Ona, która nosiła imię Sol!

- A wy - powiedziała drwiąco - wydajecie mi się, tu na ziemi, przebrany błędnym rycerzem, chociaż właściwie należycie do innego świata.

- Nie, nie jestem przecież archaniołem!

- Wcale nie o to mi chodziło.

Jak zabawnie porozumiewać się sekretnym szyfrem!

Sol czuła się ożywiona i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Nareszcie, nareszcie znalazła kogoś takiego samego jak ona. Wiedziała, że on potrafi dać jej wszystko, czego potrzeba kobiecie.

178

- Wiem, kim jesteście, pani - odezwał się. - Nie znam waszego imienia, ale nazywają was czarownicą o kocich oczach. Uspokójcie się; wiem, że was ścigają, ale nie mam żadnego interesu, by was wydać. Macie też jeszcze jedno przezwisko.

- O, to coś nowego!

- Nazywają was modliszką.

- Modliszką? Fuj! Dlaczego?

- Ludzie wyobrażają sobie, że jesteście oszalała na punkcie mężczyzn i że po uściskach zabijacie swych kochanków.

Sol poczuła się głęboko urażona.

- To nieprawda! To w ogóle nie jest prawda! Po pierwsze, miałam niewielu mężczyzn; żyją obydwoj, znaczy cała trójka - w ostatniej chwili przypomniała sobie kata - i cieszą się dobrym zdrowiem. Nie obchodzą mnie zwykli śmiertelnicy!

Jej gniew wzbudził jego wesołość.

Zapytał, dokąd się wybiera. Wyjaśniła, że zmierza do Solor, do Finów.

- Podobno znajdują się na czarach.

Oczy mu rozblęły, była taka pociągająca!

- Wiedziałem, że jesteście czarownicą, moja bogini księżycy. Można to poznać po waszych oczach.

Nie przeszkadzało jej, że tak mówił, wprost przeciwnie. U kogóż, jeśli nie u niego, miała szukać

zrozumienia.

Z bliska widać było, że nie jest już młodzieńcem. Książę Ciemności jednak też nim nie był, miał ponad tysiąc lat. Chociaż w jego królestwie tysiąc lat to jakby jeden dzień.

Szatan, Lucyfer - anioł, który podjął walkę przeciw Bogu i został strącony z niebios do piekła.

To musiał być Lucyfer, tak jak wyglądał po upadku. Nadal piękny, ale już z błyskiem zła w oku.

Stworzony przez ludzi obraz Złego nie jest prawdziwy. Diabeł jest piękny jak anioł Pana, którym był kiedyś. A może zmienia się stosownie do woli człowieka? Ma przecież tyle postaci: smoka, psa lub węża. Potrafi wszystko.

- Gdzie byliście przez ten cały czas od naszego ostatniego spotkania? - zapytała. Poczł się wyraźnie nieswojo. - Wybaczcie mi, to nie było mądre pytanie - dodała szybko.

179

Odetchnął z ulgą.

Chętnie dowiedziałyby się jednak, dlaczego tak dużo czasu upłynęło, nim ponownie uniósł

się z otchłani. Nie warto, stwierdziła. Może on nie chce mówić o swoim drugim życiu?

- Moja księżycowa bogini, ja również udaję się na wschód. Ośmielę się zaproponować swoje towarzystwo. Drogi nie są bezpieczne dla samotnej damy.

Sol pochyliła głowę ruchem pełnym gracji.

- Wielkie dzięki za propozycję, panie. Mówcie do mnie na ty, jeśli mogę was prosić. W końcu znamy się nie od dziś.

Ostatnie słowa wypowiedziała wiele znaczącym tonem, a jego żartobliwy uśmiech potwierdził, że i on podejmuje grę.

Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Pomimo śladów, które pozostawiły na jego twarzy przeżycia, był bezwstydnie piękny. Niebieskie oczy błyszcząły, złote włosy układały się w delikatne fale z lekko zaznaczoną siwizną na odrobinę podniesionych skroniach. Oceniała jego ziemski wiek na... powiedzmy koło czterdziestki. Ile tysięcy lat miał naprawdę, nikt nie mógł stwierdzić.

Czuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa, delikatne włoski na karku podniosły się. Czym innym było spotkanie go na Bloksberg, a zupełnie czym innym było to tutaj. Jak cudownie tak siedzieć naprzeciwko siebie w wiejskiej gospodzie i umawiać się na wspólną drogę - ze wszystkimi tego konsekwencjami!

Przecież on jest jedyną osobą, która w pełni mnie rozumie, dlaczego więc jestem taka przejęta?

Przyznawała w duchu, że poczucie łączącej ich więzi było dużo silniejsze podczas wypraw do jego królestwa. Dlaczego teraz miała trudności ze znalezieniem właściwego tonu?

Odnosiła wrażenie, że ostrożnie badają się nawzajem.

Godzinę później jechali razem jedno za drugim w palącym blasku jesiennego słońca wzdłuż Glommy. Ścieżka była zbyt wąska, by mogli rozmawiać. Sol jednak każdym nerwem czuła jego obecność. Wiedziała, że na niego w równym stopniu działa jej fizyczna, zmysłowa bliskość.

Zakołatała jej w głowie szalona myśl. Pewna była już, że to właśnie jest mężczyzna jej życia.

O, gdyby mogła związać się z nim na stałe! Tu, na tym świecie. Wybudować dom, może mieć dzieci, przerwać bezustanne poszukiwania. Po raz pierwszy w życiu z całych sił

zapra gnęła być jak inne kobiety, mieć poczucie bezpieczeństwa, jakie daje mąż i własne domowe ognisko. Ale czy to możliwe? Z kimś takim jak on? Tak chyba się nie da. Był

przecież na tym świecie tylko gościem, obcym przybyszem.

180

Zapyta go jednak. O tak, na pewno zapyta, tylko później. Najpierw muszą poznać się lepiej.

Sol nigdy niczego nie pragnęła tak mocno. Myśl o spokojnym, dobrym szczęściu przepływała przez nią jak małe ożywcze strumyczki.

Jechali długo, aż on wyznaczył postój. Właśnie minęli jakąś wioskę, znaleźli się na pustkowiu.

Jej błędny rycerz wskazał na samotną szopę położoną nieco wyżej.

- Może odpoczniemy tam chwilę?

Zgodziła się. Czuła, jak z podniecenia mocno wali jej serce.

Było południe. Gorące promienie słońca padały na ściany szopy. W środku było ciepło i przyjemnie. Powoli rozebrał ją do naga i długo się jej przypatrywał, zanim wprawnymi ruchami obudził jej namiętność.

Sol nigdy dotąd nie spotkała tak pewnego kochanka. Nie zachowywał się teraz jak Książę Ciemności. W otchłani od razu przystępował do dzieła. Tu zdawał się dokładnie odgadywać życzenia kobiety, a kiedy w końcu nagi ułożył się przy niej, całe jej ciało wibrowało.

Nie była to jednak taka sama orgia jak w jego królestwie. Na czym polegała różnica? Na razie nie mogła tego pojąć. W otchłani nie trzeba było jej rozpalać, ciało i tak stało w ogniu.

Tutaj po raz pierwszy była podniecona w objęciach śmiertelnika, odczuwała raczej rozkosz, a nie cielesną ekstazę, w której pragnęła tylko więcej i więcej.

Oczywiście uczynił ją szczęśliwą, temu nie mogła zaprzeczyć. Kiedy już zmęczeni leżeli obok siebie, czuła tak wielką z nim wspólnotę, że z radości ścisnęła ją w gardle. Nareszcie znalazła dla siebie punkt oparcia w życiu, teraz będzie miała czego się trzymać. Pogłaskała jedwabistą skórę jego piersi.

Tym razem nie zrobię niczego, by pozbyć się ciąży, myślała, z radością urodzę dziecko.

Potomek czarownicy i samego Szatana! Będę je kochać i dbać o nie, jeśli tylko taki związek może dać owoc.

- Byłaś wspaniała - powiedział schrypniętym głosem.

- Ty też.

Wiedział to chyba już wcześniej, przecież to nie pierwszy raz.

Ale było inaczej niż podczas jej wypraw na Blokksberg. Jego cielesny rysunek również nie był tak imponujący jak w otchłani. Pomyślała, że ten szczegół także był elementem jego ziemskiego przebrania.

181

- Teraz będziemy już razem - wyszeptał.

- Tak: Ale wiesz, że nie jestem święta?

- Ja też nie - uśmiechnął się.

- Nie, oczywiście nie.

Ujął w dłoń jej mandragorę.

- Chcę to mieć - powiedział miękko. - Jako dowód miłości.

Sol poczuła ukłucie żalu i niechęci. Nie chciała oddać najcenniejszej rzeczy, jaką posiadała!

Ale jemu nie mogła odmówić, mandragora w istocie należała do Szatana. Z żalem w sercu pozwoliła mu ją wziąć.

Wstała i zaczęła się ubierać. On również podniósł się powoli.

- Zgładziłam kilku ludzi - przyznała, z nim mogła rozmawiać otwarcie. - Mam zamiar teraz z tym skończyć. Chcę wraz z tobą rozpocząć nowe życie. Lepsze życie - uśmiechnęła się. -

Moi przybrani rodzice zawsze mnie o to prosili, ale być może byłam zbyt samotna i dzika, by ogarnąć cel i sens ludzkiego życia. Ci, których zabiłam, byli złymi ludźmi, chcieli skrzywdzić moich bliskich. Nie zgładziłam nikogo oprócz tych, przed którymi musiałam ich chronić.

Jej błędny rycerz roześmiał się. Pięknie wyglądał nagi, gdy tak stał opierając się o ścianę szopy.

- Przede mną nie musisz się tłumaczyć. Ja zmiotłem z powierzchni ziemi cały ród!

- O tak, z pewnością - roześmiała się. - Pewnie niejeden.

- To prawda! Cały ród wiedźm i czarowników.

- Co ty mówisz?

Nagle dotarła do niej cała prawda. Czowała, jak jej ciało tężeje. Tańczące, drgające promienie słońca, które przedostawały się przez szpary w ścianach, kłuły ją w oczy.

- Powiedz mi... jak się właściwie nazywasz?

- Ja? - uśmiechnął się bez troski, niczego nie przeczuwając. - Czy nie jestem błędnym rycerzem?

- Powiedz, chcę to wiedzieć.

- Dlaczego?

182

Poczuła, że kręci jej się w głowie, ale opanowała głos.

- Chcę to wiedzieć - powtórzyła.

- Dlaczego? Dobrze, tobie mogę powiedzieć. Nazywam się Heming.

Sol zrobiła się biała jak kreda.

- Heming Zabójca Wójta?

Uśmiech zamarł na jego twarzy.

- Skąd to wiesz? Skąd, u diabła, to wiesz? Tu na południu nikt nie zna tego imienia.

Powoli, bardzo powoli zaczął ogarniać Sol straszliwy gniew pomieszany z palącym uczuciem zawodu. Potem gniew zamienił się w żądzę krwawej pomsty. Porwała widły do siana, oparte o ścianę.

- Przestań! - wrzasnął. - Oszalałaś?

Z całej siły cisnęła je w stronę Heminga, który przerażony starał się uskoczyć. Ale w mgnieniu oka stał już przygwożdżony. Dwa zęby widel przeszyły go w pasie na wylot.

Powietrze rozdarł jego krzyk.

Sol wpatrywała się weń tym samym spojrzeniem, które ongiś posłała synowi Abelone.

- Jesteś szalona! - wyjęczał przeciągle. - Czarownica! wydusił z siebie.

Podeszła do niego blisko.

- Nie poznajesz mnie? Jestem Sol z rodu Ludzi Lodu, przybrana córka Tengela.

- Nie - jęknął głosem zdławionym bólem. - Ty nie żyjesz! Wszyscy nie żyją!

- Nie - odpowiedziała Sol, już zupełnie spokojna. - Tengel żyje. I Silje, i Dag, i Liv. Wszyscy, których chciałeś zgubić.

- Nie! Nie! Pomóż mi! - błagał. - Umieram!

- Tak, umierasz, a ja się z tego raduję. To ty zabiłeś Ludzi Lodu. Zabiłeś Hannę! Dziękuję wam wszystkim moce, że dane mi było się zemścić! Mogłam pomścić Hannę, moją nauczycielkę i pokrewną duszę. Myślę, że ona o tym wiedziała, że to przewidziała.

- Modliszka! - krzyczał. - Modliszka!

183

Sol przysiadła na pniu, by patrzeć, jak będzie konał. Obojętnie przyjmowała jego krzyki.

Przemawiała cichym głosem, a on zmuszony był słuchać. Krew buchała z jego ciała i spływała wzdłuż ud. Próbował zatamować ją rękami, lecz nie miał już sił, by je unieść.

Oczy Sol rzucały iskry, ale głos jakby powoli zamierał.

- A więc byłeś tylko iluzją! Mglistym wspomnieniem przystojnego mężczyzny, którego spotkałam wiele lat temu w dzieciństwie. Bez cienia demonizmu.

Naturalnie nie pojmował, o kim ona mówi. On, zwykły śmiertelnik, nie wiedział nic o podróżach na Blokksberg.

Był doświadczonym uwodzicielem, o tak, ale nie był Szatanem.

Sol oczywiście nie rozumiała, że to tylko maść rozbudzała podczas transu jej zmysłowość.

Była zmęczona i bezradna, nie wiedziała, co ma robić.

Wiedziała jedynie, że nigdy nikogo nie nienawidziła równie mocno jak tego człowieka.

- Pomóż mi! Pomóż mi! - szeptał. - Ja nic nie zrobiłem! To żołnierze!

- Z twojego powodu cierpiała Silje - mówiła Sol tym samym beznamiętnym głosem - a z nią Tengel. Za nich, za Hannę i Grimara, za twego ojca, za wszystkich, którzy zginęli w Dolinie Ludzi Lodu,

umrzesz teraz, Hemingu Zabójco Wójta! Za wszystkie dzieci, które z zimną krwią kazałeś wymordować żołnierzom tylko po to, by ocalić własne nędzne życie...

Ledwie ją teraz słyszał. Jej głos dochodził przez mgłę bólu i śmiertelnego przerażenia.

Dudniło mu w uszach, w ustach czuł smak krwi, która ściekała mu z kącików ust. Zachłusnął się, usiłował krzyczeć, prosić o pomoc.

- Na miłość boską, ulituj się nade mną - wydusił z siebie.

- Bóg nigdy nie stał po mej stronie - powiedziała zimno. - Był przy mnie tylko Diabeł, a on się teraz raduje. Byłeś jego ziemskim wydaniem, Hemingu Zabójco Wójta! Czy w ogóle od chwili, gdy opuściłeś Dolinę Ludzi Lodu, zajmowałeś się czymkolwiek poza łajdaczeniem się i zdradą? Przypuszczam, że nie było cię nigdzie w ciągu ostatnich miesięcy, boś gnił w więzieniu. A mężczyźni, którzy byli z tobą poprzednio, to strażnicy? Szatan się teraz raduje.

On stoi po mojej stronie, wiedz to.

Mgła przed jego oczami gęstniała, ale ciągle jeszcze widział.

Siedząc nieruchomo, skulona na niskim pniaku, przypatrywała się jego agonii. Jej oczy wciąż błyszczały żółto.

Wkrótce widział już tylko te oczy.

184

Wreszcie i one zniknęły.

Sol wstała. Podniosła z ziemi mandragorę. Wsiadła na konia i ciągnąc za sobą jego wierzchowca skierowała się na wschód ku nieznanym siedzibom Finów.

185

ROZDZIAŁ XIV

Minęła zima.

Tengel i Silje często spoglądali w dół alei lipowej w nadziei, że ujrzą szczególnego gościa, swą przybraną córkę Sol. Nic o niej nie słyszeli od chwili, gdy wyruszyła z domu zeszłej jesieni.

Obydwoje ukradkiem obserwowali jej lipę. Dopóki drzewo było zdrowe, oddychali z ulgą.

Jeszcze jedno lato. I znów jesień...

Przyszedł na świat pierwszy wnuk Silje, Tengela i Charlotty. Liv bez kłopotów urodziła ładnego

chłopca, który otrzymał imię Tarald. Nazwany tak został na cześć dumnego dziadka, który nie pozwolił dać chłopcu imienia Tengel, zbyt pełnego bólu, jak uzasadniał.

Silje nic nie mówiła, ale myślała swoje. Może jej biedna córka poradzi sobie ze swoimi kłopotami teraz, kiedy wydała na świat dziecko? Wydawała się taka szczęśliwa, spokojna i pogodna, kiedy była z Dagiem.

Silje często wspominała słowa Hanny: Z twoich dzieci będzie wielka radość, ale i wielki smutek.

Czy to właśnie był ten smutek? Tragiczne małżeństwo Liv wraz ze wszystkim, co się z tym wiązało?

Kiedy wspomniała o tym Tengelowi, odwrócił się na pięcie. Nie chciał jej odpowiedzieć.

Bo Liv była teraz szczęśliwa. Prawdopodobnie uważał jej tragedię za zbyt krótkotrwałą, by zakładać, że to koniec niepowodzeń.

Silje jednak była skłonna uparcie podtrzymywać swoją wersję. Teraz już nic złego nie mogło się im przydarzyć!

Pod dotykiem cudownych dłoni Tengela Klaus wkrótce wyzdrowiał. Pracując na Grastensholm sprawiał wrażenie szczęśliwego. Nigdy nie wspominał ni słowem o swej ogromnej tęsknocie. Dla niego nie istniała żadna inna dziewczyna oprócz Sol. On także często wypatrywał jej na drodze.

Liv była naprawdę szczęśliwa. Dag zawarł z nią umowę; obiecał, że nigdy nie będzie jej ganić, nawet jeżeli nie poradzi sobie z czymś w domu. Umowa tak naprawdę była zupełnie niepotrzebna, bo trudno znaleźć lepszą gospodynię od Liv. Dag przypuszczał, że Bereniusem kierować musiała wybijała ambicja. Chciał być najlepszy i całkowicie zdominować innych ludzi, dlatego krytykował wszystkich bez wyjątku, nawet jeżeli okazali się o wiele lepsi od niego.

186

Pewnego zimowego wieczora, kiedy po świetle hulał wicher, a Tengel i Silje odpoczywali przy kominku, ktoś ciężko załomotał do drzwi.

Tengel wstał, by otworzyć.

Przed drzwiami stała kobieta, opatulona w płaszcze i szale.

- Sol! - zawołał Tengel. - Wejdz, wejdz do środka, moje drogie dziecko!

Krańcowo wyczerpana przekroczyła próg przytulnej sieni. Otoczyły ją ramiona obojga rodziców; oczy Silje wypełniły się łzami.

Sol napawała się widokiem witraża, który Silje dostała kiedyś od malarza Benedykta.

Przyglądała się portretom czwórki dzieci namalowanym przez samą Silje. Pamiętała, jak pozując do portretu nie mogła usiedzieć w miejscu, jak Silje ją za to łajała. Ale obrazy były piękne.

- Tak bardzo za tobą tęskniliśmy, dziecko - wydusiła Silje przez śmiech zmieszany ze łzami.

- A więc tym razem przybywasz sama? Nie masz ze sobą żadnej Mety ani Klausa?

- Nie, nie jestem sama - pokornie odparła Sol. - Jest za mną jeszcze ktoś. Czy mogę...?

- Tak, przyprowadź swego protegowanego - uśmiechnął się Tengel. - W taką noc nikt nie może zostać na dworze.

Sol wyszła i po chwili wróciła, niosąc tłumoczek, który niepewnie wyciągnęła przed siebie.

- To Sunniva - powiedziała z drżącym uśmiechem. - Czy ona może wejść?

Silje poczuła, że ziemia usuwa jej się spod stóp.

- To twoje dziecko?

- Tak. Nie pozwoliła się zabić, ojciec. Próbowałam wszystkich ziół, jakie miałam, ale chciała żyć.

- Cieszymy się, że jest z nami - powiedziała Silje łamiącym się głosem. - Nasza druga wnuczka!

- Druga?

- Tak. Pierwszy był wnuk. Liv i Dag mają chłopca. Chyba mniej więcej w tym samym wieku.

- Sunniva urodziła się dwudziestego dziewiątego sierpnia - powiedziała szybko Sol.

187

- A Tarald dwudziestego czwartego tego samego miesiąca - uśmiechnęła się Silje szeroko. -

Było okropne zamieszanie, bo gospodyni z Eikeby również leżała w połogu, a dziecko okazało się źle ułożone, więc Tengel musiał jeździć tam i z powrotem między Eikeby a Grastensholm.

- W Eikeby? Dziecko tam to żadna nowina! Ona rodzi trzy razy do roku. Czy temu człowiekowi zdaje się, że jest królikiem? Ale czy wszystko skończyło się dobrze?

- Tak, tak, w końcu przyszła na świat maleńka dziewczynka, biedne stworzonko. A ty?

Nazwałaś swoją córkę Sunniva. Ładnie.

- Tak, po mojej matce. I zarazem na twoją cześć, Silje.

- Dziękuję - Silje była wzruszona. - Och, jaka ona śliczna! Jak mały elf! Widziałeś kiedy coś takiego, Tengelu? Ale do kogo ona jest podobna?

- Do swego ojca - odparła Sol sucho.

- Wydaje mi się, że skądś znam tę twarz - zamyśliła się Silje. - Gdzie, na Boga, mogłam ją widzieć?
- Jest bardzo ładna - stwierdził Tengel, który wreszcie otrząsnął się z szoku. - Nigdy bym jednak nie pomyślał, że ty, Sol, będziesz mieć taką błękitnooką, jasnowłosą córkę.
- Czy ona może tu zostać? - zapytała Sol cicho. - Wiem, że nikt na świecie lepiej jej nie wychowa. Chociaż ze mną wam się nie udało, ale tego można było się spodziewać, stanowiąc niechlubny wyjątek od reguły.

Przyglądali się jej zdziwieni.

- Nie musimy tu stać - powiedziała Silje. - Chodźmy, siądziemy przy kominku. Musisz nam wszystko opowiedzieć!
- Czy ona może tu zostać? - ponowiła pytanie Sol.
- Wiesz o tym dobrze - odparł Tengel. - Ale opowiedz, co się z tobą działo.
- Najpierw coś do jedzenia - poprosiła Sol. - Niedługo już całkiem zapomnę, czym ono jest.
- Ach, moja droga! - Silje już biegła do kuchni. - A co je mała?
- Mleko... Cokolwiek.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu Sol zaczęła opowiadać. Siedziała na ławie, wygodnie oparta o zawieszoną na ścianie baranicę, a najedzona i przewinięta Sunniva spała smacznie w dawnej kołysce Arego.

188

- Ścigają mnie - powiedziała Sol zmęczona. - Wpadli na mój trop. Dlatego przybyłam tutaj z dziewczynką. Chciałam przede wszystkim zadbać o jej przyszłość.

Twarz Tengela przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Może powinnaś zacząć od samego początku?
- Dobrze. Wkrótce po tym, jak stąd wyjechałam, spotkałam człowieka, o którym ci mówiłam, Tengelu. Pamiętasz?
- Oczywiście. Jedyne, który miał dać ci spokój i szczęście.

Sol roześmiała się z goryczą.

- O tak, doprawdy szczęście! W każdym razie to on jest ojcem Sunnivy. Niech się smaży w piekle!
- A więc on nie żyje? - zapytał Tengel cicho.

- Tak. Zabiłam go i przyglądałam się, jak powoli umiera. Nigdy nie czułam takiej nienawiści, ojciec. Jego męka sprawiła mi przyjemność.

- Sol! - błagała przerażona Silje. - Proszę! On jest mimo wszystko ojcem twojego dziecka!

Sol odwróciła się w jej stronę.

- Tak. Przez niego cierpi moja córka. Mam dla niej głęboką, bezgraniczną czułość, ale nie potrafię jej kochać. I na mnie też ściągnął wyrok śmierci. Odnaleziono jego zwłoki; ktoś przypomniał sobie, że widziano nas razem w gospodzie. Pamiętano, że był razem z

„czarownicą o kocich oczach”, którą wójt ścigał od dawna.

- Ale dlaczego go zabiłaś, Sol? - jęknęła Silje.

Sol odpowiedziała ostro:

- Ponieważ jedyny mężczyzna, którego, jak sądziłam, mogłam pokochać, nosił imię, budzące moją największą odrazę. Nazywał się Heming Zabójca Wójta.

- Co? - Tengel aż podskoczył.

Silje zasłoniła dłonią usta.

- Och nie, Sol, powiedz, że to nieprawda!

- Ale tak właśnie jest.

189

- Tak, mała jest podobna do Heminga. Och, co za nieszczęście! - Tengel był blady z wściekłości. - A więc ten diabeł znów stanął nam na drodze, znów sprowadził nieszczęście na nasz dom. Ale ciebie nie zniszczy, Sol, nie dopuszczę do tego! - Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. - Jesteś córką mej siostry, kochałem cię jak moje własne dzieci. Czy w końcu on, ten zły duch Ludzi Lodu, ma być przyczyną twego upadku? Nie pozwolę na to, Sol!

- Nie mam zamiaru iść bezradna jak owieczka prosto w paszczę lwa - powiedziała Sol z twarzą zalaną łzami. - Zamierzam uciec do Szwecji. Musiałam tylko najpierw przywieźć tu Sunnivę.

Silje starała się przezwyciężyć w sobie uczucie zmęczenia, które owładnęło nią na myśl o wychowaniu jeszcze jednego dziecka. Czy sprosta oczekiwaniom? Teraz, w jej wieku? Bez wahania jednak podjęła się opieki nad dziewczynką.

- Zajmiemy się Sunnivą, nie musisz się o nią bać - powiedziała. - Wszyscy w Lipowej Alei i Grastensholm będą jej strzec. Ale nie skończyłaś opowiadać. Gdzie byłaś przez ten czas?

- Kiedy zabiłam Heminga, pojechałam do Finów. Długo musiałam ich szukać. Mieszkali rozproszeni

w wielkich lasach; na początku byli w stosunku do mnie bardzo podejrzliwi. Nie mogliśmy też się porozumieć, mówili innym językiem. W końcu mnie przyjęli. Mieszkałam u nich, odnalazłam tam ludzi znających się na czarach. - Sol zawahała się, jakby z trudem przychodziło jej mówienie o tym, co było.

- Odrzucili mnie potem, ponieważ spodziewałam się dziecka. Chcieli mnie zakuć w dyby.

Obawiali się też moich czarów, potrafiłam bowiem więcej niż oni i... rzuciłam urok na pewnego człowieka, który mi się naraził. - Zagryzła wargi, ale po chwili ciągnęła dalej: - Nie wszyscy byli równie nietolerancyjni, ale nie mogli mnie obronić przed tymi „sprawiedliwymi”.

Uciekłam więc stamtąd i zamieszkałam z dzieckiem w szałasie, na uboczu. Ja żywiłam się tym, co mogła mi dać natura, a dziecko karmiłam swoim mlekiem. Ale potem przyszła zima, nie było więc innej rady jak przyjść tutaj mimo czyhających zewsząd niebezpieczeństw. Nie miałam też paszy dla konia i nie mogłam zabierać małej do Szwecji.

- Oczywiście, że nie - szepnęła Silje.

- Na wschód od Oslo zajechałam do chłopskiej zagrody, żeby tam poprosić o mleko. Nie powinnam była tego robić. Zostałam rozpoznana. Nie mogę przecież ukryć swoich oczu -

powiedziała ze skargą w głosie. - A kiedy jechałam dalej, powiadomiono już wójta. Ścigali mnie jego żołnierze, ale udało mi się ich przechytryć. I dotarłam tutaj. Wkrótce jednak dowiedzą się, gdzie jestem. Zniknę stąd jutro rano.

- Czy gdzieś w pobliżu nie ma żadnej chaty, w której ona mogłaby się ukryć? - spytała Silje Tengela.

- O ile wiem, wszystkie są zamieszkane. A poza tym rozejście się plotki to tylko kwestia czasu. Szwecja to twój jedyny ratunek, Sol.

190

- Wiem, ale jestem taka zmęczona.

Wiedzieli, że nie o fizycznym zmęczeniu mówi.

Tę noc mogła spędzić w domu. Leżąc w ciemności długo rozmyślała.

Szwecja... Co mogło ją tam czekać? Nowe awantury, nowe rozczarowania. Nie mogła się spodziewać niczego więcej.

Ma tylko jedno wyjście...

Nienawiść do Heminga Zabójcy Wójta była podwójna; pozbawił ją również przeżyć związanych z wyprawami na Bloksberg. Nie miała odwagi ponownie tam wyruszyć. Nie mogła sobie wyobrazić nic gorszego niż spotkanie z nim.

Rozmawiała jednak o tym z pewną doświadczoną Finką. Stara kiwała głową i powiedziała jej w swym śpiewnym języku:

- Spróbuj jeszcze raz! Na Blokksberg nie spotkasz tego mężczyzny! Książę Ciemności nigdy nie jest odrażający dla tych, którzy go potrzebują!

Przez długi, długi czas nie miała odwagi. Dopiero kiedy zamieszkała sama z dzieckiem w szałasie, wysmarowała się maścią i poleciała tak jak dawniej.

Kobieta miała rację. W Szatanie, który ją tam przyjął i spędził z nią rozkoszne chwile, nie było ani cienia Heminga Zabójcy Wójta. Był ciemny, demoniczny i piękny. Był kimś szczególnym i nieznanym, a nie zdeformowanym wspomnieniem z dzieciństwa.

Sol nigdy nie zrozumiała - albo też nie chciała zrozumieć - że podniecające sny o tej niezwykłej postaci wywołane były przez owe trzy zioła. Dla niej maść była magicznym środkiem, dzięki któremu dostawała się do otchłani. Nie wiedziała że to właśnie zioła powodowały halucynacje. Dzięki belladonie ukazywały się barwne obrazy z Blokksberg, lulek dawał złudzenie oszałamiającej, rozhuśtanej podróży przez morza i góry. Każde z trzech ziół oddzielnie było śmiertelną trucizną, ale wymieszane w odpowiednich proporcjach i nałożone na skórę dawały silne zmysłowe przeżycia. A potem - uporczywy ból głowy.

Czarownice знаły sekret ich łączenia. Zbyt wiele jednego zioła mogło przyprawić o szaleństwo albo spowodować śmierć.

Nie o tym jednak myślała Sol, gdy z jękiem zagłębiała się w wypełnione pożądaniem sny o owym demonie wyczarowanym przez jej własną wyobraźnię.

Kiedy leżała w łóżu, mając obok siebie bezbronne, śpiące dzieciątko, nagle doznała olśnienia.

Już wiedziała, co powinna uczynić.

191

Szwecja? Cóż będzie tam robić? Nie zdoła powstrzymać się przed zabiciem kogoś, kto wywoła jej gniew. I znów rozpocznie się dziki taniec, ucieczka, nędza.

Tylko z Księciem Ciemności była bezpieczna.

Gdyby mogła zostać z nim na zawsze! Ale droga do wiecznego życia w otchłani jest tylko jedna... Prowadzi przez stos. Stos, na którym płonęły czarownice.

Sol nigdy nie bała się bólu. Stos wcale jej nie przerażał. Sama myśl wywoływała w niej ekstatyczne uczucie szczęścia.

Dlaczego właściwie miała walczyć tu, na ziemi, po to tylko, by cierpieć z powodu braku zrozumienia u ludzi?

Jakie to proste! Że też wcześniej nie przyszło jej to do głowy!

Księżę Ciemności. Przecież on na nią czeka w takiej postaci, jaką sama sobie wymarzyła.

Wspominała spędzone z nim błogosławione chwile, wszystkie, nie tylko te, kiedy oszałamiały ją zmysły. Zapatrzone w nią oczy, nieziemska więź, uśmiech, który mówił, że należą do siebie.

Tęsknota Sol stała się teraz tak gwałtowna, że nie potrafiła powstrzymać łkania. Jeżeli zostanie tam już na zawsze, nie będzie musiała płacić za szczęście straszliwymi następstwami. Całe jej nowe życie stanie się jednym pasmem błogiego, nieustającego szczęścia.

Kiedy następnego ranka żegnała się, w jej oczach płonęła niezłomna decyzja. Uczyniła rozstanie możliwie najkrótszym i najchłodniejszym, nie chcąc sprawiać bólu rodzinie.

Znalazła jednak chwilę, by w Grastensholm obejrzeć nowego potomka. Lekko i swobodnie rozmawiała z niczego nie spodziewającymi się przyjaciółmi. Zdążyła nawet zamienić na podwórzu kilka słów z Klausem.

Tengel nie mógł pojąć, dlaczego nie chciała wziąć pieniędzy poza drobną, niemal symboliczną sumą. Twierdziła, że tyle wystarczy. Jeszcze bardziej się zdumiał, gdy poprosiła go o schowanie wszystkich jej ziół i maści wraz z tym, co odziedziczyła po Hannie.

Jego pieczy powierzyła nawet mandragorę. - Zatrzymaj to, póki nie wrócę. Nie chcę, by mnie kusiły i zostały użyte w jakimś złym celu - powiedziała.

To wspaniale, pomyślał Tengel z ulgą, był jednak ze wszech miar zaskoczony. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Trzy dni później nadeszła wiadomość.

Sol została uwięziona. Z własnej woli oddała się w ręce żołnierzy.

192

Wyrok zapadł szybko. Koło Akershus ustawiono stos. Po dniu tortur najstraszniejsza ze współczesnych czarownic miała zostać spalona.

Dag starał się zrobić wszystko, co możliwe. Rozmawiał ze znanymi mu sędziami i prawnikami, ale oni tylko kręcili głowami. Tej kobiety nic już nie mogło uratować, a on ze względu na siebie i swoją rodzinę nie powinien się mieszać.

Liv to rozumiała, poniechał więc dalszych starań.

Ktoś jeszcze się za nią wstawił. Kat. Był u niej i rozmawiali. Ale kiedy przekonał się, że jest zdecydowana na śmierć, zrozumiał, że nie powinien niczego robić. Prosiła go tylko, by swą powinność spełnił prędko i po ludzku. Obiecał.

Wszyscy zebrali się w Grastensholm. Klaus, poruszony tak samo jak inni, mówił z trudem:

- Wiem, gdzie ona jest. W domu wojewody. Zwykle tam więziono najgorsze czarownice.

Wrzucano je do piwnic, do których nikt nie miał dojścia. Ale ja wiem, jak się tam dostać.

- Sam sobie przeczysz - powiedział poblady Tengel. - Jak można się tam dostać?

- Nie przez wejście. Z tyłu jest wąski korytarz, między murem piwnicznym a wałem. Na dole jest okienko, za którym siedzą skazani.

- Pojadę tam.

- Nie, to się nie uda. Wy się tam nie zmieścicie. Ja też nie.

- Może ja - powiedział Are.

- I ja - dodała Meta.

Klaus przyglądał się im badawczo.

- Meta tak. I może pan Are, nie wiem.

Are był niepewny.

- Czy możemy opuścić teraz dwór? Znosi się na burzę.

- W środku zimy nic się nie może zniszczyć - powiedziała Silje z wyrzutem.

Tengel spakował kilka rzeczy, które chciał mieć ze sobą. Zabrał Klause, Arego i Metę i o zmroku wyjechali do Akershus. Liv i Dag chcieli im towarzyszyć, ale Tengel zdecydowanie to odradził. Im mniej osób, tym większa szansa, że nikt nie zwróci na nas uwagi, powiedział.

193

Wiatr podrywał śnieg z ziemi, nad drogą unosiła się więc kurzawa. Tengel trzymał przed sobą na koniu Metę, mocno naciągnął jej czapkę na uszy.

- Wiem, że Sol nie lęka się stosu - zawołał do Arego, przekrzykując świst wichru. - Nie boi się też tortur, ale ich nie zna, nie wie, jak potrafią zemleć na proch wolę, godność i umysł

ofiary. Stos jakoś przyjmie, ale musimy uchronić ją przed męką.

- To ma się stać jutro, prawda?

- Tak, a stos zapłonie pojutrze.

- To się nie stanie - rzekł Are zgnębiony.

Dotarli na miejsce około północy, kiedy we dworze wojewody było już zupełnie ciemno.

Wśród drzew i między domami rozlegało się tylko wycie wiatru. Zsiedli z koni. Klaus wskazał im wejście od strony lasu.

Kiedy znaleźli się u celu, Are i Meta otrzymali szczegółowe wskazówki. Wśliznęli się w wąskie przejście. Are ledwie się zmieścił.

Bardzo szybko zauważyli okienko i cicho zawołali Sol.

- Are? - usłyszeli jej szept. - I Meta? Co tu robicie?

- Przychodzimy z wiadomością od ojca. On i Klaus czekają na zewnątrz. Ojciec pyta, czy przyjmiesz jego pomoc, by uniknąć tego wszystkiego. Mamy, co potrzeba.

Chłopak nie był w stanie dłużej wstrzymać łez.

- Najdroższy braciszku - dobiegł z dołu głos Sol. - Ucałuj ojca i powiedz, że takie było moje pragnienie. Nie chcę tego uniknąć. Sama wybrałam swój los.

Meta zaczęła szlochać, Are ją uciszył.

- Tak też myśleliśmy, Sol. Ale ojciec chciał się upewnić. Mamy też ciastka i wino od matki.

Nie są niebezpieczne.

Prawda była inna. Tengel przewidział odpowiedź Sol i odpowiednio spreparował i ciastka, i wino, dodając do nich śmiertelnej trucizny.

- Chętnie je wezmę - powiedziała Sol. - Nie dali mi ani jedzenia, ani picia, a dobrze będzie posilić się przed jutrzejszym dniem.

- Ojciec przesyła ci też to brzozowe pudełeczko - wydusił z siebie Are. Nie mógł już mówić, płacz ścisnął mu gardło. - Myślał, że może będziesz chciała sobie skrócić tę noc.

194

Maść czarownic! Sol pożądliwie wyciągnęła po nią rękę.

- Tak, ta noc może być długa.

- I jeszcze... mam cię... pozdrowić od wszystkich - szlochał już otwarcie Are. - Oni cię kochają, Sol. Mama Silje i Tengel, Liv i Dag. Dag jest zrozpaczony, że nie może cię ocalić.

Oni cię tak bardzo kochają.

- Ja też - załkała Meta.

- I Klaus. I ciotka Charlotta, i Jacob. I ja, i cała, cała służba w obu dworach.

- Coś takiego - roześmiała się Sol niepewnie. - Naprawdę mam wielu przyjaciół.

Are musiał odczekać chwilę, zanim zdołał wypowiedzieć następne słowa.

- Cała Lipowa Aleja... i Gra... stensholm oplakuje cię, Sol.

- Niech tego nie robią - odparła. - Pozdrów ich wszystkich, powiedz, że jestem szczęśliwa.

Zrozumcie, ja tego pragnę. Nie pasuję do waszego świata. Ale, Are... - Odczekała chwilę, zdziwiona.

- Mam wrażenie, że... W tej chwili uczułam, że wrócę. W innej, lepszej postaci.

Nie rozumiem dobrze tego uczucia, ale ono jest piękne, Are! I... zaopiekujcie się Sunniwą!

- Bądź spokojna. Kiedy Silje i Tengel nie dadzą już rady, zajmiemy się nią, Liv, Dag i ja.

Będziemy o nią dbać, Sol.

- A więc dobrze. Uściskaj ich i powiedz, że są jedynymi ludźmi na świecie, których kochałam.

- Wiemy o tym, Sol.

Spuścił rękę przez okienko i poczuł małą piąstkę Sol w swojej dłoni. Po długiej, długiej chwili ich ręce rozluźniły się i rozpoczął się milczący odwrót do domu.

Sol obejrzała rzeczy przesłane przez Tengela. Najpierw nasmarowała się maścią, potem zjadła ciastka i popiła winem. Następnie ułożyła się na pryczy.

Gdzieś między snem a jawą dostąpiła objawienia; było to wspomnienie czyste jak kryształ.

- Wiem już, dlaczego Tengel Zły tak mnie nienawidził - szeptała w ciemność. - Wiem już, gdzie go widziałam.

Nikt jej jednak nie słyszał.

Zapadła w sen.

195

Szybowała nad wzgórzami, nad głębokimi wodami, aż dotarła na jego górę. Tam zwróciła się ku przepaści i wpadła w otchłań. Wylądowała na łące.

Podszedł ku niej Książę Ciemności, bardziej fascynujący niż kiedykolwiek przedtem. Jego rysy przypominały młodego Tengela, ale to nie był on, lecz własny demon Sol. Otoczył ją ramionami i przemówił:

- Nareszcie jesteś ze mną, ukochana. Zostaniemy już razem przez całą wieczność.

Jego oczy były czule, pełne miłości. Naprawdę pełne miłości, jak zawsze tego pragnęła.

Znalazła miłość, oddanie i zrozumienie, o których marzyła całe życie, których nigdy nie mogła osiągnąć. Nagle poczuła, że ją samą wypełnia miłość, prawdziwa miłość. Kochała mężczyznę, ona, która dotychczas poznała jedynie zmysłowe uniesienia podczas bezsensownych wypraw na Blokksberg. Nareszcie świat miłości stał przed nią otworem! Po raz pierwszy w życiu Sol była naprawdę szczęśliwa.

Na Grastensholm mimo późnej pory nie spał nikt. Charlotta siedziała bez ruchu na ławie przed kominkiem. Był z nią Jacob Skille. Na jego twarzy także malowała się rozpacz. Na drugiej ławie Liv żałośnie płakała w objęciach Daga.

Nagle wszyscy zadrżeli. Odgłosy burzy rozdarł przeciągły, głośny trzask.

- Co to było? - szepnęła Charlotta.

Dag podszedł do okna.

- To od strony Lipowej Alei - powiedział. - Myślę, że to było drzewo.

- W alei?

- Tak.

- A więc to już koniec - szepnęła Liv.

Błądząca dusza odnalazła spokój. Sol zgasła w samym środku najpiękniejszego snu o miłości.

Silje siedziała w Lipowej Alei, czekając na Tengela i pozostałych, gdy usłyszała łoskot przewracającego się drzewa. Przypomniało się jej, jak Tengel po raz pierwszy ujrzał

dotkniętą zarazą Sol. Długo się wahał, niepewny, czy warto ratować to dziecko.

Postąpił słusznie!

Pomimo wszystkich swoich niezaprzeczalnych wad Sol nauczyła ich wiele - myślenia o innych i przede wszystkim miłości. Trzeba też przyznać, że dzięki jej drastycznym 196

posunięciom wszyscy w Lipowej Alei i Grastensholm mogli żyć w pokoju, bez obawy przed złymi ludźmi.

Silje trzymała Sunnive w ramionach, mocno tuląc ją do siebie. W alei osuwała się lipa.

Pokonując ostatni odcinek, dzielący ją od ziemi, wczepiła się w gałęzie sąsiedniego drzewa.

Silje zamarła. Drżała, choć w pokoju było ciepło. Przez głowę przemknęły jej słowa Hanny.

Tylko ty i Tengel możecie poprowadzić dalej ród Ludzi Lodu. Sol to fałszywy ślad.

Nienawidziła tych słów.

- Co z ciebie wyrośnie, Sunnivo? - szeptała. - Co z ciebie wyrośnie, dziecko?